

ROBERT J. SZMIDT.

OSTATNI ZJAZD PRZED LITWA



Fabryka Sztuki

www.fabrykasztuki.pl



Robert J. Szmidt

**OSTATNI
ZJAZD
PRZED
LITWA**

Ilustracje

Jan J. Marek

fabryka słów

Lublin 2007

COPYRIGHT © BY Robert J. Szmidt
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2007

WYDANIE I

ISBN 978-83-60505-10-6

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI
Piotr Celiński

GRAFIKA NA OKŁADCE
Marek Okoń

REDAKCJA
Katarzyna Bagier

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
lesiojot



Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Dedykuję szalonemu umysłowi, który jakiś czas temu zaprosił mnie do mrocznego świata Sileni Hill.

Cicha Góra



Żółta kontrolka rezerwy paliła się już od dłuższego czasu. Andrzej E. Arthmański zerknął na licznik. Ustawił go dokładnie w chwili, gdy światełko zasygnalizowało niezbędne minimum paliwa w baku. Pokazywał dziewięćdziesiąt dwa kilometry przebyte na oparach paliwa.

Dziewięćdziesiąt dwa ze stu standardowych, jakie peugeot 206 mógł przejechać. Przymusowy postój stawał się coraz bardziej prawdopodobny.

Spojrzał w lusterko. Asia, jego sześciolatnia córka, spała spokojnie na siedzeniu z tyłu, przypięta dodatkowym pasem do bezpiecznej łupiny fotela. Poruszyła nerwowo noskiem, kiedy lekko skorygował kierunek jazdy.

- Szlag by to... - mruknął, wracając do obserwacji drogi.

Mgła powoli gęstniała.

Od czasu gdy minął Berehy Górne, nie zauważył nawet śladu informacji o stacjach benzynowych. Teraz żałował, że nie zatrzymał się na stacji Aralu przy wylocie z miejsciny, ale od czasu incydentu, jaki zdarzył się rok wcześniej, w marcu, nie czuł specjalnej estymy dla tej firmy. Wieczorna wizyta policji w domu. Kilka godzin z wystraszonego dzieckiem w odrapanych pomieszczeniach posterunku. Nerwy i

niepotrzebna szarpanina. Wszystko to z powodu głupich piętnastu litrów paliwa. Nędznych czterdziestu sześciu złotych, które idiotki pracujące w kasie stacji zapomniały wbić do rachunku. Nie dość, że nie potrafiły dobrze przyjąć zapłaty i posłużyć się kartą kredytową, to jeszcze bezczelnie zrzuciły całą winę na klienta. Efekty doniesienia były zdumiewające. Po niejednym napadzie policja nie działała tak sprawnie. Czterdzieści sześć złotych. Zmarnowany wieczór. Niedokończona terminowa praca. I decyzja, by ignorować w przyszłości stacje tej, było nie było, znanej firmy.

Robił to od roku, mając niemal pewność, że odnosi same korzyści, nie wspominając o pozbawianiu nafciarzy z Aralu profitów w wysokości kilkuset złotych miesięcznie. Aż do dziś był nawet z tego powodu dumny, ale teraz pluł sobie w brodę, że nie złamał, choć raz, swojego postanowienia. Południowy wschód nie był specjalnie gościnnym rejonem. Zwłaszcza ten zakątek na skraju Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Można było nawet zaryzykować stwierdzenie, że ostatnie sto kilometrów należało do najbardziej odludnych terenów, jakie można sobie wyobrazić w sercu Europy.

Zmęł w ustach następne przekleństwo i wyciągnął z kieszeni komórkę. Niestety, zasięg w tych okolicach był minimalny. Nawet ikonka numeru alarmowego co chwilę znikwała z wyświetlacza. Mimo wszystko spróbował zadzwonić. Uprzejmy męski głos poinformował go jednak, że nie ma szans na połączenie. Zresztą, nim zdążył wyrecytować do końca wyświechtaną formułkę, utonął w trzaskach.

- Szlag, szlag, szlag! - zaklął Andrzej pod nosem, zerkając w lusterko.

Asia nadal spała, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia. Może nie było ono zbyt wielkie, ale zawsze mogło napędzić stracha Iwonie czekającej na resztę rodziny tuż za granicą w Siankach. Brak kontaktu telefonicznego pewnie żony nie zdziwi, ale kilkugodzinne spóźnienie i owszem. Zwłaszcza że dzwonił do niej nie tak dawno, wyjeżdżając z Cisnej.

Zwolnił i korzystając z tego, że kręta droga ciągnąca się wzdłuż zbocza opadała nieco, wysprzęglił silnik. To powinno dać kilka dodatkowych

kilometrów. W samochodzie zrobiło się ciszej. Zamiast miarowego mrużenia silnika teraz słyszał wycie wiatru hasającego po górskich stokach i miarowy chrzęst opon. Mgła wypełzająca białymi pasmami na zosę coraz bardziej ograniczała widoczność. Zdecydował się na zapalenie halogenów. Wyciągał właśnie rękę do przełącznika, gdy kątem oka złowił jakiś błysk w lusterku. Skoncentrował się na błyszczącej plamce światła, która szybko rosła. Razem z nią narastał znajomy dźwięk.

- Motor - mruknął Andrzej i zjechał bliżej pobocza, włączając jednocześnie światła awaryjne.

Liczył na to, że zbliżający się motocyklista okaże odrobinę współczucia. Turyści na motorach rzadko zaglądali w te rejony, zatem była duża szansa, że jest to ktoś miejscowy. Ktoś, kto wie, gdzie jest stacja albo ma nawet w domu kilka litrów zbędnego paliwa.

Niestety, wyprzedzając go, ciężki chopper zwolnił wprawdzie, ale w wyniosłym spojrzeniu brodatego rockersa nie zauważył nawet śladu zainteresowania. Podobnie zachowała się siedząca za nim dziewczyna. Uśmiechnęła się, ale był to raczej grymas typu „wał się człowieku”, niż zwyczajowe przekazanie sympatii.

- I to by było na tyle. - Andrzej odruchowo sięgnął po papierosa. Był to już ostatni golden american, jakiego miał przy sobie.

Starał się nie palić w czasie jazdy ze względu na śpiące dziecko. Postanowił, że włoży papierosa do ust, ale nie zapali. Przynajmniej na razie, póki nerwy nie dadzą znać o sobie z takim natężeniem, że do ich poskromienia potrzebna będzie nikotyna. A że dojdzie do takiej sytuacji, był niemal pewien.

Dziewięćdziesiąt osiem kilometrów na rezerwie. Nadal zjeżdżał ze wzgórza. Nie wrzucał biegu i nie hamował za ostro. Korygował prędkość o tyle tylko, by nie zarzucało wozem na co ostrzejszych zakrętach. Powiększająca się wciąż stromizna spowodowała, że na dłuższym prostym odcinku przyspieszył niemal do stu na godzinę. Już chciał przyduścić hamulec, gdy jego uwagę przykuła wynurzająca się z mgły niebieska tablica informacyjna. Jeden rzut oka rozpedził mroczne myśli.

Tysiąc pięćset metrów do stacji i zajazdu w Cichej Górze.

Nagle silnik zakrzuszył się kilka razy i zgasł niemal w tej samej chwili, gdy cyferki na liczniku ułożyły się w równą setkę.

Andrzej wcale się tym nie przejął. Z każdym metrem zbocza zbliżał się do stacji. Jeśli nawet była o tej porze zamknięta, mógł poczekać do rana. Tablica informowała też o zajeździe, więc nie obawiał się o nocleg i coś ciepłego na kolację.

Jechał coraz szybciej. Pozbawiony ciśnienia hamulec nie sprawował się za dobrze, ledwie pozwalał na uspokojenie tempa jazdy. Arthmański rzucił okiem na licznik. Pozostało jeszcze sześćset pięćdziesiąt metrów, jeśli odległość wypisana na tablicy była dokładna. Podniósł wzrok na drogę. Stawała się coraz bardziej kręta.

Wchodząc w następny zakręt zauważył snop światła wynurzający się z oparów mgły. Pojedynczy reflektor świecił pionowo w górę zaledwie o kilkanaście metrów przed maską wozu. Andrzej szarpnął ostro kierownicą, wprowadzając samochód niemal w poślizg. Na szczęście udało się ominąć wrak leżącego na środku szosy motocykla. Przekręcenie kierownicy w drugą stronę ustabilizowało na moment sytuację, chociaż pozbawiony hydrauliki układ wspomagania nie pracował już jak należy. Za to adrenalina zrobiła swoje.

Czas jakby zwolnił bieg.

Arthmański rzucił szybkie spojrzenie w lusterko. Dziecko, wyrwane ze snu nagłymi zwrotami, zaczynało otwierać zaspane oczy. Skierował wzrok ponownie na drogę. Wyrzuceni z motoru pasażerowie leżeli na środku asfaltu. Mężczyzna miał na pewno skręcony kark, głowa nieomal podwinęła się pod tułów. Nie żył, nie mógł tego przeżyć. Dziewczyna, ciągnąc za sobą złamaną nogę, czołgała się do skraju szosy.

Nie było czasu na myślenie. Andrzej nie zastanawiał się, czy wóz zmieści się pomiędzy pełznącą wciąż dziewczyną a poboczem drogi. Nie mógł tego przewidzieć. Wybrał jedyne rozwiązanie, jakie dawało szanse na przeżycie. Tak rannej, jak i pasażerów samochodu. Liczył, że uderzenie bokiem w metalową bandę pozwoli przemknąć przez miejsce wypadku i wyhamować pęd bez wypadnięcia z drogi. Mgła zasłaniała

widok na dolinę, ale kilkunastometrowa skarpa była najbardziej optymistyczną wersją tego, co mogło czekać na nieostrożnego kierowcę.

Pierwsza część manewru udała się znakomicie. Nawet za dobrze. Samochód skręcił raptownie, mierząc w osłonę zakrętu. Stalowa belka rozpięta pomiędzy wkopanymi w ziemię słupkami powinna odbić auto, o ile kąt, pod jakim uderzy w nią, nie będzie zbyt wielki.

Niestety, był.

Arthmański spróbował jeszcze ruszyć kierownicą, ale nie dał już rady. Buzująca w jego żyłach adrenalina spowodowała kolejne, jeszcze większe spowolnienie czasu. Samochód zmierzał ku skrajowi drogi z prędkością niemal stu kilometrów na godzinę pomimo rozpaczliwego wciskania hamulca. Jedyne nadzieje tkwiła w solidności konstrukcji zabezpieczającej pobocze.

Jedyna i płonna.

Andrzej ze zgrozą dostrzegł w blasku reflektorów rdzawe plamy znaczące niemal całą szerokość stalowego kształtownika w miejscu, gdzie łączył się on z następnym elementem konstrukcji. Zderzak peugeota uderzył w osłonę i dosłownie rozprysnął się. Metalowy płaskownik zaszprzęzynował jak wielka dzwignia, wyrwijając niemal wszystkie nity z łączy i masa pędzącego samochodu wypchnęła osłonę drogi daleko w ciemność. Ułamek sekundy później przednie koła wozu oderwały się od kamienistej krawędzi pobocza. Andrzej zaparł się w fotelu najmocniej jak potrafił. Jego wzrok powędrował do lusterka. Asia jeszcze nie obudziła się na dobre i nawet nie krzyczała.

Czarna ściana lasu zbliżała się nieuchronnie.

„Wszystko będzie dobrze”, chciał krzyknąć Andrzej, ale zdążył wydobyć z gardła zaledwie pierwszą sylabę.

Natrętny dźwięk klaksonu przywrócił mu świadomość. Potem przyszedł ból. Pieczenie w okolicy czoła i nieznośne rwanie w górnej części pleców. Powoli otwierał oczy, czując, że powieki trafiają na dziwną, miękka, ale nieustępliwą substancję. To coś przylegało szczelnie

do twarzy. Na tyle szczelnie, że zaczynał się dusić. Jedno ostre szarpnięcie do tyłu pozwoliło na oswobodzenie twarzy, ale skazał się tym ruchem na paroksyzm bólu płynącego z barku.

Sflaczały balon poduszki powietrznej osunął się z cichym młaśnięciem w dół, pod kierownicę.

Andrzej spojrzał półprzytomnie na mlecznobiałą powierzchnię rozciągającą się za poznaczoną pajęczynami pęknięć szybą. Mgła, pomyślał, mgła, pamiętam mgłę. I wtedy pamięć wróciła, uderzając w świadomość półprzytomnego kierowcy kaskadą obrazów, dźwięków i zdarzeń. Szarpnął się raz jeszcze, jakby starał się uniknąć tego potoku informacji. Ale próżny był ten trud.

- ...szystko będzie dobrze - wyszeptał, kierując wzrok na lusterko.

Niestety, podczas wypadku przekreśliło się tak, że miał przed sobą jedynie swoje przerażone i zalane krwią z rozciętego czoła oczy. Próba odwrócenia się w fotelu sprawiła, że świat zawirował mu przed oczami. Pasy trzymały mocno.

- Asiu... - jęknął. - Asiu, czy nic ci nie jest? Odpowiedziała mu cisza.

Wyciągnął ostrożnie rękę i sięgnął do lusterka. Mimo wszechobecnego bólu poruszył nim tak, by widzieć tylne siedzenie. Fotelik dziecka był pusty. Pasy leżały rozrzucone w nieładzie, chyba rozpięte. Odwrócił się, tym razem powoli, starając się zignorować ostre rwanie promieniujące z barku. Obrzucił wzrokiem tył wozu. Nigdzie nie było śladu Asi, ale, ku jego wielkiej uldze, nigdzie nie było też śladów krwi.

-Boże! - jęknął, siadając wygodniej.

Napięty podczas uderzenia pas trzymał go mocno, ale sprzączka pomimo wykrzywienia w gnieździe dała się wypiąć już po kilku próbach. Odetchnął z ulgą i popchnął drzwi. Otworzyły się z cichym zgrzytnięciem, odjeżdżając daleko w bok. Peugeot stał na poboczu prowadzącej przez las drogi. Na tyle, na ile Andrzej mógł się zorientować, bowiem biała masa niemal materialnej mgły zasnuwała całą okolicę.

Spróbował poruszyć nogą, potem drugą. Obie bolały niemiłosiernie, ale chyba nie były złamane. Powoli zsunął się z fotela i oparł stopy na

wilgotnej ziemi. Poczł nagły zawrót głowy, zebrało mu się na wymioty.

- Niech to szlag! Chyba mam wstrząs mózgu - pomyślał na głos.

Odwrócił się powoli i zajrzał do pustego wnętrza samochodu. Na podłodze za fotelem kierowcy leżała szmaciana lalka Asi. Wszystkie szyby były popękane, ale nie wybite, drzwi po drugiej stronie zamknięte. Teoretycznie dziewczynka nie mogła wyjść z dwudrzwiowego wozu, ale...

Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Spojrzał na zegarek. Elektroniczny wyświetlacz pokazywał jedynie rozmazaną czarną plamę. Rzut oka na zegar w samochodzie też niczego nie wyjaśnił. Wskazówki zatrzymały się dokładnie w chwili wypadku. Na podłodze, wciśnięta pod fotel, leżała komórka. Wyjął ją delikatnie spod metalowego kształtownika podtrzymującego siedzenie. Na pierwszy rzut oka była cała. Niestety, pomimo usilnych prób nie udało się złapać najmniejszego nawet śladu zasięgu. Zniknęła też ikonka telefonu awaryjnego.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - zapytał sam siebie, sprawdzając po raz kolejny telefon. Gdy go kupował, sprzedawca zaklinał się, że nie ma już na terenie kraju takiego skrawka, gdzie numer alarmowy nie jest osiągalny. Kłamał, ewidentnie kłamał, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Arthmański rzucił bezużyteczny gadżet do wnętrza wozu. Zegar w komórce był wyzerowany.

Samochód nie był specjalnie zniszczony. Miał jedynie lekko wgniecioną karoserię. Andrzej oparł się na chłodnej masce i rozcierał kark, zbierając myśli. Od wypadku musiało upłynąć dość dużo czasu. Tak, silnik był już zimny... Gdy trafił na rozbity motocykl zmierzchało, a teraz widział wyraźnie blask płynący gdzieś z góry. A to mogło znaczyć, że wstał już następny dzień. Mgła nie pozwalała niestety ocenić pozycji słońca na niebie. Musiał być jednak nieprzytomny przez dobre kilka, a nawet kilkanaście godzin.

- Asiu! - krzyknął z całych sił, nie zważając na ból rodzący się w skroniach.

Odpowiedziało mu echo niosące się po lesie. I cisza. Żaden ptak się

nie spłoszył, żaden drobny zwierz nie uciekł.

Musiał działać. Musiał myśleć. Mimo nagłego nawrotu bólu głowy, obszedł samochód dookoła. Zryte wypadkiem poszycie lasu przechodziło z drugiej strony w kamieniste zbocze i gdyby nawet ktoś podszedł z tej strony, nie zostawiłby żadnego śladu. Zajrzał raz jeszcze do samochodu, odruchowo składając tym razem pasy na fotelik.

Zamarł, trzymając w dłoni końcówkę lewego pasa. Nie była wypięta, ale przecięta. Nierówna krawędź świadczyła nawet o tym, że mogła być rozerwana. Poczul zimny pot na karku, ale szybko się opanował. Niemożliwe, żeby Asię wyrwało z fotela. Po prostu niemożliwe. Poza tym nie mogła wypaść z samochodu, skoro był zamknięty. Tak, na pewno był zamknięty, gdy się ocknął.

Zszedł na drogę. Teraz, gdy trochę się rozruszał, mięśnie już tak nie bolały. Sięgnął do kieszeni po papierosy i przypomniał sobie, że ostatniego trzymał w ustach podczas wypadku. Wrócił do auta, ale nigdzie nie zobaczył białego papierowego walca. A sprawdzał wszędzie, pod fotelami, nawet pod zmiętymi wykładzinami. Wyprostował się i rzucił okiem na ziemię przy drzwiach. Nie dalej jak trzy kroki od pogieętego błotnika leżało coś szarego. Podniósł zawilgocony, wypalony niemal do filtra papieros. Napis na prawie przygryzionej bibułce był wyraźny: *Golden American*. Prawdopodobieństwo, że ktoś palący tę markę przypadkiem przechodził obok wraku, było nieskończenie małe. Znacznie mniejsze nawet niż to, że ktoś wypalił jego papierosa. A może sam go wypalił? Niemożliwe, gdy odzyskał przytomność, siedział w samochodzie, wciąż zaplątany w poduszkę powietrzną...

Nie był w stanie zrozumieć tego, co się dzieje. Nie próbował nawet. Doszedł do wniosku, że chwilowa utrata pamięci może mieć przyczynę w samym wypadku. A skoro tak, to Asia pewnie jest bezpieczna. Wyciągnął ją z samochodu, a potem wrócił i... Postanowił nie roztrząsać chwilowo tej kwestii. Dziecko mogło leżeć dosłownie o kilka kroków od tego miejsca.

Sprawdził każdą piędź ziemi w promieniu dobrych stu metrów i nie znalazł najmniejszego śladu Asi. Żadnego, nawet odcisku stopy czy złamanej gałązki. Las wydawał się niemal dziewiczy i tylko wrak samochodu u nasady skarpy oraz poznaczona koleinami leśna droga świadczyły, że żywe istoty pojawiają się tutaj od czasu do czasu.

Wrócił do samochodu. Dusząc w sobie narastający niepokój o los córki, otworzył bagażnik. Jedyłą szansę na odnalezienie dziecka upatrywał w chłodnej kalkulacji. Nerwowe reakcje w ekstremalnych sytuacjach zazwyczaj tylko szkodziły. Na szczęście kilkanaście lat treningów sztuk walki, których nieodłącznym elementem były medytacje, pozwoliło mu na oczyszczenie umysłu z trujących oparów paniki.

Wygrzebał torbę podróżną, w której miał swoje rzeczy i laptopa, po czym zważył w ręce klucz do kół. Masywna, wygięta na końcu stalowa rurka dobrze leżała w dłoni i mogła stanowić lepszą broń niż niewielki nożyk, który zawsze nosił w futerale przy pasku. W razie czego... Klucz włożył za pasek z boku, by jak najmniej przeszkadzał w marszu. Postawił torbę na masce, wyciągnął etui i ostrożnie wyjął sam komputer. Podniósł ekran i włączył. Po chwili usłyszał znajome brzęczenie i zobaczył ikonę Windowsów. Odczekał chwilę, by sprawdzić czas, ale... zegar wskazywał same zera.

Schował laptopa do torby i zarzucił ją na ramię, krzywiąc się z bólu. Zastanawiał się, w którą stronę iść, gdy nagle w świdrującą uszy ciszę wdarł się dźwięk dzwonu. Najnormalniejszego w świecie kościelnego dzwonu. Dobiegał gdzieś z prawej. Niemal na pewno z dużej odległości, ale przez tłumiącą dźwięki mgłę nie mógł tego dokładniej ocenić. Niemniej pięć kolejnych uderzeń pozwoliło Andrzejowi na wybranie właściwej drogi. Tak przynajmniej sądził.

Po kilkunastu minutach powolnego marszu dotarł do pierwszych zabudowań. Powolnego, bowiem ból wrócił ze zdwojoną siłą. Kilkanaście razy przysiadł na pieńkach bądź wprost na poboczu, by

odsapnąć i pozbyć się klucza w zakwaszonych, obolałych mięśniach. Nie na wiele się to jednak zdało. Myślał już nawet, aby zostawić ciężącą mu torbę. Szczerze mówiąc, miał wielką ochotę porzucić ją w przydrożnym rowie. I zrobiłby tak, gdyby las nie skończył się nagle.

Wyboisty trakt prowadził do niewielkiej uliczki, przy której stało kilka domów. Niepostrzeżenie nawierzchnia zmieniła się z nierównej i błotnistej w szutrową, a potem w asfalt. Andrzej odłożył torbę i podszedł do najbliższej furtki.

Nacisnął dzwonek, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. W tej samej chwili uświadomił sobie, że słyszy tylko własny ciężki oddech. Z żadnej posesji, z żadnego domu nie dobiegał najmniejszy szmer, nie zaszczeakał pies. Nie zraziło go to za bardzo. Jeśli dzwonek uderzył pięć razy, mogła być dopiero piąta rano. Zbyt wczesna pora na poranne spacerki.

Nacisnął dzwonek jeszcze kilka razy. Nic, żadnego efektu.

- Halo! - krzyknął. - Jest tu kto?

Odczekał chwilę, po czym ruszył dalej. Wszędzie witała go martwa cisza. Przy ostatniej z willi zdecydował się na coś więcej, niż tylko pukanie. Gdy okazało się, że furtka jest zamknięta, przeskoczył ogrodzenie. Z kluczem do kół w dłoni stał przez chwilę, nasłuchując, ale nic nie świadczyło o jakimkolwiek zagrożeniu.

Wszedł na schodki prowadzące do drzwi i po chwili wahania nacisnął klamkę. Jak mógł się spodziewać, było zamknięte. Zastukał końcówką klucza i krzyknął:

- Jest tam kto?! Miałem wypadek! Potrzebuję pomocy! Odwrócił się. Stojąc przy drzwiach, ledwie widział we mgle zarys parkanu otaczającego dom. Zszedł na dół i otworzył furtkę od wewnątrz. Najwyraźniej nikogo nie było w tych budynkach. Może właściciele wyjechali, a może były to domy letniskowe, które czekały na spóźniony najazd miejskich gospodarzy?

Dotarł do skrzyżowania z szerszą ulicą. Z mgły wyłonił się samochód. Znak, że nie wszyscy wyjechali z tej zapomnianej przez Boga dziury. Ciemnowisniowy ford focus stał przed wejściem do niewielkiego pawilonu handlowego. Drzwi sklepu były uchylone, a przez zastawione

reklamami witryny było widać, że wszystkie światła są zapalone. Andrzej stracił pewność siebie i ostrożnie zbliżył się do drzwi. Czerwona tabliczka po ich prawej stronie głosiła: *Pawilon Spożywczy „Natalka”, Cicha Góra.*

Cicha Góra - całkiem adekwatna nazwa, zważywszy na gorące powitanie... Na dobrą sprawę od chwili, gdy się tu znalazł, nie usłyszał żadnego dźwięku. Żadnego, prócz bicia dzwonu i swoich krzyków. Postawił torbę na chodniku i zajrzał do sklepu.

- Przepraszam! - zawołał. - Miałem wypadek i...

Wnętrze pawilonu wyglądało, jakby przed momentem ktoś je opuścił. Półki ugiwały się od towaru, lady chłodnicze mruczały uspokajająco. Na samym środku podłogi stało wiadro pełne wody, a obok leżał wilgotny mop. Andrzej zanurzył dłoń w brudnej wodzie. Była jeszcze dość ciepła.

- Hej! To nie jest zabawne! - krzyknął, wstając. - Potrzebuję pomocy! Moje dziecko zaginęło!

Nic, cisza. Ze złości kopnął wiadro. Plastik pękł z głośnym trzaskiem, ale woda nie rozlała się. Nie pojawił się nikt, by go zbesztać.

- Porozwalam znacznie więcej! - zagroził, czując irracjonalność swojego zachowania. - Znacznie, znacznie więcej!

Kolejny brak reakcji.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Narastała w nim złość. Nie zastanawiając się, walnął kluczem w szybę fordą. Przyciemnione szkło nie poddało się jednak przy pierwszym uderzeniu. Sprężynowało jak pleksiglas. Odbity klucz niemal wypadł z ręki zaskoczonego Andrzeja. Do drugiego uderzenia przygotował się znacznie lepiej. Uderzył z zamachu, tak, by cała siła poszła w środek szyby. Nie osiągnął wiele więcej. Tafla szkła zadrżała jedynie, przysięgłby, że wgięła się do wnętrza i zaszprzęynowała. Nie było na niej nawet najmniejszej rysy. Trzeci raz już nie próbował.

- Pieprzę was, kawalarze! - Jednoznacznie kojarzącym się gestem pokazał, co myśli o ludziach bawiących się z nim w chowanego.

Może z godzinę później musiał przyznać, że albo sam jest niespełna rozumu, albo to miasteczko jest rzeczywiście dziwne. Sprawdził ze trzydzieści domów przy kilku ulicach, ale nie znalazł choćby jednych otwartych drzwi. Nikt mu też nie odpowiedział. Zwrócił uwagę na pewien szczegół, który wcześniej uniknął jego uwadze. Gdy stukał w niektóre drzwi, słyszał dźwięk, jakby uderzał w jednolitą bryłę drzewa, jakby po drugiej stronie nie było pustej przestrzeni. Wziął to jednak za złudzenie wywołane niedawnym wypadkiem. Innego, bardziej racjonalnego wytłumaczenia nie potrafił znaleźć.

Budka telefoniczna, z której chciał skorzystać, była nieczynna, podobnie jak telefon w niewielkim całodobowym barze przy placyku, który zapewne uchodził za rynek Cichej Góry. To było jedyne miejsce w centrum, gdzie mógł wejść bez włamania. A do tego wołał się chwilowo nie posuwać.

Siedział teraz przy jednym ze stolików, popijając kawę z ekspresu i obserwując wymarłą ulicę. Mgła była nieco rzadsza. Widział zarysy kilku kamienic po drugiej stronie trawnika, ich martwe i ciemne okna oraz parę samochodów na niewielkim parkingu przed budynkiem wyglądającym jak biurowiec. Wszystkie zamknięte na głucho.

Kawa stała na włączonej płytce grzejnej. Gorąca i aromatyczna wręcz wabiła zapachem. Pozwalała na zebranie myśli, podobnie jak papieros. Zabrał z gablotki trzy paczki ulubionych goldenów superlight i zostawił pieniądze na ladzie, dokładając jeszcze pięć złotych za kawę. Nie spodziewał się nagłego pojawienia właścicielki tego przybytku, ale należał do ludzi uczciwych.

Właściwie zaakceptował już fakt, że wszyscy zniknęli, ale będąc sceptykiem nie dopuszczał do siebie myśli o nadprzyrodzonym charakterze tego zjawiska. Z drugiej jednak strony nie potrafił znaleźć logicznego i, co ważniejsze, zadowalającego wytłumaczenia. I to go najbardziej martwiło. W końcu doszedł do jedynej, jego zdaniem, rozsądnej konkluzji. To, co się dzieje, nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Doznał urazu podczas wypadku i teraz bardzo realnie przeżywa koszmar, który wyklął się w jego pozbawionym świadomości

umyśle. A to by znaczyło, że powinien zaprzestać miotania się i spokojnie czekać na rozwój wydarzeń. W końcu, jaki mógł mieć wpływ na to, co się stanie we śnie. Żaden, o ile był to sen, bo jeśli nie...

Słyszał kiedyś w telewizji, że nawet najgorszy koszmar kończy się, gdy wyśnimy własną śmierć. Tak, to załatwiłoby sprawę, ale pozostawała wciąż otwarta kwestia, czy Cicha Góra jest sennym koszmarem...

A może już nie żył i to było jego osobiste piekło? Na niebo człowiek, któremu Jezus kojarzył się tylko z postacią literacką, raczej nie miał szans. Dopił kawę i zapalił kolejnego papierosa. Nie pozostało mu nic innego jak czekanie. Ktoś tu musiał być, skoro pociągnął za sznur dzwonu. A jeśli był, pokaże się prędzej czy później. Prędzej czy później?

Siedział ze dwie godziny. Tak mu się przynajmniej zdawało, bowiem zegar w barze nie chodził. W tym czasie popielniczka wypełniła się szczelnie niedopałkami. Miasteczko trwało w tym samym bezruchu, dzwon również się nie odezwał.

Wreszcie nie wytrzymał. Koszmar nie koszmar, trzeba się rozejrzeć. Znaleźć kościół, posterunek policji - może tam będzie jakaś radiostacja. Ta ostatnia myśl naprowadziła go na pewien pomysł. Sprawdził za barem - niestety, nie mieli tutaj radia, jedynie podwójny deck Technicsa i wzmacniacz tej samej firmy. Dość stary i prymitywny.

Muzyka z kasyty nie przypominała niczego, co znał i lubił, choć trzeba przyznać, że była melodyjna i łatwo wpadała w ucho. Wyłączył nagranie po chwili i przejrzał pozostałe kasyty. Wszystkie należały do przemijającego gatunku disco polo. Odrzucił je na półkę i wstał. Wyszedł na zewnątrz.

Zrobiło się cieplej i jaśniej, ale mgła nie ustępowała. Lekki wietrzyk pędził wzdłuż ulicy długie pasemka ektoplazmatycznej mglistej wydzieliny. Ku zdziwieniu Andrzeja, kilka domów było otwartych, choć, zgodnie z poprzednimi doświadczeniami, nie zastał w nich nikogo. Sprawdzał je pobieżnie i szedł dalej, ciekaw, co jeszcze może znaleźć. Od czasu do czasu wykrzykiwał imię córki, ale czynił to bez większego przekonania. Irracjonalność sytuacji sprawiała, że coraz bardziej wierzył, iż znalazł się w pułapce własnego kosmaru.

Dotarł w pobliże szkoły. Niewielki jednopiętrowy budynek z przylegającym do niego boiskiem wyglądał dość dziwnie. Ściany pokrywało kolorowe graffiti o dość niespotykanej ornamentyce. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że patrzy na lustrzane odbicie liter. Udziwnione kształty skutecznie opierały się rozpoznaniu na pierwszy rzut oka i gdyby nie lata treningu przy geometrii wykreslonej, mógłby mieć problemy z ich odczytaniem. Nawet po znalezieniu klucza biedził się dość długo nad zrozumieniem napisu. Nie do końca go odcyfrował, ale co do jednego miał pewność: to była łacina. Grafficiarze piszący sentencje po łacinie i do tego w takiej formie. Ciekawe.

Zostawił szkołę za sobą, trawiąc odszyfrowane w końcu słowa:

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

Dante. I to nie w oryginale, ale w dość poprawnym tłumaczeniu... A mówią, że młodzież na takich zadupiach tyle wie, ile zje.

Ulica, nomen omen Szkolna, doprowadziła go do niewielkiego osiedla domków jednorodzinnych. Nie chciało mu się zwiedzać identycznych sześciennych chałupek. Minął je i skierował się do wysokiego budynku z ciemnej cegły. Początkowo brał go mylnie za zabytkową kamienicę, ale gdy wyszedł za róg, dojrzał wysokie, zakończone łukowato wrota i niewielką dzwonnice przylegającą do gustownej willi, prawdopodobnie plebanii.

Wszedł do dzwonnicy. Już z odległości kilku kroków zobaczył, że końce sznurów prowadzących do serc czterech niewielkich dzwonów znikają w niewielkiej maszynie pełnej trybów. Nadzieje związane z tajemniczym dzwonnikiem spełzyły więc na niczym.

Drzwi do plebanii nie były zamknięte i Andrzej nie zastanawiał się długo. Niewielki przedpokój wyłożony dębową boazerią prowadził do kilku pomieszczeń gospodarczych. W kuchni poczuł zapach pieczonego ciasta, ale otwarty piecyk był pusty.

Na pierwszym pięttrze, jak głosiła tabliczka na drzwiach, była

kancelaria parafii Najświętszej Marii Panny. Niestety, okazało się, że miejscowy kler nie korzysta z wszelkich udogodnień, jakie niesie ze sobą współczesna technika. Wprawdzie stały tu cztery całkiem nowe IBM-y, ale żaden nie miał karty sieciowej ani modemu. Andrzej z ciekawości otworzył kilka plików, ale albo były to rachunki parafialne, albo dane dotyczące owieczek wielebnego. Niektóre całkiem osobiste. Zastanowił go tylko wygaszacz jednego z ekranów. Wyglądał mniej więcej jak motyw z czołówki filmów z Jamesem Bondem. Fala czerwonej cieczy zalewała monitor, sącząc się od góry.

Drugie i ostatnie piętro willi zajmowały apartamenty księdza bądź księży z tutejszej parafii, urządzone dość nowocześnie i bez przepychu. W największym pomieszczeniu była biblioteka. Równe rzędy oprawionych w skórę tomów zawierały niemal całą polską klasykę, a do tego parę setek najbardziej znanych powieści literatury światowej. Nie brakowało też poezji.

Andrzej wziął do ręki otwartą książkę leżącą na stoliku obok patery, na której piętrzyły się kawałki świeżego jabłecznika. Tego samego, który tak pachniał w kuchni. Ciasto posłużyło za strawę cielesną, kilka wersów „Boskiej Komedii” za duchową. Ciekawe, pomyślał, zarówno uczniowie malujący mury, jak i ich ksiądz mieli te same zainteresowania literackie.

Odłożył książkę i wziął do ręki patere. Podszedł do panoramicznego okna, które zajmowało niemal całą powierzchnię szczytowej ściany. Widział znakomicie, jakby w powiększeniu, wejście do kościoła i niemal cały przykościelny plac. Dziwna optyka nierównej powierzchni szkła powodowała, że oddalone o dwadzieścia metrów kostki bruku znajdowały się jakby w zasięgu ręki. Nawet mgła nie rozmywała ostrości widoku.

Dłoń z jabłecznikiem wędrowała po raz kolejny do ust, gdy na skraju placu coś się poruszyło. Andrzej zamarł.

Po bruku szedł zapłakany chłopczyk. Mógł mieć nie więcej niż sześć, siedem lat. Był dość dobrze ubrany, ale umorusany jak sto nieszczęść. Rozglądał się i otwierał szeroko usta. Chyba krzyczał, ale grube szkło okna tłumilo każdy dźwięk. Andrzej stał jak zahipnotyzowany, patrząc

na malca idącego wolno w kierunku kościoła.

Wrota świątyni uchyliły się. Zapewne z głośnym skrzypieniem. Chłopczyk zatrzymał się i spojrzął w kierunku kościelnej bramy, po czym szybko pobiegł w tamtą stronę. Nagle potknął się i przewrócił. Zdarł sobie skórę na dłoniach i kolanie, co wyraźnie było widać nawet z tej odległości. Usiadł i rozplakał się.

Z kościoła ktoś wyszedł. Na pierwszy rzut oka był to ksiądz. Na pierwszy rzut oka, bowiem mężczyzna, pomimo podartej sutanny, nie bardzo go przypominał. Rozwiane poły kapłańskiej szaty odkrywały czarne skórzane spodnie i szeroki pas z kaburą, w której spoczywał dwulufowy obrzyn. Potężną pierś opinał pas z nabojami. Podwinięte rękawy odsłaniały skórzane osłony przedramion i zatknięte w nich sztylety. Długie, czarne włosy opadały mu na ramiona, falując przy każdym kroku. Na nogach miał okute motocyklowe buty. Koloratka pod szyją wydawała się pochodzić z innego świata. Ale najdziwniejsza była twarz. Łagodna, choć poznaczona głębokimi bliznami, z wąskimi niczym szparki oczyma.

Mężczyzna stanął przed chłopcem i podniósł go z bruku jedną ręką bez widocznego wysiłku. Otrzepał mu ubranie z pyłu i o coś zapytał. Mały wskazał wylot ulicy, z której przyszedł, i zaczął z przejęciem coś opowiadać. Mężczyzna słuchał uważnie, głaszcząc go po głowie. Potem odwrócił chłopaka do siebie i przyklęknął. Lewą rękę położył mu na ramieniu, a prawą starł mu łzy z twarzy. Malec uśmiechnął się blade i odwzajemnił spojrzenie.

Pozbawione życia małe ciało upadło na bruk u stóp wstającego mężczyzny niemal w tej samej chwili, co patera z ciastkami na grubym dywan biblioteki. Skręcenie karku chłopca trwało ułamek sekundy. Ruch ubranego w czerń człowieka był fachowy i szybki jak błyskawica. Dzieciak nawet nie wiedział, co go zabiło. Może nawet nie poczuł. Andrzej, będąc na miejscu małego, pewnie też dałby się zaskoczyć. Musiał to przyznać, pomimo piętnastu lat wyczerpujących treningów i dwukrotnego mistrzostwa Europy w aikido.

Mężczyzna spojrzął tymczasem w kierunku okna, jakby usłyszał

słumione brzęknięcie patery albo wyczuł instynktownie obecność kogoś obcego. Andrzej odskoczył od szyby i przywarł do dywanu. Miał nadzieję, że morderca go nie zauważył. Ciemne wnętrza pokoju i dziwne właściwości szkła powinny zawęzić pole widzenia, zwłaszcza z zewnątrz, ale nie był pewien, czy dobrze rozumuje. Starał się sobie przypomnieć, co sam widział, patrząc na plebanię. Wolał nie ryzykować jakiegokolwiek ruchu i tylko kątem oka patrzył na plac. Mężczyzna stał przez moment, po czym nałożył rękawice, podniósł zwłoki chłopca i zaniósł je do kościoła.

Andrzej wypuścił powietrze z płuc i wycofał się na korytarzyk. Podświadomie wstrzymywał oddech, jakby bał się, że nawet ciche westchnienie może go zdradzić. Zbiegł na parter, zeskakując po kilka stopni. Drogę przez drzwi frontowe odrzucił od razu. Być może ostrożne otworzenie ich uszłoby uwagi tajemniczego zabójcy, ale skryte oddalenie się z placu kościelnego mogło nastęrczyć wiele trudności.

Wybrał okno kuchni. To, które wychodziło na niewielki ogródek. Otworzył je, starając się zrobić to jak najciszej i szybko omiótł okolicę wzrokiem. Nic podejrzanego. Chwycił w dłoń wielki nóż kuchenny, przesadził parapet i przycupnął pomiędzy krzewami róży. Nie patrzył. Słuchał, ale cisza niemal kłuła go w uszy. Ruszył ostrożnie, starając się mieć w polu widzenia tę część terenu, która przylegała do dzwonnicy i placu. Nie niepokojony dotarł do starego zmurszałego muru z cegieł. Wspiął się na niewysoką przeszkodę i na chwilę zamarł. Za murem, w cieniu rozłożystych kasztanowców, rozciągał się niewielki cmentarz.

Nie miał jednak odwrotu, a umarli nie mogli być groźniejsi od realnego napastnika używającego śrutówki i sztyletów. Tego był pewien. Ześlizgnął się z muru i, nie wychodząc z cienia, zaczął oddalać się od majaczącej we mgle bryły kościoła. Był już prawie przy cmentarnej bramie, gdy usłyszał bicie dzwonu.

Miasteczko nie było duże, a teraz, gdy mgła zasnuła przedmieścia, zdawało się być jeszcze mniejsze. Andrzej dotarł do baru na ryneczku

dosłownie w trzy minuty po tym, jak opuścił cmentarz. Zlustrował przez okno wyloty obu ulic prowadzących w pobliże kościoła. Żaden dźwięk ani ruch nie mącił jednak spokoju Cichej Góry. Nagle poczuł ssanie w żołądku i zdał sobie sprawę, że od wielu godzin nie zjadł niczego prócz kilku kawałków jabłecznika. Kwaśno-słodki smak ciasta wzmógł jedynie wydzielanie soków trawiennych. W barze nie było niczego sensownego do jedzenia. Sprawdził to już poprzednio. Postanowił zwiedzić jedną z sąsiednich kamieniczek. Dobrze zapamiętał, które drzwi były otwarte.

Wyszedł na dwór i ostrożnie, niemal wtapiając się w mur, przeszedł do trzeciej bramy, licząc od baru. Drzwi nadal były lekko uchylone, tak jak je zostawił. Skrzypnęły, gdy wchodził do ciemnej klatki schodowej. Odczekał chwilę, stojąc z nożem w ręce za uchylonym skrzydłem drzwi. Wolał sprawdzić, czy ktoś za nim nie idzie, a przy okazji przyzwyczał wzrok do półmroku.

Na parterze było tylko jedno mieszkanie, chyba dozorcówka, bo w drzwiach zauważył niewielkie, zasuwane okienko. Drugie drzwi prowadziły na właściwą klatkę schodową.

Dozorcówka była zamknięta, ale bez trudu otworzył okienko. Zajrzał do zagraconego wnętrza. Potem wystarczyły dwa ruchy dłoni i „łucznicz” trzymający oba skrzydła drzwi był otwarty. Wślizgnął się do środka, natychmiast zamknął za sobą zamek i założył łańcuch na okienko, zabezpieczając się przed niespodziewaną wizytą faceta w czerni.

W pokojach od podwórza panowała ciemność. Tylko przez okna od ulicy wpadało trochę światła. Andrzej wszedł do kuchni i wyjrzał ostrożnie zza firanki. Zamglona ulica była puściutka. Uspokojony przejrzał zawartość niewielkiej lodówki i kilku szafek. Chleb nie należał do najświeższych, ale dał się przeżuć. Paszтет i żółty ser uzupełniły skromne menu. Jadł szybko, stojąc na tyle daleko od szyby, by przechodzący ulicą człowiek nie mógł go dostrzec. Jak się okazało, był to zbytek ostrożności. Miasto pozostawało ciche i nieruchome.

Typowe mieszkanie ubogich, acz schludnych ludzi, raczej nie powinno kryć niemiłych niespodzianek. Zastłonięte okna w pokojach od

podwórza nie pozwalały jednak dokładniej ich zlustrować. Andrzej podszedł więc do grubych, muślinowych zasłon i odchylił je delikatnie.

Początkowo myślał, że ktoś pomalował szyby na czarno, bowiem nadal było ciemno. Po chwili jednak zaczął za oknem rozpoznawać jakieś kształty. Gdy przyjrzał się uważniej, zobaczył całkiem wyraźnie rosnące na podwórzu drzewko.

Z tej strony domu panowała noc!

Wrócił do kuchni i rzucił okiem na ulicę. Wszystko wyglądało najnormalniej w świecie.

- Co jest?! - mruknął i sprawdził dla odmiany drugi z pokoi od podwórza.

Tutaj prócz okien znalazł jeszcze drzwi na werandę. Otworzył je ostrożnie i wyszedł na chłodne nocne powietrze. Lekki wiaterek poruszał gałęziami drzew. W oddali było słycać szum płynącej wody. Potok, a może rzeczka... Postanowił przejść się kawałek, ale nie na tyle daleko, by stracić z oczu werandę. Nie bał się ciemności, lecz uważał, że niepotrzebne ryzyko nigdy się nie opłaca.

Był w niewielkim sadku. Podszedł do jabłonki i zerwał owoc. Niestety, okazało się, że jabłko jest na wpół zgniłe. Podobnie jak kilka następnych. Za zbitym z desek płotkiem znajdowała się alejka prowadząca do śmietników i blaszanych garaży. Ruszył wzdłuż płotu i wtedy usłyszał szelest skrzydeł. Jakiś duży ptak szybował wysoko nad jego głową. Nie, co najmniej dwa, jeśli nie trzy.

Gwałtowne ruchy skrzydeł przybrały na sile. Andrzej podniósł głowę i próbował przebić wzrokiem egipskie ciemności.

To go uratowało.

Zauważył pikujący w dół czarny kształt na sekundę przed tym, nim wielki dziób kłapnął w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa. Pchnął na oślep nożem i chyba trafił drapieżnika, bowiem usłyszał przeraźliwy pisk i poczuł na twarzy coś mokrego.

Rzucił się do ucieczki, wiedząc, że napastnik nie jest sam. Do werandy miał nie więcej niż dwadzieścia kroków, a jednak musiał jeszcze czterokrotnie odparać ataki ptaków. Ciężko było rozpoznać ich kształty

w tak marnym oświetleniu. Gdyby nie gruba lotnicza kurtka, plecy Andrzeja zamieniłyby się w jedną wielką ranę. Uciekając, nie zawsze zdążył paść na ziemię, gdy cicha śmierć szybowała wprost na niego. Za czwartym razem zaatakowały dwa jednocześnie. Musiał przetoczyć się pod drzewka, tam przynajmniej nie mogły go tak łatwo sięgnąć. Ale stwory nie rezygnowały. Gdy tylko wystawiał głowę spod gałęzi, natychmiast reagowały.

Chcąc nie chcąc, musiał raz jeszcze zaryzykować. Do schodków i drzwi miał pięć kroków. Postanowił zrobić małe zamieszanie. Wskoczył spod drzewa, natychmiast się cofnął, a gdy ptaszyska przerwały pikowanie i ruszyły w górę, wybiegł z kryjówki. Z kurtką na głowie zmierzał w stronę werandy. Jeszcze trzy, jeszcze dwa kroki...

Nagle stanął twarzą w twarz z „księdzem”. Właściwie stanął przed obiema lufami jego obrzyna. Miał jeszcze tyle przytomności umysłu, by paść na ziemię ułamek sekundy przed oślepiającym błyskiem. Huk wystrzału ogłuszył go, ale śrut przeszedł górą. Pisk skrzydlatych bestii świadczył o tym, że tylko Andrzej wyszedł z tego starcia bez szwanku. Niemal natychmiast poczuł, że ktoś chwyta go za kołnierz i unosi. Przebierał bezładnie nogami, usiłując zaprzeć się na schodach, gdy raptem uścisk ustał. Zderzenie z podłogą było niespodziewane i przykre. Ale fakt, że leżał na pachnących kurzem i farbą deskach, oznaczał jedno. Był już we wnętrzu domu. Tyle, że nie sam.

Obok jego twarzy wylądowały dwie gorące loftki. To podziałało lepiej niż sole trzeźwiące. Poderwał się, gotów do natychmiastowego ataku, ale celny kopniak posłał go w kąt, na ziemię. Podniósł się na tyle szybko, by zobaczyć, że morderca zgrabnym mchem zamyka komory swojego obrzyna.

Nie strzelił jednak, choć wymierzył w Andrzeja.

- Uspokój się - powiedział ochryplym głosem i gestem kazał mu wyjść do przedpokoju.

Andrzej posłuchał. Nie miał najmniejszej szansy uniknąć następnego

strzału. Przynajmniej na razie.

Wyszli na korytarz i skierowali się od razu na ulicę. To mogła być najlepsza okazja do działania. Po wyjściu z ciemności na jasno oświetlony teren przeciwnik będzie potrzebował chwili na dostosowanie wzroku. I to musi wystarczyć na rozstrzygnięcie sprawy. Andrzej doskonale słyszał chrapliwy oddech tamtego. Szedł i przygotowywał się do jednego, jedyne go ataku.

Popchnął drzwi na całą szerokość i przekraczając niewysoki próg, potknął się, mrużąc oczy. Tamten też przystanął na chwilę, ale o krok później. Lewa noga Andrzeja wystrzeliła do tyłu, markując atak. Aikido było sztuką przejmowania ciosu, nie uderzeń. Dlatego musiał sprowokować zaskoczonego przeciwnika do nieprzemyslanej kontry. Mężczyzna zgodnie z przewidywaniem usunął się z linii ataku i podniósł rękę obciążoną bronią. Trzy ciosy w przedramię powinny były posłać ciężkiego obrzyna w głąb bramy. Powinny, ale nie zrobiły tego.

Facet był szybszy niż błyskawica. Cofnął rękę przed atakiem Andrzeja i sam skontrował. Trwało to może z sekundę, gdy w milczeniu szukali swych słabych punktów, zadając w tym czasie po kilka naprawdę szybkich uderzeń. Tamten trafił pierwszy. Raz, ale porządnie.

Andrzej poleciał na bruk. Próbował natychmiast wstać, ale ból promieniujący z wybitego barku uniemożliwił mu efektowną przerzutkę. Przewrócił się raz jeszcze prosto na obolałe miejsce. Gramoląc się z ziemi, usłyszał złowrogi szczeł odwodzonych kurków.

- Zrób to jeszcze raz, a przewietrzę ci łeb srebrnym śrutem - warknął facet w czerni, stając w bezpiecznej odległości.

Ostrzegął, ale nie strzelał.

Dobra nasza, pomyślał Andrzej, jeszcze nie wszystko stracone. Może tamten naprawdę nie wiedział, że był obserwowany przed kościołem.

-Przepraszam - powiedział powoli, klękając i podnosząc zdrową rękę. - Nazywam się Andrzej Eryk Arthmański. Jestem pisarzem. Trafiłem tutaj przypadkowo...

- Jak się tu znalazłeś? - Mężczyzna nie opuszczał broni.

- Miałem wypadek. Chciałem ominąć leżących na szosie

motocyklistów i mój samochód stoczył się ze skarpy niedaleko stacji benzynowej.

- To ciekawe...

- Przysięgam, że to prawda! Samochód wciąż tam jest. Srebrny peugeot 206, numer rejestracyjny W...

- On cię tu sprowadził! - nieznajomy przerwał Andrzejowi. - Pytanie tylko, dlaczego.

- Kto? O kim mówisz?

- Podnieś go! - Na bruku wylądował jeden ze sztyletów zabójcy. - Dwoma palcami!

Arthmański usłuchał i pewnie chwycił chłodny metal rękojeści. Sztylet był bogato

zdobiony i chyba stary. Ostrze odlano ze srebra...

- Dobrze, teraz odłóż go ostrożnie na ziemię - usłyszał kolejne polecenie.

Wykonał je.

- Odsuń się o trzy kroki.

Odsunął się i pozwolił tamtemu podnieść sztylet. Ostrze wróciło na skórzaną ochronę przedramienia, a kurki obrzyna na swoje miejsce.

- Witaj w Cichej Górze - powiedział „ksiądz”.

Najpierw poszli do baru, skąd facet w czerni zabrał torbę Andrzeja. Zwichnięty bark, pomimo fachowego nastawienia, nie pozwalał mu na niesienie takiego ciężaru.

- Kim pan jest? - zapytał Arthmański, zaskoczony obrotem sprawy.

- Popełniłeś podstawowy błąd, osądzając to, co widziałeś, bez poznania rzeczywistych motywów mojego działania - odpowiedział zabójca chłopca, nie zatrzymując się nawet.

Zatem wiedział o obecności Andrzeja na plebanii. Nie było sensu dalszego ukrywania tego faktu.

- Zabicie z zimną krwią dziecka bez względu na motywy jest rzeczą złą.

- Zobaczymy, co powiesz, kiedy dowiesz się wszystkiego.

- A kiedy dowiem się wszystkiego?
- Jeśli chcesz, to nawet za chwilę. - Facet w czerni poprawił torbę na ramieniu.
- Chcę.
- Od czego mam zacząć?
- Może od początku. Kulturalni ludzie mają w zwyczaju przedstawiać się.
- Oczywiście. Moje nazwisko nic ci nie powie, ale skoro chcesz je poznać... - Zabójca zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie jednym tchem: - Nazywałem się Tomasz Gabriel i byłem do niedawna proboszczem w kościele Najświętszej Marii Panny w Cichej Górze. Teraz jestem Łowcą.
- Łowcą?
- Łowcą Dusz. Tak mnie nazwali mieszkańcy tego miejsca, gdy tu przybyłem.
- To nie jesteśmy w Cichej Górze? - zdziwił się Andrzej.
- I tak, i nie...
- To zbyt enigmatyczna odpowiedź...
- Widzisz, przyjacielu. To miejsce wygląda jak moje miasteczko i jest nim, tyle że znajduje się poza strumieniem znanego ci czasu.
- Poza strumieniem czasu?
- Tak. Zostaliśmy przesunięci o ułamek sekundy w stosunku do czasu rzeczywistego, bądź, jeśli wolisz, do Wymiaru, z którego pochodzisz.
- Ale jak to możliwe?
- On stworzył to miejsce.
- On, czyli kto?
- Bahr Razael, Pan Śmierci i jedyny władca Królestwa Ciemności. - Gabriel splunął na bruk. - Ten, który ciebie tu sprowadził.
- Nie rozumiem.
- Ja też nie wszystko rozumiem, ale przyjmuję rzeczy takimi, jakimi są. A czasami nie są proste do zaakceptowania.
- Jak na przykład zabijanie dzieci?
- Jak na przykład zabijanie dzieci - nadspodziewanie łatwo zgodził się

„ksiądz”.

Szli przez dłuższą chwilę w milczeniu. Kierowali się ku kościołowi. Andrzej zastanawiał się nad tym, co usłyszał do tej pory, a jego przewodnik myślał, co jeszcze i w jakiej formie może powiedzieć.

- Widzę, że to zabijanie bardzo cię gnębi, przyjacielu - odezwał się w końcu Gabriel. - Dlatego powiem ci od razu i bez ogródek, o co w tym wszystkim chodzi. Bahr Razael został pokonany przed sześcioma tysiącami lat przez inne, równe mu istoty, te, którym się przeciwstawił. Nie był Bogiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Możesz go nazywać demonem, ale to nazwa nie w pełni adekwatna. W każdym razie Razael nie był wszechmocny, choć jego potęga przekraczała wszelkie ludzkie wyobrażenia. Na szczęście miał też swoje słabości.

A największa z nich to brak odporności na srebro. Tylko ono może go powstrzymać i tylko ono może go zranić. O zabiciu nie ma mowy. Razael jest nieśmiertelny...

- Wybaczy pan, znaczy ksiądz, ale to brzmi jak bredzenie szaleńca.

- Wiem, ale spójrz wokoło i powiedz, czy to nie wygląda na koszmar zrodzony w głowie szaleńca? I jeszcze jedno. Nie jestem już księdzem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Andrzej skinął głową.

- Wracając do dzieci - ciągnął Gabriel. - To miejsce zostało stworzone, by nasz przeciwnik mógł uwolnić się z więzienia, do którego trafił przed sześcioma tysiącami lat. Ktoś, gdzieś, ale nie tak dawno, naruszył starożytną pieczęć oddzielającą Wymiar, w którym go umieszczono, od naszego. To dało osłabionemu i trwającemu poza czasem Bahrowi nadzieję na powrót i zemstę. Miał jeszcze w sobie tyle mocy, by stworzyć maleńkie wrota między Wymiarami. Na tyle małe, by nie zauważyli ich Strażnicy Przymierza. Wrota, przez które zamierza wrócić. Oto i one... - Zatoczył krąg wolną ręką.

- Nie rozumiem.

- To miejsce istnieje jednocześnie w dwóch czasach. W naszym i tym. Tu jest królestwo Bahra Razaela, gdzie demon rośnie w siłę i zbiera swoje armie. Miałeś, Andrzeju, okazję poznać kilku z jego pobratymców

po stronie Ciemności...

Zatrzymali się obok wejścia na plebanię.

- Ale co mają z tym wspólnego dzieci?

- Tylko energia ich czystych dusz może zregenerować siły Władcy Ciemności i dać mu moc zerwania pozostałych pieczęci. Dlatego porywa je ukradkiem i przenosi do tego miejsca. Przenosi, by zabijać i pochłaniać ich energię.

-A ty?

- A ja przejmuję je i zabijam, zanim trafią w jego łapy, by nie mógł urzeczywistnić swojego planu. Każdy dźwięk dzwonu oznacza, że przybyła do tego Wymiaru nowa dusza. Żadna nie ma prawa trafić na Stronę Ciemności.

Andrzej pomyślał o córce i zbladł. Przypomniawszy sobie przecięty pas, brak śladów i swoje przebudzenie. Bał się zapytać, ale wiedział, że prędzej czy później to pytanie musi zostać zadane.

Weszli do pokoju na drugim piętrze plebanii i Gabriel wskazał łóżko.

- Możesz je zająć. Rzadko tu sypiam.

Ciężka torba wylądowała na dywanie. Arthmański schylał się, by ją rozpiąć, gdy „ksiądz” niespodziewanie zapytał:

- Syn czy córka?

- Słucham?

- W samochodzie był z tobą syn czy córka? Andrzej podniósł wzrok na beznamiętne oblicze Gabriela.

- A jakie to ma znaczenie?

- Dzisiaj dzwon zabrzmiał trzy razy. Trzy razy reagowałem.

Zimny dreszcz powędrował wzdłuż krzyża Andrzeja.

- Syn czy córka? - powtórzył pytanie Gabriel.

- Córka...

- To dziwne. - „Ksiądz” przysiadł na skraju stolika i potarł dłonią zarośnięty rzadkimi włosami policzek.

- Dlaczego dziwne?

- Były trzy sygnały i tyleż dzieci. Ale sami chłopcy...

Uczucie ulgi musiało odmalować się na twarzy Andrzeja na tyle

wyraźnie, że tamten to zauważył.

-Nie masz się z czego cieszyć - wycedził wolno. - To może znaczyć, że on ją dostał... Ja przynajmniej zabijam humanitarnie.

Arthmański rozłożył swoje rzeczy, a potem umył się. Gabriel w tym czasie przygotował posiłek. Zjedli przy stole w bibliotece. Potem napili się wina.

-Żeby przeżyć w tym świecie, musisz poznać najważniejsze zasady nim rządzące - powiedział Łowca, stojąc przy oknie z kieliszkiem w dłoni. - Postaram się przybliżyć ci kilka spraw. Te, które sam rozumiem. Może wspólnie dojdziemy do ciekawych wniosków i rozwiążemy tajemnicę.

Andrzej skinął głową, ale nie odpowiedział. Myślał o Asi. Starał się znaleźć w tej historii jakikolwiek punkt, który mógłby pomóc mu w odkryciu, co stało się z dzieckiem.

- Na początek powiem ci, jak ten świat jest ułożony - mówił tymczasem Gabriel. - To miejsce nazywam Tranzytem. Tutaj trafiasz po przeniesieniu z Wymiaru Czasowego Ziemi. Naprawdę jest tu dziwnie. Czas stoi w miejscu. Jedzenie i picie nigdy się nie kończą. Mam wodę, światło, energię. Wszystko, co działało w chwili przesunięcia, działa nadal. To, co było martwe bądź wyłączone, pozostanie takie na zawsze. I nie pytaj mnie, dlaczego tak się dzieje. Wiem jedno: Razael nie mógł stworzyć bezpośredniego przejścia do Ciemności. Od razu zostałyby wykryte. Dlatego ustawił Tranzyt, niewielkie przesunięcie pomiędzy światami.

Każde drzwi w tym mieście prowadzą do kolejnych Wymiarów, które nazwałem podświetłami. Widzisz dom, wchodzisz od ulicy, przechodzisz przez bramę i znajdujesz się w innym czasie, choć w tym samym miejscu.

- A z nich masz przejścia do kolejnych Wymiarów?

- Nie. Tamte podświety są spójne i skończone. Znajdują się w nich tylko jedne otwarte drzwi.

- Mówisz, jakbyś dobrze poznał.

- Gdy tu trafiłem, wszystkie były jasne. Mogłem je zwiedzać do woli. Rozmawiałem też z miejscowymi ludźmi, którzy podobnie jak ja znaleźli się tu przez przypadek.

- Wierzysz, że to przypadek sprawił, że trafiłeś do Cichej Góry?

- Wierzę, demon musiałby być szaleńcem, by sprowadzać sobie na kark kogoś takiego jak ja.

- Zostawmy to na razie. Nie wyjaśniłeś mi, co z tymi podświatami.

- Z każdą pochłoniętą przez Razaela duszą, kolejny Wymiar trafia we władanie Ciemności. Nie wiem tego na pewno, ale myślę, że gdy wszystkie znajdą się po stronie wiecznej nocy, nadejdzie koniec świata. Naszego świata.

- Ile jest jeszcze takich jasnych podświatów czy, jak wolisz, Wymiarów?

- Nie więcej niż tuzin.

- Dlaczego te potwory nie atakują nas tu, w Tranzycie? Boją się światła?

- Nie. Dla nich nie ma granic. Dlatego staram się pieczętować srebrem wszystkie drzwi do skażonych Wymiarów. To najskuteczniej powstrzymuje ekspansję demonów. Kiedyś próbowałem oczyszczać podświaty z potworów, ale nie dość, że było to niebezpieczne - Gabriel pogładził jedną z blizn na twarzy - to jeszcze straciłem większość dostępnego kruszcu. Teraz mam go jeszcze na kilkadziesiąt naboń bądź parę pieczęci.

- Ten dom, do którego trafiłem... - zaczął Andrzej który od paru chwil nie słuchał dokładnie wypowiedzi Łowcy. - Brama była otwarta, ale na podwórzu panowała Ciemność.

- Nowo zainfekowany obszar - mruknął Gabriel.

- Myślisz, że moja córka...

- Nie. W ostatnim miesiącu wymknęły mi się co najmniej cztery dusze. Ulicy Bankowej nie pieczętowałem w tym czasie. Dobrze, że mi o tym przypomniałeś. Trzeba będzie zająć się tą sprawą.

Arthmański odstawił kieliszek na stół.

- A ty? - zapytał. - Jak tu trafiłeś?

- Byłem na polowaniu w lesie z kilkoma przyjaciółmi z koła

łowieckiego. Weszliśmy w straszną mgłę. Gubiliśmy się po kolei w gęstej jak mleko zawiesinie. W końcu zostałem sam i wtedy usłyszałem dzwon... Ten dzwon...

- Dobrze, że miałeś przy sobie broń. - Andrzej wskazał obrzyna. - Tutaj chyba ciężko o takie cacko?

- Dokładnie.

- Ze srebrem też powinno być krucho...

- Tu się zdziwisz. - Łowca uśmiechnął się.

- Nie rozumiem. - Andrzej naprawdę był zdziwiony. - Przecież w świecie stworzonym przez demona nie powinno być srebra, które mu szkodzi.

- Nie powinno, ale srebro jest jedyną rzeczą, która może zamaskować obecność bramy. Dlatego mogłem tu znaleźć przedmioty z tego kruszcu. Niestety, tylko tu. W żadnym z podświetłów nie widziałem nawet najdrobniejszego okruszka.

- A co z wyj ściem?

- Jakim wyjściem?

- Skoro jest wejście, przejście, jakkolwiek je nazwać, to musi być i wyjście.

- Znasz aramejski albo łacinę? - zapytał Gabriel niespodziewanie.

-Niespecjalnie - odparł Arthmański niezupełnie zgodnie z prawdą. - Teraz już nie uczą martwych języków.

- Nie szkodzi, chodź, pokażę ci coś.

Zeszli na dół. Gabriel ruszył wprost do kościoła. Andrzej niechętnie podążył za nim. Wciąż pamiętał, że to tutaj trafiły zwłoki chłopca.

Wnętrze nawy było ciemne i chłodne, ale jedyny zapach, jaki dało się w nim wyczuć, daleki był od tego, którego się spodziewał. Kadzidło, może trochę zwykłego dymu. Szedł za Gabrielem, który miarowym krokiem zmierzał do ogromnego ołtarza przypominającego raczej rzeźbę abstrakcyjną niż miejsce kultu.

- Nie przejmuj się wyglądem tego miejsca. - Łowca jakby odczytał

myśli Andrzeja. - Tak naprawdę to nie kościół. To nigdy nie był kościół. Razael bał się odwzorować miejsce poświęcone, więc stworzył jedynie skorupę. Podobnie jest z wieloma domami, nawet samochodami. Z zewnątrz wyglądają jak prawdziwe, ale są pełnymi bryłami, jakby modelami.

Andrzej skinął głową. Przypomniwał sobie głuchoe odgłosy stukania w drzwi.

- Jak widzisz - ciągnął Gabriel - wewnątrz urządził nieco inaczej...

Dotarli do podwyższenia z niby-ołtarzem. Na środku posadzki widniał okrągły otwór o średnicy może półtora metra. Wzdłuż jego krawędzi biegła niziutka cembrowina, a może raczej obramowanie, pokryte gęsto niewyraźnymi znakami.

- To moje największe źródło wiedzy o tym świecie - powiedział Gabriel. - Studnia Dusz. Tutaj napisano o Razaelu, o konstrukcji Wymiarów, o sposobach podróży między nimi, o Przepowiedni. Nie ma jednak nawet słowa o wyjściu.

- Stąd nie ma wyjścia?

- Sądzisz, że zabijałbym wszystkie te dzieci, wiedząc, że wystarczy odprowadzić je na jakąś polankę albo wypchnąć przez kolejne drzwi...

- No, nie... Ale...

- Próbowałem, próbowałem jak szalony wydostać się z tego więzienia. Brodziłem we mgle godzinami, czasami nawet całymi dniami. Zawsze wracałem na obrzeża Cichej Góry. Czasami przyzywał mnie dzwon, czasami nagle wyłaniałem się z mgły. Ale zawsze pojawiałem się dokładnie w tym samym miejscu.

Andrzej wiedział, że jego rozmówca mówi prawdę. Bolesną prawdę o miasteczku poza czasem.

- Zdaje mi się - Gabriel odszedł od otworu - że trafiamy tutaj przez jakąś niedokładność w styku Wymiarów. Takie zjawisko powstaje niezwykle rzadko i znalezienie się w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie jest niemal niemożliwe.

- A może wchodzimy jak do pułapki? Może jesteśmy tylko rozrywką wielkiego

demona?

- I tak może być. Bahr ma moc ściągnięcia tu dzieci. Mógł ściągnąć i nas. Chociaż... nadal nie rozumiem, co chciał osiągnąć, pozwalając sobie przeszkadzać. Gdyby nie ja, już dawno zaludniłby wszystkie Wymiary.

- Może w tej przepowiedni, o której wspomniałeś, jest coś na ten temat? Możesz mi ją odczytać?

-Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie muszę jej czytać. Znam ją na pamięć:

*Sto i cztery dusze krwią niewinną oczyszczą szlaki Pana.
By każdy żywioł ustąpił przed nastaniem Wiecznej Nocy
Pięć pieczęci odwiecznych musi być pierwszej złamane,
Dopiero potem nastanie bezkresne Królestwo Ciemności*

- Czym są owe pieczęcie? - zapytał po chwili Andrzej.

- Tego nikt nie wie. W każdym razie nikt ze śmiertelnych. Ale co najmniej jedna musiała ulec zniszczeniu, skoro Razel odzyskał część władzy.

- Sto cztery dusze...

- Tyle jest podświetłów, dokładnie. Skatalogowałem je na plebanii.

- Niewiele już brakuje, by spełniła się przepowiednia.

- Dopóki czuвам - powiedział Łowca ze złowrogim błyskiem w oku - Bahr pozostanie tam, gdzie go umieszczono.

- Sam go nie powstrzymasz.

- Przez tyle lat mi się to udawało...

-Ale wciąż uciekają ci pojedyncze duszyczki. Gabriel przyznał rację skinieniem głowy. Chciał coś powiedzieć, ale zza grubych murów dobiegł ich przenikliwy dźwięk dzwonu.

- Coś się dzieje. - Łowca ruszył żwawo do wyjścia, nie czekając na towarzysza. -Niekiedy trzeba kilku dni, by przybyła kolejna ofiara demonu. A dzisiaj mamy już czwarty alarm.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?! - krzyknął za nim Andrzej.

- Sprawdź wszystkie otwarte drzwi i Wymiary za nimi! Spisz je, a postaram się jeszcze dziś zapieczętować przejścia do zainfekowanych podświatów!

Kłęczący przy Studni Dusz Andrzej został sam. Zajrzał do wnętrza, ale studnia zdawała się nie mieć dna. Nagle z otchłani wydobył się cieplejszy podmuch powietrza. Czyżby prowadziła do innego świata? A może do więzienia samego Razaela?

Odsunął się znad krawędzi i poderwał na nogi. Nie odszedł jednak. Zaczął odcyfrowywać na wpół zatarte napisy na cembrowinie. Faktycznie był to aramejski. Pasja nauki starożytnych języków, jakiej oddawał się od początkowych lat studiów, okazała się teraz nadzwyczaj pomocna. Potrafił odczytać większość słów, chociaż z niektórymi miał sporo kłopotu. Napisy z grubsza mówiły o tym, co słyszał od Gabriela. Ale nie tylko o tym. Równie ciekawy był fragment dotyczący samego Pana Ciemności. Niestety, spora część inskrypcji była już nieczytelna. Jakby ktoś stał ją, czy też zeszlifował.

Gabriel niósł do kościoła ciało dziesięcioletniej dziewczynki. Andrzej obserwował go z okna plebanii. Pozbycie się zwłok trwało nie więcej niż pięć minut. Gdy Łowca znów wyszedł na zewnątrz, od razu skierował się do domu.

- Sprawdziłeś? - zapytał, siadając ciężko w fotelu.

- Tak. Na czternaście par otwartych drzwi, za jedenastoma nadal jest dzień.

- Zapisales, które prowadzą do Ciemności?

- Tam masz dokładne adresy. - Andrzej wskazał kartkę leżącą na stole.

- Po drugiej stronie są drzwi do jasnych Wymiarów.

- Dziękuję.

- Mam pytanie...

- Pytaj. - Gabriel nie otworzył nawet oczu.

- Dlaczego nie zamkniesz wszystkich drzwi w mieście? W ten sposób żaden dzieciak nie będzie mógł wejść do innego Wymiaru.

- Nie na tym to polega. - „Ksiądz” ciężko westchnął. - Nie mogę zamknąć drogi do miejsca, gdzie nie ma Ciemności. Próbowałem, ale to

nic nie daje. Dopiero, gdy taki Wymiar zostanie zainfekowany, pieczęć ze srebra pozwala go odizolować. Zanim się w tym połapałem, zaliczyłem parę mało przyjemnych spotkań. Teraz, na szczęście, w Tranzycie nie ma już ani jednego sługi Razaela. Mam dość czasu, by namierzyć prawie każdego dzieciaka, zanim pojawi się demon we własnej osobie.

- On tu przychodzi?! - Arthmański zerwał się z fotela.

- Jeśli się spóźnię. I tylko po dzieci. Reszta świata go nie interesuje. Nawet mnie omija...

- Nie uważasz, że coś w tym musi być?

- To pewnie te pieczęcie. Nie mogłem odcyfrować napisów, które o nich mówią. Są zbyt zatarte. Tylko one mogą być przeszkodą. Tylko one.

- Racja - zgodził się Andrzej.

- Odpocznij teraz - mruknął Gabriel, nadal nie otwierając oczu. - Od jutra podzielimy się obowiązkami. Skoro już tu jesteś, powinienes się na coś przydać.

- Nie jestem dobrym materiałem na Łowcę.

- Ja też nie byłem. A przynajmniej tak mi się na początku wydawało.

Minęły dwa umowne tygodnie, podczas których Andrzej pilnie uczył się topografii miasta. Umowne, gdyż tylko od tego, jak traktowali czas, zależało, czy w Tranzycie jest noc, czy dzień. Niemniej dzielenie czasu na dzień - pracę i noc - odpoczynek uznali za dobry pomysł.

Arthmański starał się pracować bardzo intensywnie, tylko w ten sposób mógł zapomnieć o strachu, który odżywał za każdym razem, gdy kładł się spać. Asia żyła, był tego pewien. Błąkała się gdzieś samotna wśród mgieł, liczyła na niego i starał się jej nie zawieść. Tylko Łowca był w stanie jej pomóc.

W każdym razie po czterech umownych dniach Andrzej był już w stanie trafić bez większych pomyłek pod każdy wskazany adres. Do jego obowiązków należało też sprawdzanie otwartych drzwi. Tak na wszelki wypadek, bowiem Gabriel wyraźnie powiedział, że infekcja następuje po wchłonięciu przez Razaela kolejnej duszy. A to nie mogło się odbyć bez

wiedzy ludzi z Tranzytu.

Niemniej Arthmański chodził grzecznie i zaglądał przez okna na podwórza domostw. Zawsze z tym samym skutkiem.

Przez dwa tygodnie zdarzyły im się tylko dwa alarmy. W obu przypadkach Łowca znalazł dzieciaka w pierwszej godzinie i w obu przypadkach Andrzej wolał być w tym czasie z dala od kościoła. Piętnastego dnia podczas obchodu znowu usłyszał dźwięk dzwonu.

Dotarł właśnie do domu samotnie stojącego na końcu ulicy przylegającej do szkoły. To były na jego liście drzwi numer jedenaście. Wcześniej tego nie robił, ale postanowił zajrzeć na tamtą stronę. Na chwilę, tak tylko, by zaprzatnąć czymś myśli i oddalić się od miejsca kolejnej kąpieli.

Zdecydowanym ruchem popchnął drzwi w korytarzu i wyszedł na zagracone podwórko. Z prawej strony widział majaczący we mgle budynek szkoły. Z lewej działki i rozległą łąkę. Początek łąki.

Ruszył na prawo. Znalezienie dziury w płocie nie zajęło mu wiele czasu. Przez dość duże boisko przeszedł do bramy wyjściowej na ulicę Kościelną. Z tego miejsca budynek świątyni nie był jeszcze widoczny. Andrzej znał jednak doskonale miejsce, w którym się znalazł. Otworzył furtkę i pomaszerował wprost pod bramę kościoła. Była zamknięta, dokładnie tak, jak opisał Gabriel. Podobnie drzwi na plebanię i do innych budynków przy placyku. Łowca mówił prawdę, ale Andrzeja coś ciągnęło do wnętrza świątyni. Przeszedł wzdłuż zewnętrznego muru, szukając jakiegokolwiek otworu, który mógłby posłużyć za wejście. Nie znalazł. Zawrócił pod bramę. Raz jeszcze uwiesił się na wielkiej kłamce. Coś chrobotnęło w zamku, ale drzwi nie puściły. Odszedł na kilka kroków i zmierzył wzrokiem ścianę. Wtedy też zauważył pierwszą zmianę. Zrobiło się ciemniej. Powietrze stało się mniej przejrzyste, ale nie za sprawą mgły. Ta zdawała się wycofywać.

A jeśli mgła się wycofywała, to on powinien zrobić to tym bardziej. Wszystko wskazywało na to, że Ciemność przeniknęła i do tego Wymiaru. A jeśli tak, to znaczy, że... Łowca tym razem zawiódł.

Andrzej czuł się, jakby trafił do kina na chwilę przed rozpoczęciem

seansu. Nie było chmur zasnuwających niebo, po prostu natężenie światła malało z sekundy na sekundę. A najciemniej było przy kościele, jakby to właśnie świątynia stanowiła jądro ciemności.

Postanowił nie czekać na całkowity mrok, choć wiedział od Gabriela, że demony pomniejsze nie pojawią się tak od razu. Zrobił parę kroków w stronę węgła, gdy usłyszał za plecami skrzypnięcie. Wyszarpnął nóż i odwrócił się gwałtownie. Ostrze ze stali nie na wiele by się zdało przeciw demonowi, ale mimo wszystko czuł się pewniej z bronią w dłoni.

Plac był pusty. Rozejrzał się uważniej. Nie spostrzegł niczego, ale dźwięk się powtórzył. Zawrócił i podszedł ostrożnie do wrót. Z bliska widział wyraźnie, jak się poruszyły. Sięgnął do klamki. Nie musiał jej nawet naciskać. Ciężkie drzwi uchyliły się lekko, ale z głośnym skrzypieniem. Zajrzał do środka. Stał przez chwilę niezdecydowany, po czym ruszył przez nawę główną wprost do ołtarza.

Biegł. Skoro podjął już tę decyzję, chciał wykonać robotę jak najszybciej. Przeskoczył stopnie i dopadł brzegu studni. Identycznej jak ta w Tranzycie. Niemal identycznej. Tak jak się domyślał, tu inskrypcje na cembrowinie nie były starte. Jednakże było już za mało światła, by mógł je odcyfrować. Przeszukał kieszenie. W jednej z nich miał kilka kartek i automatyczny, miękki ołówek, którym czasami szkicował portrety bliskich. Teraz zestaw ten posłużył mu do sporządzenia harcerskim sposobem kopii napisów. Może nie wyjdą zbyt wyraźnie, ale większość powinna być czytelna. Układał kartki na cembrowinie w miejscu, gdzie, jak pamiętał, brakowało napisów i pocierając delikatnie ołówkiem powierzchnię papieru, tworzył odkalkowany obraz wykutych w kamieniu słów. Trwało to chwilę. Na tyle dłużej, by za oknami pojawił się zmierzch.

Skończył wreszcie kopiować ostatni kawałek inskrypcji. W sumie miał siedem stron pokrytych pismem. Spojrzał na okna, potem w kierunku bramy. Wnętrze kościoła zdawało się jaśniejsze niż powietrze na dworze. Złudzenie czy fakt? Nie miał czasu tego roztrząsać. Demony zaczęły się już pewnie wykluwać.

Wybiegł z kościoła i ruszył pędem w kierunku szkoły. Do bramy

dobiegł bez problemu, ale na kratownicy dostrzegł jakiś kształt. Nie skrzydlaty, raczej przypominający pająka. Tylko czy są gdzieś pająki o sześciu odnóżach i ludzkiej głowie? Andrzej nie zatrzymał się. Z rozbiegu kopnął potwora w sam środek szarej twarzy. Zaskoczony, a może jeszcze niezbyt ukształtowany demon opadł na ziemię i zaczął walić na oślep grubymi jak ramię mężczyzny odnóżami. Andrzej z przerażeniem zauważył, że na końcu każdego z nich znajdowała się niemal ludzka dłoń o wielkich szponach.

Minął wierzgającą bestię i popędził przez boisko, starając się sobie przypomnieć, w którym miejscu wysokiego na trzy metry płotu znalazł dziurę. Zresztą, nie miało to większego znaczenia. W narastających szybko ciemnościach i tak coraz mniej już widział. Nie słyszał szelestu skrzydeł nad sobą, co bardzo go cieszyło. Ostatnie spotkanie z harpiami przypłacił utratą ulubionej kurtki. Dzisiaj mogło być znacznie gorzej.

Dobiegł do płotu i od razu zaczął się nań wspinać. Starą metodą, jeszcze z dzieciństwa, gdy jak mały śmigali po piłkołapach, dotarł na szczyt i przerzucił ciało na drugą stronę. Zejście, a właściwie ześlizgnięcie się, trwało może ze dwie sekundy.

Przysiadł przy płocie, starając się ocenić kierunek dalszej ucieczki. Ciemność była gorsza od mgły. Nie widział domu, choć ten musiał być oddalony najwyżej o dziesięć metrów. Problem tylko w tym, w którą stronę powinien biec i czy w ogóle powinien biec. Na podwórzu stało wiele gratów, a każdy upadek mógł zakończyć się tragedią.

Wybrał wariant pośredni. Ruszył do przodu z wyciągniętymi rękoma i z nożem przygotowanym do natychmiastowego pchnięcia. Minął tak dwie przeszkody i dotarł do dużej pionowej płaszczyzny. Mogła to być tylko ściana domu. Zatem powinien kierować się na prawo do rogu, a potem wzdłuż drugiej ściany do schodów. Wzrok powoli przystosowywał się do warunków, choć było znacznie gorzej, niż podczas pierwszej wizyty po stronie Ciemności. Posuwał się pomalutku, nasłuchując, czy przypadkiem nie nadlatują skrzydlate demony. Ale było jeszcze cicho. Na tyle, że usłyszał słaby szelest, zanim dotarł do rogu.

Coś kryło się za załomem ściany. Coś, co oddzielało go od przejścia

odległego w tej chwili zaledwie o parę metrów. Jeśli był to jeden demon, miał szansę na przechytrzenie go. Jeśli było ich więcej, tu urywała się linia jego życia. Pomyślał chwilę i cofnął się o krok. To coś, ukryte za rogiem, nie poruszało się. Przesunął ręką po ziemi, gdzie tutaj leżało kilka desek i trochę gruzu. Namacał spory kawałek drewna. Podniósł go, starając się nie wywołać najmniejszego hałasu.

Udało się połowicznie. Kilka grudek zaschniętego błota upadło na inne deski. „Coś” zza węgła poruszyło się nerwowo. Wtedy Andrzej ruszył do przodu i dobiegając do rogu, rzucił deskę w głąb podwórza. W ślad za nią z głośnym sykiem poleciało kilka wężowych kształtów. Nie widział ich dokładnie, ale chrzęst miazdżonego drewna powiedział mu, jaki był ostateczny los deski.

W tym czasie skręcał już za róg i kilkoma susami dopadł schodów. Potknął się o pierwszy stopień i boleśnie uderzył głową w ścianę. Pomimo szumu w uszach i latających przed oczami płatków nie zatrzymał się. Wpełzł po stopniach i wtoczył się na korytarz. Nogą zatrzasnął drzwi.

- Pieprzę was, cholerni wujkojebcy! - wychrypiął w kierunku drzwi. Zapamiętał ten zwrot z jakiegoś filmu. Z jakiegoś powodu wydał mu się najbardziej adekwatny do tej sytuacji.

To coś z podwórza nadal czuło ofiarę. Napierało z furią na przeszkodę, tłukąc spazmatycznie kończynami w metalową płytę. Ale drzwi nie poddawały się. Andrzej wstał i otarł pot z zakrwawionego czoła. Syknął z bólu, sól wżerała się w otwartą ranę. Podszedł do drzwi i zasunął oba skoble, które pieczołowicie przytwierdził w tym miejscu zaledwie kilka dni temu. Nie dlatego, by powstrzymać demony. Tak prymitywną metodą nie dałoby się ich zatrzymać. Bardziej chodziło mu o dzieci. Umieszczone na samej górze futryny skoble były dla nich niedostępne. A to gwarantowało kolejne kilkanaście minut dla Łowcy i zawęzło teren jego poszukiwań.

Ledwie zasuwy znalazły się na miejscu, łomotanie umilkło. Andrzej wyszedł z bramy i zmrużył oczy przed jasnym światłem. Spokojnie, jakby nigdy nic, ruszył ulicą w kierunku plebanii.

Zdążył się wykapać i przebrać, zanim wrócił Łowca. Gabriel był dziwnie markotny. Mruknął coś na powitanie i nalał sobie pełen kieliszek wina. Wypił go jednym haustem. -Drzwi numer jedenaście - powiedział Andrzej.

- Już wiesz?

- Byłem tam akurat. - Pokazał opatrunek na głowie.

- Jeszcze jeden Wymiar dla niego.

- Widziałem całą przemianę - pochwalił się Arthmański.

Gabriel popatrzył na niego ciekawie.

- Kto cię tak urządził?

- Nie wymieniliśmy się wizytówkami - zażartował Andrzej.

- Pytam poważnie. Jak wyglądała ta istota? Niektóre z nich sąjadowite...

- To był kamień. - Arthmański nie skłamał, ale i nie powiedział całej prawdy. - Ze strachu wywaliłem się na schodach. Byłem tuż za domem, kiedy to się zaczęło.

- Twoje szczęście. Zaraz zapieczętuję te drzwi. Gabriel nie rozebrał się, jak to miał w zwyczaju, nie zdjął nawet rękawic. Zakrzętnął się przy szafce, w której trzymał srebro, i wyjął z niej niedużą grudkę metalu. Zważył ją w dłoni, po czym zabrał palnik i wyszedł bez słowa.

Andrzej widział, jak skręca za róg kościoła, idąc pewnym, równym krokiem. Postanowił, że zachowa swoje znalezisko w tajemnicy, aż nie rozszyfruje wszystkich brakujących napisów. Wtedy przekaże je Gabrielowi. Na pocieszenie. Liczył na to, że w inskrypcjach ze studni będzie coś ciekawego.

Następne kilka dni upłynęło spokojnie. Nie było ani jednego alarmu. Dzwon milczał jak zaklęty. Andrzej miał mnóstwo czasu. Nie zaniedbywał obchodów, ale te zajmowały mu góra godzinę. Resztę czasu spędzał na plebanii. Najpierw w kancelarii, korzystając ze skanera,

przerobił kartki z kościoła na tiffy. Potem przeniósł się na drugie piętro i na laptopie opracowywał kolejne sekwencje znaków. Zaczął od identyfikacji najwyraźniejszych liter i sztukowania tych, które mógł rozpoznać. Przypominało to trochę rozwiązywanie krzyżówki z hasłem. Ustawienie części liter pozwalało często na odgadnięcie hasła pomimo wielu braków. Zależało to tylko od uporu i inteligencji osoby rozwiązującej łamigłówkę. A tych dwóch cech Arthmańskiemu nie brakowało.

Gabriel nie interesował się zbyt dłużej Andrzejem. Zresztą, nigdy nie pracował on nad dokumentami w towarzystwie Łowcy Dusz. Tajemnica miała pozostać tajemnicą. Do końca, a ten przy mozolnym tempie pracy nie mógł nastąpić wcześniej niż za dwa, trzy tygodnie.

Wieczorem szóstego dnia od stracenia ostatniej duszy usiedli jak zwykle w bibliotece i rozmawiali dla zabicia czasu. Tematy, które podejmowali, były zazwyczaj neutralne. Żaden nie miał ochoty na irytowanie drugiego. Skoro los zetknął ich na dłużej, starali się oszczędzać nawzajem.

- Chciałbym zadać ci jedno pytanie, Andrzej... - Ton, jakim Łowca wypowiedział to zdanie, sugerował, że tym razem chodzi o coś poważniejszego.

-Tak?

- Chodzi o twoją córkę... Andrzej odłożył książkę, którą przeglądał, i spojrzał na Gabriela.

- O Asię?

-Tak.

-Pytaj.

- Chciałbym wiedzieć, czy... Czy byłbyś w stanie... zabić ją, gdyby mnie zabrakło...? Andrzej milczał. Przed oczami miał uśmiechniętą twarz Asi. Jak mógłby podnieść na

nią rękę?

- Chyba nie...

- Nawet gdybyś wiedział, że od tego zależy los twojego świata? - zapytał cicho Gabriel.



- Po co pytasz? Przecież wiesz, że ona od dawna nie żyje.

Łowca milczał, ale to milczenie było wymowne. Andrzej poczuł dziwne mrowienie w mostku.

- Ty coś wiesz? Widziałeś ją!!! - To drugie zdanie wykrzyczał, zrywając się na nogi. - Uspokój się, przyjacielu. - Gabriel też wstał. - Nie widziałem twojej córki, ale...

Znalazłem coś, co być może do niej należało. - Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął chusteczkę do nosa. Niewielką kraciastą chusteczkę.

Serce Andrzeja zabiło co najmniej dwukrotnie mocniej i szybciej.

- Gdzie... - Głos, jaki wydobył się z jego gardła, przypominał raczej jęk niż normalną mowę. - Gdzie... to znalazłeś?

- W jednym z domków na południowym przedmieściu.

- Chodźmy tam zaraz. - Andrzej zerwał się z fotela.

- Nie ma po co. - Łowca uspokoił go gestem. - Sprawdziłem wszystko. Dziewczynka mieszkała w tym domu przez tydzień albo i dłużej, ale już od dawna jej tam nie ma.

Andrzej usiadł.

- Ale jak...

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak mogła się tak długo utrzymać przy życiu. Że jej nie znalazłem to jedno, ale fakt, że Razael jej nie dopadł, jest co najmniej zastanawiający.

- Asia żyje...

- To jest niemal pewne. Od chwili, gdy się tu pojawiliście, tylko jeden Wymiar został zainfekowany. Ty to wiesz najlepiej. A to znaczy, że żadna dusza nie została zaabsorbowana przez demona.

- Asia żyje! - powtórzył Andrzej, tym razem głośniej.

- Tak i dlatego chciałbym zadać ci osobiste pytanie.

- Pytaj śmiało. - Uradowany Andrzej nie zwrócił uwagi na zagadkowe spojrzenie przyjaciela.

- Czy twoja córka była czysta?

- Słucham? - Arthmański nie zrozumiał sensu pytania.

- Czy była... dziewicą?

- Oszalałeś! - ryknął. - Ma dopiero sześć lat!

- A pedofilia jest plagą waszego świata - odparował Gabriel.

To stwierdzenie usadziło Andrzeja w miejscu. Zamierzał wykrzyczeć całą złość na byłego księdza, ale teraz porażony ostatnim zdaniem jedynie usiadł i poruszał bezdźwięcznie ustami. Łowca podszedł do niego i nalał mu wina.

- Napij się i ochłoń. Zadałem ci proste pytanie. Andrzej opróżnił kieliszek i nalał

sobie następny.

- O ile wiem - powiedział - to nigdy nie miała takich problemów.

- O ile wiesz?

- Jestem pewien.

- Dobrze, wierzę ci. Znasz ją lepiej. To znaczy, że chodzi o coś innego.

- O co?

- Nie pytaj mnie. Wiem tyle, co i ty.

Słowa te brzmiały Andrzejowi jeszcze długo w uszach. I nie tylko dlatego, że pochodziły z jakiejś piosenki.

Obudził go dźwięk dzwonów. Kolejny dzieciak dostał się do Tranzytu. Zerwał się z fotela, na którym zasnął i ruszył do wyjścia. Piętro niżej trzasnęły drzwi. Łowca już zbiegał po schodach.

- Sprawdź przy szkole i na osiedlu! - krzyknął z parteru. - Ja biorę drugą stronę miasta!

Zapadła cisza. Zszedł ze schodów powoli, nie musiał się spieszyć. Do tej pory Gabriel wyznaczał mu najmniej prawdopodobne tereny poszukiwań. I dobrze, bo Arthmański nie wiedział, czy byłby w stanie zabić dzieciaka. Nie był nawet pewien, czy zdobyłby się na oddanie go w ręce Łowcy.

Domysły domysłami, ale starał się wykonywać swoje obowiązki najlepiej jak mógł. Obszedł budynek szkoły, boisko, potem zarośla za salą gimnastyczną. Zatrzymał się dopiero przy ścianie gęstniejącej mgły. Tu zaczynała się niewidzialna granica Tranzytu. Skręcił na prawo i dotarł tak do płotu oddzielającego osiedle od terenu szkolnego. Jakiś

czas temu rozciął tu siatkę, żeby nie przełazić podczas obchodu przez płot ani nie nadrabiać drogi.

Schylił się, by przedostać się przez dziurę i zobaczył na jednym z drutów strzępek czerwonego materiału. Kawałek koszuli albo sukienki. Serce zaczęło bić mu szybciej.

- Hej, wiem, że tu jesteś! - krzyknął w stronę domków. - Wyjdź, chcę ci pomóc!

Nie usłyszał odpowiedzi.

- Nie bój się! Pomogę ci! - Nie przestawał wołać.

Dwie pierwsze ulice były puste. Na trzeciej mieścił się jeden z wciąż otwartych domów. Tam skierował swoje kroki. Wszedł do sieni i otworzył drzwi do piwnicy. Zapalił światło i w labiryncie wąskich korytarzy odnalazł drogę do tylnych drzwi. Jedna z dwóch zasuw była na wpół odsunięta.

- Jesteś tutaj? - spytał spokojnie i w miarę cicho. Nasłuchiwał przez chwilę i uchwycił cichutki szmer.

Czego jak czego, ale szcurów w Cichej Górze nie było.

- Nie bój się. Przyszedłem, żeby ci pomóc. - Starał się mówić cały czas łagodnie, wesołym tonem, żeby zdobyć zaufanie malca.

Kolejny nieco głośniejszy szelest wskazał mu właściwą drogę. Dziecko schowało się za przymą węgla. Zachowując ostrożność, zajrzał w ciemny kąt. Niewiele widział, ale czerwień sukienki zdradziła miejsce ukrycia. To była dziewczynka.

- Wyjdź, proszę. - Wyciągnął do niej rękę. - Mama tak strasznie się o ciebie boi...

- Moja mama nie żyje - wyszeptano dziecko z kąta. Andrzejowi zrobiło się strasznie głupio. Nie miał pojęcia, co teraz powiedzieć.

- Ja... nie wiedziałem. Kazano mi cię poszukać.

- Kłamiesz! - Mała rzuciła w stronę Andrzeja bryłką węgla. Na szczęście niecelnie, bo zbaraniały mężczyzna nawet się nie zasłonił. - To ty zabiłeś moją mamusię!

-Nie ja, kochanie. - Bronił się, ale sam musiał przyznać, że niezbyt przekonująco: -To nie byłem ja!

- Widziałam!

- Uspokój się... To był ktoś podobny do mnie, ale nie ja. Szukam zaginionych dzieci. Szukam mojej córeczki Asi. Już od dawna. Nie znałem twojej mamy.

- Przysięgnij! - Logika dziecka opierała się na nieco innych zasadach.

- Przysięgam, przysięgam. - Nie wahał się tym razem. Jedną rękę położył na sercu, a drugą podniósł do góry. - Widzisz, wcale nie kłamię.

- Jeśli mnie oszukujesz, pójdziesz do piekła! - wypaliła.

- Nie oszukuję.

Strach w oczach dziewczynki powoli ustępował zaciekawieniu.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Monika.

- Wyjdź stamtąd, Monisiu.

- Nie mów tak do mnie! - krzyknęła i cofnęła się ponownie za węgiel. - Tak może do mnie mówić tylko mama!

- Dobrze, chodź, kochanie. Zaprowadzę cię do kościoła.

Wreszcie wyszła ze swojej kryjówki. Zapłakane, wielkie niebieskie oczy patrzyły na niego nadal ze strachem, ale i z zaufaniem. Wargi miała kurczowo zaciśnięte. Kąciki ust drgały, jakby miała się za chwilę ponownie rozplakać. Wyciągnął do niej rękę i przygarnął do piersi. Uścisnął, pamiętając, by nie zrobić tego za mocno.

- Idziemy - powiedział cicho i pociągnął ją za sobą. Nie opierała się, szła posłusznie jak baranek. Baranek wiedziony na rzeź.

Na ulicy wziął ją na rękę. Głaskał po plecach, ale nic nie mówił. Bo i niewiele miał do powiedzenia. Mała cicho szlochała, wtulając głowę w jego kark. Mało brakowało, a udałoby się jej odsunąć zasuwę...

Zatrzymał się i postawił Monikę na ziemi.

- Spójrz na mnie, dziecko. Posłusznie podniosła oczy.

- Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? Pokiwała głową.

- Dlaczego chciałaś odsunąć te zasuwki na drzwiach?

- Głos mi powiedział...

- Jaki głos?

- Nie wiem, głos... Taki niewidzialny.

- Co ci powiedział ten głos?
 - Kazał mi iść do tego domku i odsunąć zasuwki.
 - Tylko tyle?
 - Potem miałam spotkać mamę.
 - Przecież mama nie żyje, sama mi to powiedziałaś.
- Oczy Moniki wypełniły się łzami.

- Biedne dziecko. - Andrzej przytulił ją i podniósł z ziemi.

Ruszył dalej, ale z każdym krokiem był coraz mniej pewien, czy dobrze robi, odprowadzając dziewczynkę do Łowcy. Mógł ją przecież ukryć i zaopiekować się nią. Skoro Asia zdołała sama przeżyć tak długo, to z pomocą dorosłego, który wie, co robić, powinno być o wiele prościej.

Dokonał wyboru, zanim we mgle zamajaczyła pośepna bryła kościoła. Z dziesięciu dostępnych kryjówek żadna nie wydawała mu się rozsądna. Ale nie za bardzo wiedział, gdzie indziej mógłby ukryć Monikę.

- Ten głos jest zły - powiedział do niej. - Nigdy nie rób tego, co mówi.
- Dobrze...

- Zaprowadzę cię do domu, gdzie musisz się ukryć. Nie pokazuj się tam nikomu. Zwłaszcza takiemu panu ubranemu na czarno.

Nie widział, jak potakuje, ale czuł ruch głowy ułożonej na jego ramieniu.

- Pieprzony bękart! - Kieliszek rozprysnął się na setki odłamków.
- Nie denerwuj się tak. - Andrzej próbował uspokoić Gabriela. - Co się stało?

- Znalazłem szczeniaka dosyć szybko, ale... - Głos Łowcy się załamał. - To był... demon. Nie dzieciak, tylko jeden z pomniejszych o wyglądzie człowieka. Razael zakpił ze mnie tym razem. Goniłem pieprzonego demona, podczas gdy on zajął się właściwym dzieckiem.

- Bawi się z nami...
- Obyś nie miał racji. - W głosie Łowcy było więcej żalu niż złości. - Sprawdziłeś wszystkie przejścia?
- Tak.

-I...?

- I nic.

- Znaczy, że dzieciak jeszcze żyje. - Gabriel usiadł w fotelu. - A w każdym razie żył, kiedy robiłeś obchód.

Andrzej przełknął ślinę. Trochę za głośno. Łowca spojrzał wprost na swojego współlokatora.

- Andrzej... - powiedział powoli. - Nie mogłeś mi tego zrobić... Nie mogłeś!

Speszony Arthmański nieomal cofnął się pod naporem jego wzroku.

- No, co ty...

- Ja wiem, Andrzej. Ja to po prostu wiem.

- Jak? Skąd?

- Gdzie on jest?!

- Nie rozumiem, o co ci chodzi... - Andrzej próbował ratować sytuację, ale już wiedział, że przegrał.

- Rozumiesz. Gdzie ukryłeś dziecko?

- Ja nie...

- Na litość boską, mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno! - Jednym skokiem Gabriel pokonał dzielącą ich odległość. Chwycił Andrzeja za ramiona i patrząc mu w oczy wyszeptał: - Powiedz, gdzie on jest. Obiecuję, że nie poczuje nawet, gdy będzie umierał.

- Nie musisz jej zabijać!

- Ty nic nie rozumiesz!

- Asia poradziła sobie tak długo sama, a ja jej pomogę.

- Asia to osobny temat. Z jakiegoś powodu Razael jej nie zauważa. Nie było dzwonienia, gdy się tu pojawiła. Rozumiesz. Dzwon milczał!

Andrzej pojał. Zrozumiał swój błąd. Gabriel miał rację. Zarówno on, jak i jego córka, pojawili się tu w sposób niestandardowy. Może dlatego Asia miała tyle szczęścia. Może dlatego demony dawały jej na razie spokój.

- Jest na Prostej... W mieszkaniu nad świetlicą...

Łowca wyskoczył, jakby ktoś polał go wrzątkiem. Andrzej usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Jak mógł być tak głupi i nie ufać słowom

człowieka, który spędził tu tyle czasu. Modlił się, by nie było za późno. Modlił się, by Gabriel zdołał zabić dziecko!

Zobaczył Łowcę z daleka. Odziana na czarno postać stała z łopoczącą na wietrze sutanną po drugiej stronie ulicy. Zbliżył się powoli, niemal czując emanującą od Gabriela złość.

Nie musiał go pytać, by wiedzieć, że spieprzył sprawę.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie przepraszaj - odparł beznamiętnym tonem Gabriel. - I nie wchodź tam.

- Muszę...

- Nie chcesz tego widzieć. - Łowca zastąpił mu drogę.

- Muszę...

- Nie radzę.

Andrzej ominął go. Zamierzał wejść na schody, ale ciemne ślady na podłodze, coś jakby odciski mokrych butów, wskazały mu drogę. Podeszedł do obitego wąskimi listewkami wejścia do świetlicy. Wahał się przez chwilę, czy otworzyć drzwi. Ale tylko chwilę. To była jego wina i cokolwiek zrobiono Monice, musiał to zobaczyć. Musiał, bo to była jedyna kara, jaką mógł sobie wymierzyć.

Łowca miał rację. Nie powinien tu wchodzić i nie powinien tego oglądać. Zachwiał się, klęknął i zwymiotował na samym progu.

W świetlicy GS-u - opowiadał mu o tym kiedyś Gabriel - odbywały się próby chóru parafialnego. Starsze panie wydały trochę grosza, by przystosować salę do swoich potrzeb. Główną inwestycją był wielki dębowy krzyż, sięgający od podłogi do sufitu. Ktoś lub coś oderwało go od ściany i odwróciło do góry nogami. Miejsce figury Jezusa zajęła na nim naga Monika. Nie przybito jej jednak do krzyża. Ręce w przegubach i łokciach były przywiązane do drewnianych ramion jej własnymi jelitami. Podobnie jak pozbawiona oczu i języka głowa. Demon, który ją dopadł, rozplątał brzuch dziewczynki od krocza niemal do mostka. Większość wnętrza leżała na podeście. Nogi dziecka

zwisały bezwładnie, jakby wyłamano je z ogromną siłą.

Andrzej patrzył na ciało zabitej w bestialski sposób dziewczynki z przerażeniem i niedowierzaniem.

Drgnął gwałtownie, gdy poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, to tylko ja.

Gabriel podniósł go i podał mu chusteczkę, by mógł obtrzeć twarz. Andrzej skorzystał z niej skwapliwie.

- Teraz już rozumiesz - powiedział łagodnie Łowca - o czym mówiłem, kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz?

- Tak - przyznał Andrzej. - Miałeś stuprocentową rację.

Wyszli na zewnątrz. Łowca podtrzymał otumanionego Andrzeja przez całą drogę do plebanii. Tam ułożył go w łóżku i zasłonił szelnie okna sypialni.

- Prześpij się - poradził. - Będę czuwał.

Siedział przy rzucającym się Arthmańskim do samego rana. Siedział z nieobecny wrokiem skierowanym gdzieś w sufit. Siedział tak, dopóki nie zadzwonił dzwon.

W ciągu następnego tygodnia stracili jeszcze kilka Wymiarów. Razael nie próżnował. Z każdym zwycięstwem stawał się bardziej przebiegły. Sto ze stu czterech podświatów znalazło się już we władaniu Ciemności. Zarówno Andrzej, jak i Gabriel mieli poczucie przegranej. Śmierć Moniki była momentem zwrotnym w ich walce. Po raz pierwszy zdali sobie wtedy sprawę, że chyba nie mają szans na powstrzymanie odradzającego się demona. Ale nie poddawali się. Każde dziecko wyrwane z pazurów bestii opóźniało jej powtórne nadejście.

Andrzej przez kilka dni nie opuszczał plebanii, a Łowca przejął wszystkie jego obowiązki. Może nawet nie tyle przejął, ile wrócił do ich wykonywania.

Apatia, w którą popadł Arthmański, powoli mijała. Gdy Łowca wychodził, coraz częściej siadał do komputera. Gniew dodawał sił do pracy. Nienawiść popychała wciąż dalej i dalej. Za każdym razem, gdy

miał dość bądź nie potrafił sobie dać rady z kolejnym problemem, przed oczami stawała mu Monika.

W dwa tygodnie po incydencie z dzieckiem zakończył rekonstrukcję większości napisów. Pozostał mu jeszcze jeden, chyba dość ważny, bo pisany największymi literami. Niestety, właśnie przez tę wielkość liter miał z tym najpoważniejszy problem. Czas obszedł się z nimi najgorzej.

Siedział i patrzył na napisy, które udało mu się już odszyfrować. Niestety, nie widział w nich żadnego ukrytego znaczenia ani głębszego sensu. Przeczytał je raz jeszcze w takiej kolejności, jak były grawerowane. W górnym rzędzie było napisane tak:

...każdy Wymiar jedno ma wejście. Każda dusza to klucz do Wymiaru.

Każdy Wymiar to gniazdo demonów. Wszystkie Wymiary to część klucza do wol...

To było zrozumiałe. Gabriel dokładnie mu to wyjaśnił. Ostatnie słowo na pewno oznaczało wolność. Znacznie ciekawiej układał się następny napis, z niższej linijki:

...pięć jest pieczęci, które nałożyło Święte Przymierze.

Pierwsza to Zwątpienie, druga jest Zaufaniem zwana, trzecia to Zawierzenie, czwarta to Wdzięczność, piąta Poświęcenie...

To był dość enigmatyczny zapis. Porównywano pieczęcie do uczuć. A kto przy zdrowych zmysłach ufałby potworowi? Pozostawała jeszcze najniższa linijka. Z tego napisu miał na razie niewiele:

Wszystkiepie niczym tylko ręka dziec...

W każdym razie pieczołowita rekonstrukcja przyniosła obiecujące rezultaty. Kilku liter z dolnego napisu mógł się domyślić. Choćby dokończenia słowa pieczęcie, które nasuwało się samo przez się. Wpisanie tych liter pozostawił jednak na sam koniec. Na wypadek,

gdyby się mylił. Teraz zajmował się drugim członem zdania. Tym, z którego na razie nic nie wynikało. W tym miejscu skopiowany napis urywał się, ale reszta powinna być widoczna na cembrowinie w kościele.

Odłożył laptop i wstał z łóżka.

Nie czuł się jeszcze najlepiej, ale postanowił odwiedzić świątynię i dopasować resztę napisów. Choćby tylko połączyć je z sąsiadującymi zdaniami. Ubrał się i zszedł na dół. Gabriela nie było już od pewnego czasu. Ostatnio zniknął na coraz dłużej. Andrzej nie wnikał w to, co Łowca robił, miał ważniejsze zadania na głowie. Jeśli się postara, jeszcze tego wieczora będzie mógł przedstawić przyjacielowi - za takiego już uważał byłego księdza - rezultaty swojej pracy.

Wszedł do świątyni i powoli zbliżył się do studni. Przyklęknął i otarł kurz z napisów na lewo od zatartego miejsca. Skopiował litery na kartkę, tym razem w normalny sposób, i przeniósł się na prawo.

Zawsze wydawało mu się, że ma doskonałą pamięć wzrokową. Potrafił po kilku miesiącach odtworzyć z pamięci nawet skomplikowany ornament. Tym razem jednak pomylił się o dobre kilka centymetrów w ocenie szerokości zeszlifowanego napisu. Tam, gdzie jego szkice się kończyły, nie było nic. Pierwsze litery zaczynały się pojawiać na rancie studni o szerokość dłoni dalej.

- Cholera! - zaklął pod nosem.

Zrzucił ten błąd na tempo, w jakim pracował, i stres związany z nadejściem ciemności. Niestety, szansa na dotarcie do kościoła w innym podświetle na tyle wcześniej, by skopiować napis bądź go odczytać, była mała, by nie powiedzieć żadna. Musiałby trafić do właściwego Wymiaru w chwili śmierci dziecka. Dostać się do kościoła, wykonać całą robotę i wrócić. Jedyne przejścia znajdowały się jednak teraz po drugiej stronie Tranzytu. Czas potrzebny na przebiegnięcie do najbliższego z nich był zbyt długi, by akcja mogła się powieść. A gdzie kopiowanie i droga powrotna?

Trudno, pomyślał, trzeba będzie dokończyć pracę z tym, co jest, i pokazać wyniki Gabrielowi. Może razem dojdą do czegoś sensownego.

Wstał z kolan, otrząpął spodnie i ruszył do wyjścia. Drzwi były

przymknięte, więc tym razem światło wpadające z zewnątrz nie raziło oczu. Dlatego mógł zobaczyć niewyraźny napis, biegnący tuż nad portalem. Przyciągnął masywne wrota, likwidując wąską i jasną szczelinę. Raz jeszcze przyjrzał się koślawym literom:

Wyjście jest tam, gdzie brak nadziei.

Napis imitował inskrypcje widniejące na pozostałych ścianach, ale tamte na sto procent zostały wykonane inną ręką. Na pierwszy rzut oka stylistyka i wielkość były podobne, ale wytrawne oko grafika odkryło w tych literach coś, co od razu wydało się inne. Krzywe zakończenie litery I, zbyt proste M. Ktoś zostawił tutaj wiadomość. Chyba ważną wiadomość.

Niestety, nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, kto i po co to uczynił.

- Wspominałeś o tym, że kiedyś nie byłeś tu sam - powiedział Andrzej, gdy zasiedli do stołu

- Tak, czasem do Tranzytu trafiali dorośli.

- Tyle o nich mówiłeś, a jeszcze nie widziałem żadnego.

-Aja?

- Ty, to ty. Ja mówię o tych, którzy mieli mieszkać w innych Wymiarach.

- To byli dziwni ludzie.

- Byli?

- Widywałem ich kiedyś raz, nawet dwa razy w miesiącu, potem rzadziej i rzadziej. Od roku nie trafiłem nawet na ich ślad.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Trochę, ale to nie były konkretne rozmowy. Ot, wymiana informacji na temat podświetłów i takie tam...

- Ciekawe, co się z nimi stało.

- Sądzę, że nie żyją. Z każdą przegraną traciłem kolejne Wymiary. Jeśli ktoś tam był podczas przemiany, mógł nie zdążyć uciec do przejścia... Niektórzy w ogóle nie przyjmowali do wiadomości istnienia demonów i

przemiany. Nie wierzyli, gdy mówiłem im, co wyczytałem tu w kościele.

W zasadzie wyjaśnienie było sensowne, o ile jakakolwiek wypowiedź dotycząca tego miejsca mogła być sensowna.

- Ciekawe, Tomaszu, dlaczego ci nie wierzyli. - Rzadko mówił mu po imieniu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nawet myśląc o nim, używał nazwiska.

- Może w naturze ludzkiej jest zakodowane, by nie wierzyć w rzeczy, które są nadprzyrodzone?

- Nawet widząc to, co dzieje się wokoło?

- A jednak nie uwierzyli.

- I odeszli w niebyt. Zamilkli.

Wreszcie Gabriel odezwał się:

- Może to i lepiej. Zbliżyliśmy się do przełomu.

- Raczej do katastrofy - mruknął Andrzej.

- Nie przegramy! - Łowca krzyknął i uderzył dłonią w stół, aż podskoczyły talerze. - Nie przegramy tej walki.

- Zostały już tylko cztery Wymiary. Potem...

- Czas, abyś wrócił do swoich obowiązków - uciął Gabriel.

W jego głosie pobrzmiwała dziwna nuta. Coś jakby złość, a może raczej rozdrażnienie. Andrzej czuł, że dotknął sprawy, która dotyczyła Łowcy osobiście.

- Dobrze, zacznę obchody jeszcze dzisiaj.

- Nie o obchody mi chodzi. Mam coraz więcej kłopotów z odnalezieniem dzieci. Demon rośnie w siłę. Musisz wyruszać na łowy razem ze mną. Musisz stać się Łowcą Dusz.

Andrzej zamarł. Wiedział, że prędzej czy później do tego dojdzie. Miał tę świadomość. Po śmierci Moniki, po tym, co widział w świetlicy, zaszła w nim zmiana. Nie odrzucał już możliwości odebrania życia w imię powstrzymania Ciemności. Przypomniał sobie starą dewizę, iż cel uświęca środki. Co więcej, teraz ją akceptował. Musiał jednak wypowiedzieć to jedno, jedyne słowo, które ostatecznie przerwie granicę. Minać punkt bez powrotu. Otworzył usta... Widział zimne, badawcze spojrzenie Gabriela skierowane prosto na jego twarz.

- Tak. - Poczul się, jakby stanął na skraju przepaści. - Tak, zostanę Łowcą.

- I nie zawiedziesz mnie?

- Już nigdy.

- Nawet, jeśli trafimy na twoją córkę...?

Andrzej zawahał się. Coś ścisnęło go za gardło. Nie potrafił wydobyć z siebie nawet słowa. Ale musiał coś zrobić. Skinął powoli głową.

- Dobrze. - Gabriel wstał od stołu i ruszył w stronę szafki, w której leżały resztki srebra. - Nasz kolega demon się przeliczył. - Wyjął zawinięte w kawałek materiału trzy bryłki kruszcu, każdą wielkości dziecięcej dłoni. - Mam taki skromny plan. Od tej pory nie odbierze nam żadnego z podświetłów. Zaufaj mi.

Andrzej znowu skinął głową.

Cały tydzień trwała nerwowa krzątanina. Andrzej dzielił czas pomiędzy pracę na laptopie i coraz częstsze alarmy. Strategia opracowana przez Łowcę przynosiła jednak efekty. Minęło siedem dni i ani jeden Wymiar nie uległ infekcji. Za to czternaście dusz opuściło Tranzyt w ten lub inny sposób.

Gabriel okazał się człowiekiem wyrozumiałym. Nie kazał partnerowi zabijać od razu. Pierwszą schwytaną trójkę dzieci przejął od Andrzeja. Nie pozwolił mu tylko oddalić się podczas egzekucji. I miał rację. Z każdą widzianą śmiercią akceptacja faktu, iż sam ma być zabójcą, przychodziła Arthmańskiemu coraz łatwiej.

W końcu nadeszła ta chwila. To był chłopczyk. Może pięcioletni. Stał za szkołą na otwartej przestrzeni i nie starał się nawet ruszyć. Za bardzo się bał. Andrzej podszedł do niego spokojnie, jak uczył go Gabriel. Z uśmiechem na twarzy i opuszczonymi swobodnie rękami.

- Jak masz na imię? - zapytał, gdy był o kilka kroków od malca. Dziecko nie

odpowiedziało. Załzawione oczy nadal patrzyły w jeden punkt.

- Słyszysz, co do ciebie mówię?

Żadnej reakcji. Może to i lepiej. Przeszedł za plecy chłopca. Ten nawet nie drgnął. Nawet się nie odwrócił. Andrzej stał przez chwilę, nie podnosząc rąk. Wiedział, że będzie bolało. Nie dzieciaka, ten zginie w ułamku sekundy. Wiedział, że jego sumienie jeszcze długo będzie krwawić. Położył rękę na ramieniu chłopczyka i pogłaskał go uspokajająco drugą. Jak uczył Gabriel. Ale nie mógł, nie potrafił wykonać wyroku. Przymknął oczy i zobaczył drzwi do świetlicy.

Przełamał się. Wystarczył jeden czysty ruch.

Coraz mniej rozmawiali. Z jednej strony rzadko się widywali, odkąd zaczęli dzielić się dyżurami, z drugiej tak Andrzej, jak i Łowca przejawiali coraz mniejszą ochotę na wypowiedanie pustych słów. Niemniej czasami, zwłaszcza przy posiłku, zdarzało im się zamienić parę zdań lub zdawkowych uwag.

- To działa. - Andrzej postawił przed Gabrielem talerz z zupą.

- Co działa? - zapytał tamten, wyrwany z zamyślenia.

- Twój plan.

- Ach, tak... ,

- Minęło już dziesięć dni, a demon nie posunął się nawet o krok.

- Ale my się cofamy...

- Coś za coś.

- Tak. - Gabriel wstał od stołu i skierował się wprost na schody. - Coś za coś. Andrzej widział, że Łowca przechodzi trudne chwile, jeszcze pamiętał swoją apatię

po wydarzeniach z Moniką. Ale wyszedł z tego, tak jak wyjdzie Gabriel. Trzeba mu tylko dać więcej czasu.

Sięgnął po laptopa i włączył zasilanie. Zapatrzył się w okno, czekając aż komputer wystartuje. Trwało to chwilę, krótką chwilę. Jak zwykle nic, prócz pasemek wszechobecnej mgły, nie poruszyło się za wielką taflą szkła.

Wybrał właściwy folder i zaczął oczyszczać kolejną literkę. Właściwie już kończył, wiedział, co to za kształt, ale będąc perfekcjonistą, chciał

zakończyć rekonstrukcję w stu procentach. Wreszcie miał przed sobą pełen obraz litery. Dołożył ją do pozostałych. Praca była ukończona.

Wszystkie pieczęcie są niczym wobec ostatniej. Piątą tylko ręką dziec...

Wielka mi mądrość. Wiadomo, że ostatnia pieczęć uwolni demona. Pierwszy człon zdania nie przyniósł niczego nowego. Za to drugi wydawał się znacznie ciekawszy. Andrzej nie zdołał odszyfrować końcówki napisu w kościele, ale z tego, co tutaj miał, wynikało, że piątą pieczęć można usunąć tylko ręką dziecka. Chyba dziecka... Ale czy na pewno? Słowo to bowiem było ewidentnie dłuższe.

Z zamyślenia wyrwał go przejmujący dźwięk dzwonu. Odłożył komputer i zbiegł na dół. Dwie minuty później dotarł do pierwszego przejścia.

Tym razem nie padło na niego. Przez godzinę kręcił się po wyznaczonym terenie, ale nie natrafił na żaden ślad nowego dziecka. Wszystkie nitki, papierki i inne znaczniki nadal były tam, gdzie je umieścił.

Miał nadzieję, że Gabrielowi powiodło się lepiej. Sprawdził raz jeszcze wszystkie drzwi i zakamarki, po czym ruszył w kierunku kościoła. Tam zawsze spotykali się po każdej akcji. Szedł spokojnie, dopóki nie zobaczył czarnej sylwetki wyłaniającej się z mgły. Łowca nie był sam. Prowadził jakieś dziecko. To był tak niezwykle widok, że...

To dziecko! Mimo odległości i dziwnego ubrania poznał je niemal od razu.

- Asia! - krzyknął i rzucił się jak wariat w kierunku nadchodzących.

Łowca przystanął. Dziewczynka szła nadal.

Nie biegła, nie podniosła rąk na powitanie, jak to miała w zwyczaju. Po prostu szła.

Andrzej opadł przed nią na kolana, boleśnie tłukąc je o bruk, ale nie zważał na nic. Chwycił córkę mocno w ramiona i tulił ją do siebie jak największy skarb. Asia żyła i to liczyło się najbardziej.

- Wstań, Andrzej! - głos Gabriela był zimny jak lód.

Spojrzał na Łowcę, który podszedł do nich cicho jak kot. Sutanna nosiła ślady świeżej krwi. Na jego twarzy pojawiła się też nowa rana.

- Musimy iść do kościoła.

Wstał, krzywiąc się z bólu. Krew zabarwiła rozdarty materiał spodni na obu kolanach. Podniósł dziewczynkę i ruszył za Gabrielem.

- Gdzie ją znalazłeś? - zapytał, doganiając przyjaciela.

- Nie to jest teraz ważne.

- Coś się stało?

Gabriel jedynie skinął głową i pochylił się, by otworzyć drzwi świątyni.

- Coś poważnego?

- Nawet bardzo. - Łowca odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. - To dotyczy twojej córki.

Weszli w półmrok nawy i skierowali się do Studni Dusz. Tam, gdzie trafiały wszystkie ciała zabitych dzieci. Gabriel zatrzymał się przy schodach i gestem nakazał Andrzejowi podejść do mrocznego otworu.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Wzmocniony akustyką kościelnej nawy głos Łowcy brzmiał złowroźnie. - Chyba odkryłem, dlaczego twoja córka nadal żyje.

-Tak...?

- Została wybrana przez demona na spełnienie ostatniej ofiary.

- Skąd możesz to wiedzieć?! - Andrzej czuł narastające przerażenie. - Dziecko jest w szoku, to przejdzie...

- Uspokój się i spójrz na nią uważniej.

Popatrzył na Asię. Miała nieobecne spojrzenie, ale prócz tego wyglądałaby całkiem normalnie, gdyby nie dziwne ubranie.

- Co ona ma na sobie? - zapytał zdezorientowany.

- To szata ofiarna.

- To znaczy.. ..?

- Twoja córka jest już w mocy Razaela.

- To niemożliwe! - krzyknął zrozpaczony Andrzej.

- Dlaczego?

Wypowiedziane spokojnym tonem rzeczowe pytanie Łowcy przywołało Arthmańskiego do rzeczywistości. Skoro Gabriel to

powiedział, to musiał mieć pewność. Znał Łowcę od tak dawna, ufał mu niemal bezgranicznie. Dzięki niemu żył przecież.

- Gdzie ją znalazłeś?

- W zainfekowanym Wymiarze.

Odpowiedź zdziwiła Andrzeja.

- Przeszedłeś na stronę Ciemności? Dlaczego?

- Zajrzałem do twoich notatek.

- Do jakich notatek?

- Do komputera. Załatwiłem sprawę dość szybko i wróciłem na plebanię. Na stole stał włączony komputer, a na ekranie zobaczyłem pewien napis.

- Ach, tak...

Gabriel wszedł wolno na schody.

- Dlaczego to przede mną ukrywałeś?

- To miała być niespodzianka. Dopiero dzisiaj skończyłem rekonstrukcję.

- Skąd masz ten tekst?

- To tłumaczenie z aramejskiego napisu, który był w tym miejscu. - Andrzej wskazał krawędź studni.

- Jak to możliwe, że udało ci się go odtworzyć? - Łowca nie krył zdziwienia. - Przecież został całkowicie zatarty. Ado tego nie znasz aramejskiego.

- To nie tak... Kiedyś na studiach miałem łacinę. Potem uległem fascynacji kulturami antycznymi. Od wielu lat pracowałem z kolegami nad interaktywnymi słownikami. W tym i aramejskim. W laptopie mam właśnie testową wersję tego słownika.

- Okłamałeś mnie?

- Sam nie wiem, dlaczego...

- A co z napisem?

- Pamiętasz, jak trafiłem na Wymiar, który ulegał przemianie. Wtedy też trochę nakłamałem. Byłem akurat przed kościołem, kiedy rozpoczęło się nadejście Ciemności. Zauważyłem, że drzwi się otworzyły. Wszedłem do wnętrza i obejrzałem studnię. Tam napis był kompletny.

- Rozumiem. - Gabriel zatrzymał się o dwa kroki od Studni Dusz. - Teraz rozumiem. Ty też rozumiesz?

- Nie do końca...

- Dlaczego?

- Nadal brakuje mi zakończenia tej frazy. Źle to sobie wyliczyłem i kilka liter mi uciekło.

Gabriel spojrzał na niego, potem na dziecko.

- Znalazłem ją w kościele za szóstką...

- Skąd wiedziałeś, że to tam?

- Przeczucie, może coś więcej. Kiedyś zauważyłem ślady koło tego przejścia. Dzieciaka zlikwidowałem dość szybko i raczej nie miał szansy na dotarcie do tamtych drzwi. Myślałem jednak, że to może ty...

- Szczęście, że zapamiętałeś.

- Ano szczęście. W każdym razie dotarłem do kościoła i znalazłem w nim Asię. Przeczytałem też całą przepowiednię.

- Pamiętasz, jak się kończy?

- „...tylko ręka dziecka otworzy i wolność da demonowi”.

Andrzej nadal kurczowo trzymał córkę w objęciach. Z przerażeniem patrzył, jak Łowca wyjmuje obrzyna. Dwulufowiec poleciał jednak na kamienną posadzkę. Widząc zdziwienie w oczach Arthmańskiego, Gabriel wyjaśnił:

- Nie mam już nabozi. Zużyłem wszystkie na przebicie się przez Wymiar.

- Dobrze, że ci się udało. Gdybyś nie wrócił... Sam nie dałbym rady.

- Wiem - uciał Łowca. - Tak jak i ty wiesz, co musisz teraz zrobić.

- Nie wiem, czy potrafię...

- Musisz. Pierwszy raz powstrzymałem się przed wykonaniem wyroku, bo... bo nie chciałem, żebyś widział we mnie zabójcę twojego dziecka...

- Dziękuję...

- Nie dziękuj. Nie będzie ci łatwo żyć z tym, co zrobisz.

Andrzej wiedział, że to prawda. Już teraz wolałby sam sobie odebrać życie. Ale to nie rozwiązałoby niczego.

Nacisnął delikatnie ramię Asi, a ta posłusznie przyklęknęła na skraj

studni. Uniósł ręce i zobaczył, że się trzęsą. Za bardzo, by wykonać wyrok czysto i bez bólu.

-Nie mogę...

- Musisz! - słowa Łowcy cięły lepiej niż ostra stal.

Stal, ostrze. Andrzej podniósł wzrok.

- Czy... czy możesz dać mi swój sztylet?

- Sztylet?

- Tak, ten srebrny. Nie zabiję jej gołymi rękami. Nie potrafię.

Gabriel szybkim ruchem wydobył jasne ostrze z pochwy na przedramieniu. Podrzucił je tak, by ułożyło się na rękawicy rękojeścią do Andrzeja.

Arthmański uniósł ostrze w górę. Wysoko, jak najwyżej. Opuścił je jednak.

-Nie wahaj się! - napomniął go Łowca. - To zakończy naszą sprawę. Może nawet ostatecznie. Jeśli odbierzemy demonowi największą nadzieję, będzie musiał zaczynać jeszcze raz. A to da nam czas. Wiele cennego czasu.

- To nie takie proste...

- Wiem, ale pomyśl o tych wszystkich, których zostawiłeś po tamtej stronie. O żonie, o rodzicach, o wszystkich, których kochałeś.

Sztylet znów powędrował do góry. Powoli, bardzo powoli.

- Pomyśl o Monisi!

Arthmański odwrócił głowę w kierunku Łowcy.

- Zrobię... to... - wydusił z trudnością. - Zrobię... ale i ty zrób coś dla mnie...

- Dobrze, Andrzeju.

- Nie patrz...

Gabriel odwrócił się z niechęcią.

Andrzej opuścił nieco sztylet i przyłożył jego koniec do karku Asi w miejscu, gdzie kręgi znikają pod czaszką. Nacisnął bardzo delikatnie, ledwie naciął skórę. Kropelka krwi pociekła na plecy, ale mała ani drgnęła. Podniósł ostrze wyżej, nad głowę.

- Kiedy tu przybyłem - powiedział - zobaczyłem coś, czego nie

akceptowałem. Twoje słowa sprawiły, że wkrótce zwątpiłem w to, co widziałem.

- Tak było - potwierdził Łowca.

- Potem sprawiłeś swoimi czynami, że zaufałem ci bezgranicznie.

- I nie zawiodłeś się.

- Zawierzyłem ci nawet swoje życie, przyjacielu.

- A ja je obroniłem.

- Teraz wdzięczny ci jestem za to, że nie zabiłeś istoty, która jest zrodzona z mojej krwi.

- Cieszy mnie to.

- I poświęcam ją na ołtarzu naszej sprawy! - krzyknął Andrzej.

Łowca nie odezwał się. Nie mógł. Ostrze sztyletu przeszło jego kark i wyszło ustami, przybijając język do podniebienia. Zacharczał i wybałuszył oczy, w których jednak nie było strachu, tylko bezgraniczna nienawiść. Osunął się na kolana. Andrzej stanął nad nim i wyrwał z pochwy drugi ze sztyletów. Natychmiast wbił go w plecy padającego mężczyzny. W sam środek pleców, by nie mógł go wyszarpnąć, jak to próbował zrobić z pierwszym.

- „I pięć jest pieczęci, które nałożyło Świąte Przymierze. Pierwsza to Zwątpienie, druga jest Zaufaniem zwana, trzecia to Zawierzenie, czwarta to Wdzięczność, piąta Poświęcenie na Ołtarzu Pana". Czyż nie tak, Razaelu? Czyż nie tak brzmią słowa przepowiedni?

Pochylił się nad ciałem i obrócił je na bok, unikając chwytu słabnącej ręki. Wyjął sztylet z karku i ponownie się wyprostował.

- Teraz możesz mówić.

Głos Razaela-Gabriela był niewyraźny. Andrzej nie wiedział, czy był to raczej efekt dwoistości postaci kryjącej się w umierającym ciele, czy rozszczępienia języka przez sztylet.

- Nhie wyghaleś, człowieczy synu - wycharczał demon. - Shebho mnie nie zabije...

- To prawda, ale unieruchomi cię i osłabi. Zwłaszcza że zamierzam poczęstować cię i drugim sztyletem.

- I co z tego, będziemy tu tkhwili razem na wieki.

- Nie sędzę.

- A jak chcesz sthąd wyjść?

Ciało Bahra Razaela regenerowało się nadzwyczaj szybko. Nie minęła minuta, a rana w ustach już się zasklepiła. Andrzej wbił sztylet w ramię demona i tam go zostawił. Wykorzystując moment największego bólu i osłabienia zdjął rękawice z jego dłoni, odbierając mu ostatecznie możliwość wyjęcia srebra z ran.

- Tylko ja mogę cię stąd wypuścić - wycharczał demon. - Tylko ja znam sposób.

- Teraz jest nas dwóch...

- Kpisz sobie - prychnął Razael. - Nie ma sposobu, byś sam znalazł wyjście.

- A jeśli poszukam tam, gdzie nie ma nadziei? Bahr nie odpowiedział. Zaczął się przeobrażać. Jego ciało puchło, rozsadzając zniszczone i zakrwawione ubranie. Tracił siły z każdą sekundą obcowania ze srebrem. Nie potrafił już utrzymać ludzkiej postaci.

- A cóż to znaczy? - wychrypiął wreszcie.

- Nie wiesz? - Andrzej się zaśmiał. - Ktoś zrobił ci kawał i zostawił dla mnie wskazówkę.

- Wskazówkę? - Taki wyraz demoniego pyska zapewne wyrażał wściekłość.

-Gdzie?!

- Tutaj, dokładnie tutaj. - Andrzej wskazał ścianę nad drzwiami.

Razael spojrział tam nie bez trudu i ryknął, aż zadrżały szyby:

- Klecha, śmierdzący klecha odkrył tajemnicę!

- Ksiądz proboszcz, nie inaczej. Ten, pod którego się podszyłeś.

Krwiste ślepie zwróciły się w stronę Andrzeja.

- Od kiedy wiedziałeś?

- Może od pięciu minut.

- Jakże to? - Zdziwienie malowało się na koszmarnym obliczu Razaela zupełnie jak na ludzkiej twarzy.

- Monisia. Skąd znałeś to imię?

- Mogłem je usłyszeć...

- Nigdy go nie wymieniłem. Nigdy. Co najwyżej mogłem nazywać ją Moniką.

- Nawet pierwszej nocy, gdy majaczyłeś?

Arthmański na moment stracił trochę rezonu. Fakt, wtedy mógł coś powiedzieć. Nie miał co do tego pewności. Ale później... Nigdy, przenigdy nie wymienił tego imienia. Stało się ono czymś na kształt hasła, mentalnego talizmanu.

- Ale i tak to nie był najważniejszy element mojej układanki. Przed wszystkim okłamałeś mnie, cytując zakończenie przepowiedni. Całe tygodnie spędziłem na tłumaczeniu i składaniu tego tekstu. Znam na pamięć wygląd każdej litery, tam nie mogło być „ręka dziecka”. Nie mogło być w żaden sposób.

Demon milczał. Toczył pianę z pyska, ale blask jego ślepi nie przygasał.

- „Ręka dzieciobójcy”, to bardziej prawdopodobne słowa i znacznie lepiej pasujące. Omamiłeś mnie, Razaelu, prowadziłeś jak na sznurku, ukazując tylko fragmenty prawdy. Okruchy, z których budowałem z gruntu fałszywy obraz naszej rzeczywistości. Ale przejrzałem na oczy.

- Następnym razem... - zaczął Bahr, ale już zaledwie szeptął.

- Nie będzie następnego razu - przerwał mu Andrzej.

- Mylisz się, wróć... Jeśli nie za tysiąc, to za dziesięć tysięcy lat... Twój świat dostanie się w moje ręce... Prędkiej czy później...

- Wiesz, przyjacielu, jakoś wcale mnie to nie martwi.

Andrzej wziął Asię na ręce, przeniósł ją kilka metrów i posadził wygodnie pod filarem. Dziewczynka nadal sprawiała wrażenie jakby nic do niej nie docierało. Potem Arthmański przeszedł za leżącego Razaela i zaczął odciągać go od krawędzi studni.

- Co robisz?

- Zabezpieczam się na przyszłość. Wprawdzie za dziesięć tysięcy lat mógłbyś mi naskoczyć, ale znając ciebie, równie dobrze może być to dziesięć godzin.

Demon milczał, patrzył z nienawiścią, gdy Andrzej wywlekał go z kościoła. Przed świątynią Arthmański sprawdził sakwę Razaela. Znalazł

to, czego szukał - grudki srebra i gazową lutownicę. Uśmiechnął się.

Trochę to trwało, zanim przewłókł ciężkie ciało przez plac, ulicę, aż do przejścia numer dwa. Jednego z dwóch ostatnich prowadzących do niezainfekowanych podświetłów.

- To tylko oddała waszą klęskę... - syczał Razael, gdy go spuszczał ze schodów na podwórze.

- Może. Może nawet nic nie da, ale przynajmniej jutro zasnę spokojniejszy.

Ułożył demona na schodkach z drugiej strony domu i obłożył go kamieniami.

Zostawił tylko otwór, w którym było widać poszarzały pysk Razaela.

- Będziesz miał dużo czasu na podziwianie pięknej mgły, przyjacielu.

- Jeszcze się zobaczymy... - syknął demon. Andrzej, aby to usłyszeć, musiał nachylić się nad uwięzionym. Srebro wysysało z niego siły. Na widok kolejnej grudki kruszcu czy bestii rozszerzyły się z przerażenia.

- Co jeszcze... zamierzasz zrobić?

- A co byś powiedział na knebel ze srebra?

- Szczejniesz w najgorszych mękach... jak tylko się stąd wydostanę... Choćbym miał cię ożywić!

- Ty pierwszy. - Andrzej usiadł i bawił się kawałkiem przetopionego metalu. - Odpowiedz mi na jedno pytanie, a oszczędzę ci tego bólu.

-Pytaj...

- Jak to zrobiłeś, że zabijając dzieci na moich oczach nie infekowałeś kolejnych Wymiarów?

- Jesteś głupcem! - prychnął demon. - A do tego ślepcem...

- Skup się na temacie, Razaelu! - Ręka ze srebrem pojawiła się nad otworem.

- Tylko rytualne wyrwanie serca... otwierało Ciemności... drogę do podświetłów... Zabijając normalnie... zyskiwałem jedynie energię... dla mojej duszy...

- To brzmi prawdopodobnie. Żałujesz chyba, że mnie tu ściągnąłeś?

- To był przypadek... Kobieta na motorze... była w ciąży... To ona miała tu trafić... Nie ty... Ale ją zabiłeś...

- Zatem nie udało mi się...

- Nie udało...

- W takim razie wszystkiemu winien jest przypadek. A może to... Palec Boży?

Andrzej roześmiał się, widząc kolejny grymas na pysku demona. Wstał i pochylił się nad otworem.

- Co robisz? - wychrypiął Razael, usiłując ostatkiem sił odsunąć okrwawioną głowę. - Obiecałeś...

- Skłamałem. - Arthmański przytrzymał ręką dolną szczękę uwięzionego demona i krusząc dwa zęby wepchnął mu srebro głęboko do pyska. - Tak jak i ty skłamałeś. Robię to, żebyś na zawsze mnie zapamiętał. Żebyś cierpiał tak, jak cierpiały te dzieciaki. Jak Monisia. Jak moja córka. Jak ja...

Wstał i rozejrzał się po podwórzu. Na pryzmie gruzu leżała stara deska klozetowa. Przyniósł ją i położył na otworze. Podniósł klapę. Bahr toczył krwawą pianę spomiędzy warg. Nie miał już nawet siły na jęk. Srebro paliło mu pysk i krtań, jeśli miał jakieś gardło wzorem ludzkiej istoty.

- Żegnaj, przyjacielu. Nie mów, że jestem bez serca. Daję ci twoją ukochaną Ciemność! - Andrzej opuścił klapę, otrzepał dłonie i szybko wszedł do domu.

Nie odwrócił się nawet na chwilę. Zasunął wszystkie skoble i pokrył je roztopionym srebrem. Tak na wszelki wypadek. Potem zalutował drzwi wejściowe.

Po kilku minutach był już przy kościele. Zajrzał na plebanię po narzędzia, zabrał swą torbę, potem udał się po córkę. Nadal nieruchomo siedziała pod filarem opodal Studni Dusz. Podeszedł do niej i podniósł ją z zimnej posadzki. Ranka na karku nadal krwawiła. Wyniósł dziewczynkę z kościoła i skierował się ku szkole. Asia milczała. Spojrzał jej w oczy tylko raz, ale rozszerzone źrenice nie reagowały na nic.

Rozciął kłódkę ciężkimi nożycami zabranymi z piwnicy plebani i szeroko otworzył dwuskrzydłowe drzwi szkoły. Hol był dość przestronny i całkowicie pusty. Andrzej przyjrzał się uważnie wszystkim

ścianom. Zauważył, że drzwi, które prowadziły do jakiegoś pomieszczenia gospodarczego, są mniej wyraźne. Jakby coś rozmywało ich kontury. Podeszedł bliżej i zobaczył, że powierzchnia drewna faluje niemal niedostrzegalnie, jak woda. Dotknął jej ostrożnie. Z miejsca, w którym jego palec zetknął się z dziwną substancją, rozeszły się koncentryczne kręgi docierające aż do krawędzi prostokątnej powierzchni. Posadził Asię na podłodze, obok odłożył torbę, wziął tylko łom i zawrócił. Miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Łomem zerwał pieczęć na domu przy szkole. To było najbliższe przejście, jakie znał. Srebrny kleks odpadł od zamka i niemal w tej samej chwili drzwi zaczęły się chylić pod naporem czegoś ciężkiego. Andrzej nie czekał. Porzucił łom, wypadł z klatki schodowej na ulicę i popędził wzdłuż ogrodzenia do szkoły. Ciemniało, wyraźnie ciemniało, ale zdążył dopaść drzwi holu, zanim widoczność spadła do zera. Teraz, kiedy nie było tu Razaela, mógł zainfekować Tranzyt i zrobić to. Nadchodząca Ciemność oznaczała, że przejście lada chwila zostanie dostrzeżone przez mitycznych Strażników Pieczęci. Jeśli się nie mylił, pozwoli to na zamknięcie przesunięcia i unieszkodliwienie Razaela przez jemu równych. Być może nawet na zawsze. Zatrzasnął drzwi i rzucił się po Asię. Gdy ją podnosił z podłogi, krzyknęła.

- Spokojnie, Asiu, to tylko ja. - Poglaskał ją po głowie.

Poruszyła się nerwowo.

- Tata? - cichy, znajomy głos wsączył mu się wprost do ucha.

Andrzej zarzucił torbę na ramię i zanurkował w matowiejącej szybko powierzchni przejścia między Wymiarami.

Ciemna strona Księżyca



Droga do Dryfield należała do najmniej uczęszczanych w całym stanie. Zawsze dziwiło mnie, dlaczego wybudowano tu motel, a obok niego dwa sklepy i restaurację, że nie wspomnę o warsztacie i stacji benzynowej. Kompleks ten powstał dawno temu, zanim się urodziłem. Ponoć były to lata prosperity dla naszej okolicy, cokolwiek to miało znaczyć. Pobliska kopalnia i rządowy ośrodek badawczy sprawiały, że gości nie brakowało. Niestety, seria tragicznych wypadków i wydarzeń spowodowała zamknięcie wszystkiego, a nawet kilkuletnią kwarantannę pobliskich terenów. Wreszcie izolacja się skończyła, ale Dryfield już nigdy nie wróciło do dawnej kondycji. Z upływem czasu ruch w osadzie powoli zamierał. Coraz mniej komisji pojawiało się w motelu - jedynym tego rodzaju przybytku na przestrzeni dobrych stu mil w każdą stronę. Potem wyjechali ostatni pracownicy ośrodka badawczego i mogliśmy liczyć już tylko na przejeżdżających turystów wybierających się na pustynię. A tych było niewielu.

Tego lata jednak ruch jakby przybrał na sile. Nie było dnia, żeby ktoś nie zatrzymał się przy stacji benzynowej i nie robił zakupów w sklepiku. Doszło nawet do tego, że stary Dave musiał jeździć do pobliskiego miasteczka po zaopatrzenie co najmniej raz w miesiącu. Dla mnie, siedmioletniego wówczas chłopaka i jedynego dziecka w promieniu pięćdziesięciu mil, było to najnudniejsze lato, jakie mogłem sobie wyobrazić. Moja mama przeniosła się tutaj na początku czerwca. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Pewnego wieczora przyszła zapłakana do

mojego pokoju. Zebrała trochę rzeczy i zabawek, zapakowała to wszystko do wozu i tak pożegnaliśmy L.A. Wydaje mi się, że trafiliśmy do tej dziury przez przypadek. A może mama szukała takiego spokojnego miejsca. W każdym razie pojawiliśmy się w Dryfield w gorący czerwcowy poranek i zamieszkaliśmy w motelu Dave'a. Dwa tygodnie później zmarła pani Stower, staruszka, która mu pomagała, i mama zajęła jej miejsce. W zasadzie była wszystkim - prała, sprzątała, obsługiwała bar na zapleczu. Rzadko się zdarzało, by miała kilku gości naraz, więc dawała sobie radę. Chociaż uczciwie muszę przyznać, że wolnego czasu też nie miała zbyt wiele.

Zbliżało się południe. Siedziałem na skraju drogi i z zegarkiem w ręku obserwowałem, jak szybko ścina się białko jajka, które rozbiłem na asfalcie. Zamierzałem wreszcie pobić wynoszący czterdzieści pięć sekund rekord Dicka Rossovitcha z Mostown. W pięćdziesiątej sekundzie na horyzoncie pojawił się obłok kurzu. To pierwszy samochód, jaki tego dnia widziałem, oczywiście prócz miejscowych i radiowozu szeryfa z okręgu, który zaglądał tu często przed lunchem. Z rekordu i tak były nici. Zostawiłem skwierczące jajko Duffy'emu, psu Danny'ego, który leżąc obok mnie cierpliwie czekał na rozpoczęcie codziennej uczy, i podniosłem się. Przeszedłem w pobliże stacji benzynowej, wpatrując się w rosnący tuman kurzu. Każda wizyta obcego w Dryfield była dla mnie przeżyciem, krótką odmianą we wszechobecnej nudzie. Czasami pozwolono mi umyć szyby albo przetrzeć z kurzu reflektory. Jeśli właściciel stacji, pan Jenkins, miał dobry humor, mogłem nawet sprawdzić olej.

Zbliżający się samochód był dość starym i zaniedbanym modelem chevroleta. Kobieta, która go prowadziła, zwolniła na widok zabudowań, a potem, jakby rozważając, czy zatrzymać się czy jechać dalej, parokrotnie lekko zmieniła kierunek jazdy. Odsunąłem się od jezdni i pomachałem ręką. To chyba ostatecznie ją przekonało, bo w chwilę później włączyła kierunkowskaz i skręciła na podjazd stacji.

Pan Jenkins wyszedł ze sklepu na powitanie. Zawsze wychodził, gdy miał klienta. Kobieta zatankowała za dwanaście dolarów, a ja w tym

czasie przetarłem jej zakurzone szyby i lusterka. Gdy podszedłem po napiwek, spojrzała na mnie i delikatnie pogładziła dłonią po policzku. Na jej spokojnej i bardzo ładnej twarzy o dziwnie nieobecnym spojrzeniu malował się wyraz melancholii.

- Nie wiesz, chłopcze, czy są wolne miejsca w tym motelu? - zapytała bardzo ciepłym głosem.

Skinąłem głową.

- Tutaj zawsze są wolne pokoje.

Dała mi dolara i ruszyła za mną w kierunku recepcji. Pobiegłem po mamę, która właśnie przygotowywała lunch dla szeryfa Killjoja, jego zastępcy Jacka i dwóch robotników z miasteczka, od wczoraj naprawiających zerwane ogrodzenie ciągnące się milami wokół terenów rządowego ośrodka.

- Mamo, mammo, masz gości! - zawołałem, stając w progu przestronnej sali jadalnej.

Mama wyjrzała z okienka kuchni i uśmiechnęła się do mnie. Jak zwykle promieniście. Uwielbiałem ten jej uśmiech.

- Poproś, żeby poczekał, zaraz przyjdę, tylko skończę podawać lunch...

Szeryf popchnął Jacka, zmuszając go, by wstał od stołu, i powiedział:

- Damy sobie radę sami, Jo-Ann. Idź i załatw sprawę, póki gość się nie rozmyśli. Jack nas obsłuży.

Fajny był z niego facet, choć miał straszne nazwisko. Mama pokręciła głową, co zapewne było odmową skorzystania z tej propozycji, i zniknęła w okienku. Kilka sekund później zobaczyłem, jak wychodzi z zaplecza, niosąc cztery talerze z parującą jajecznicą.

-Nie potrzebuję żadnej pomocy - oświadczyła, stawiając je przed mężczyznami. - Wasze zamówienie zostało zrealizowane. Ale jeśli będziecie bez mojego towarzystwa. Podeszła do mnie i zdejmując poplamiony fartuch, ruszyła podwórzem do recepcji. Kobieta siedziała w fotelu przy kontuarze, przyglądając się zdobiacym ściany obrazom, które ukazywały czasy Dzikiego Zachodu. Gdy weszliśmy, wstała.

- Czym mogę służyć? - zapytała mama.

- Potrzebuję pokoju, może być jednoosobowy. Byłe z łazienką. W

miarę możliwości z wanną albo dużą umywalką. Wie pani, jestem w podróży z małym dzieckiem.

- Oczywiście. - Mama podsunęła jej formularz do wypełnienia: - Proszę to podpisać. Andy pomoże pani przynieść bagaże. - Wskazała mnie głową. - Ale proszę nie dawać mu napiwku, to jego obowiązek. Należy się trzydzieści pięć dolarów, łącznie z podatkiem.

- Nie potrzebuję pomocy. - Kobieta uśmiechnęła się. - Nie mam zbyt wielu rzeczy...

Mimo to poszedłem z nią do samochodu. Odstawiła go na plac przed motelem.

Rzeczywiście, miała tylko jedną torbę podróżną oraz reklamówkę z pampersami i rzeczami dla dzieciaka. To był jeszcze niemowlak, mógł mieć zaledwie kilka miesięcy. Niosła go w zawiniątku.

Wskazałem jej pokój, a gdy już się rozlokowała, zagadnąłem:

- Tam za toaletami, przy sklepie pana Rolstona, jest bar. Gdyby pani chciała coś zjeść, to mogę teraz przekazać zamówienie mamie.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedziała kobieta. - Zajrzę tam potem. Ale nie zamawiaj dla mnie niczego.

Pobiegłem do baru i usiadłem przy stole obok szeryfa. Czasami dawał mi do zabawy swoją wielką latarkę albo kajdanki. Tym razem jednak był zajęty rozmową z robotnikami i nie zwrócił na mnie uwagi. Niewiele z tego rozumiałem, ale mówili coś o wydarzeniach w Los Angeles. O jakiejś panice i nowym prawie... Mama przyniosła mi kubek kakao i tak siedziałem, gapiąc się w szybę i czekając, aż przyjdzie ta kobieta.

Pojawiła się może kwadrans później, niosąc dziecko na ręce. Widząc policjantów, zatrzymała się w progu. Szeryf i Jack przerwali dyskusję. Spojrzeli na nią, jak to policjanci, badawczo i poważnie. Uśmiechnęła się i rzuciwszy kilka słów na powitanie, przeszła do oddalonego stolika obok starego elektronicznego bilardu - jedynej rozrywki, jaką tu miałem prócz oglądania telewizji. Poprosiła o kawę i siedziała wpatrzona w okno, kołysząc dzieciaka.

Pojawiła się mama z dzbankiem świeżej kawy. Skończyłem właśnie kakao i ruszyłem za nią. Szeryf i pozostali już się zbierali. Odnieśli

talerze na kontuar i zakładając kapelusze, zmierzali do drzwi.

Nagle zauważyłem, że mama zamarła, a z przechylnego dzbanka kawa wylewa się na stół i strumyczkiem cieknie na podłogę. Spojrzałem na kobietę. Była blada jak kartka papieru z mojego bloku rysunkowego. Jej czarne oczy stały się niemal okrągłe, a usta drgały, jakby chciała coś powiedzieć. W tej samej chwili poznałem przyczyną tego niezwykłego zachowania. Na stole poruszała się miarowo łyżeczka. Wyglądało to tak, jakby bawiła się nią niewidzialna ręka. Wpatrywałem się w to jak zauroczony. Naraz poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. To szeryf odsunął mnie z drogi. Łyżeczka tymczasem przesuwiała się w kierunku kobiety, a właściwie zawiniątka, które trzymała. Wreszcie oderwała się od stołu i przeleciała do ręki dzieciaka.

- Odsuń się od stołu, Jo-Ann - polecił szeryf, sięgając po broń. - A ty ani się rusz!

Kobieta wyglądała, jakby miała wpaść w histerię. Błagalnie spojrzała na policjanta i wyszeptała drżącym głosem:

- Proszę, proszę... Puśćcie mnie, ja nic złego nie zrobiłam... To tylko dziecko...

Ale szeryf Killjoy pokręcił głową i mierząc z rewolweru, twardo powiedział:

- Wstawaj, suko, i nie próbuj żadnych sztuczek, bo od razu wpakuję ci kulkę w łeb!

- Ja nie jestem... - próbowała się tłumaczyć kobieta, ale nikt jej nie słuchał.

Jack zaszedł ją z boku i odebrał zawiniątko z dzieckiem. Robotnicy tymczasem przynieśli z pikapa swoje strzelby i przeładowali je, dając wsparcie dwójce policjantów. Kobieta posłusznie wstała.

- Hank, ty sprawdzisz jej pokój, a ty, Danny, leć do Dave'a i powiedz, żeby otworzył warsztat. Idziemy! - Szeryf lufą wskazał drzwi.

Minęła go, idąc niepewnie i mamrocząc coś pod nosem. Wtedy chwycił ją za włosy i przystawił broń do karku.

- Powiedziałem: żadnych sztuczek - syknął jej do ucha, ale na tyle głośno, że nawet ja go usłyszałem.

- Ja się tylko modłę... - Z oczu kobiety pocięły wielkie łzy.

- I słusznie! - Killjoy wypchnął ją za drzwi.

Chciałem iść z nimi, ale mama mnie zatrzymała i obróciła w kierunku kontuaru.

- To nie dla ciebie, Andy - powiedziała. - Poczekaj na mnie w kuchni.

Przeszedłem na zaplecze, ale ciekawość okazała się silniejsza niż zakaz wydany przez mamę. Drugim wyjściem dostałem się na plac przy wieży ciśnieni i pobiegłem do tylnych drzwi warsztatu. Były wprawdzie zamknięte, ale stała przy nich beczka ze zużyтым olejem, a nad nią znajdowało się niewielkie okienko, przez które często obserwowałem, jak Dave naprawia swojego wiśniowego land cruisera.

Znalazłem się na miejscu przed wszystkimi i widziałem to, co potem stało się w garażu. Najpierw Dave otworzył drzwi. Wszedł do środka i zapalił światło. Potem weszli robotnicy z bronią i rzeczami kobiety, wreszcie Jack z dzieciakiem na ręku. Na końcu pojawił się szeryf z zatrzymaną kobietą. Nadal trzymał rewolwer przy jej głowie. Nie bardzo wiedziałem, czego się bał. W końcu był mężczyzną. Wielkim jak niedźwiedz i pewnie równie jak ten zwierz silnym. Wiele razy dla zabawy kruszył dla mnie orzechy w jednej dłoni. Ona ważyła może jedną trzecią tego, co szeryf i nie wyglądała na osobę mogąca sprawić komuś jakąkolwiek przykrość. A jednak pan Killjoy uznał, że jest groźna. Mama nie weszła do warsztatu. Chyba stała na zewnątrz i rozmawiała z panem Jenkinsem albo Rolstonem.

- Klękaj, suko! - warknął szeryf, a ona posłusznie uklękła. - Ręce do tyłu!

Wprawnym ruchem założył jej kajdanki, potem zapiął na nich drugie i przyczepił do podnośnika, którym Dave wyciągał silniki z wraków. Po chwili usłyszałem, jak ktoś włącza zasilanie i wciągarka podniosła hak na tyle, że kobieta musiała stanąć na palcach, by nie wyłamało jej rąk ze stawów.

- Puszczając się dziwko z odmieńcami - powiedział jeden z robotników.

- A teraz chcesz zniknąć z tym bachorem. Do Meksyku się wybierasz? Gadaj!

- Do Meksyku - potwierdziła kobieta.
- A może sama jesteś mutantką? Co, laleczko?
- Nie.

Wiedziałem, że stanie na palcach lada chwila przyniesie jej większy ból, niż mogłem sobie wyobrazić. Oni jednak nie popuścili wysokości podnośnika. Danny przeszukał torbę kobiety i sprawdzał jakieś papiery, które znalazł w notesie. Jeden z nich podał szeryfowi. Ten wprowadził dane do terminalu podręcznego komputera i po chwili otrzymał odpowiedź.

- No proszę, co my tu mamy? Anna Nicole Davis z domu Kramer. Decyzja sądowa o usunięciu ciąży, z dziesiątego marca. Mutacja potwierdzona w dziewięćdziesięciu sześciu procentach. Nakaz przymusowego usunięcia płodu. Za to można dostać ładnych parę latek. A urodzenie i ukrywanie mutanta to, według prawa stanu Kalifornia, co najmniej dwadzieścia lat kolonii karnej plus znakowanie.

- Proszę, nie...

Kobieta mogła ustać w tej pozycji nie więcej niż minutę. Szeryf wiedział o tym doskonale i odczekał jeszcze chwilę. Gdy zachwiała się, co mogło skończyć się najmarniej wyłamaniem rąk, kazał ją opuścić, ale tylko o tyle, by stanęła na całych stopach.

- Co znaczy, nie?! Uciekłaś z miasta przed nakazem. Urodziłaś pieprzonego mutanta i ukrywasz go wbrew prawu. I jeszcze prosisz nas o litość? Wiesz, co wyrośnie z tej kupy zmutowanego gówna? Nie wiesz? Może ci podpowiem... W Barstow minionej zimy dwuletni szczeniak, ukrywany przez sukę taką jak ty, spowodował śmierć siedemdziesięciu dwóch cholernie porządnych obywateli. Wystraszył się psa i spopielił połowę miasteczka.

W tym żonę obecnego tu zastępcy szeryfa, Jacka Muligana, a także dwójkę jego dzieci. Chcesz słuchać dalej?

- Nie... To jeszcze małe dziecko. Ono potrafi tylko... przyciągać przedmioty...

- Jak Magneto z X-Menów - wtrącił jeden z robotników, chyba Danny. - On też niby miał tylko władzę nad magnetyzmem. A omal nie

zniszczył świata.

- Zamknij się! - przerwał mu Jack. - To nie komiks, to życie.

- Nie krzycz na niego. - Szeryf poklepał robotnika po plecach. - Danny dobrze mówi. Może to jakiś pieprzony mały Magneto nam tu rośnie. Za kilkanaście lat nie będzie przyciągał łyżeczek, ale strącał samoloty. Taki przypadek też odnotowano. W pieprzonej Europie. Dwieście dziesięć ofiar śmiertelnych i kilkuset rannych. Samolot spadł na dom towarowy.

- Ze mną zróbcie, co chcecie, ale dziecko zostawcie, błagam... - Kobieta jakby trochę się uspokoiła. - Bądźcie ludźmi, przecież to niemowlę... Wyjadę stąd i nie wrócę. On nigdy nie zrobi nikomu nic złego...

- Tego, dziwko, nie wiesz i nie możesz wiedzieć - skwitował szeryf, spluwając jej tytoniem pod stopy. - A teraz zamknij pysk i oszczędzaj siły, bo będą ci potrzebne.

Skinął na Dave'a, dając mu znak, by zapalił palnik acetylenowy i podciągnął nieco podnośnik. Jack położył dzieciaka na stosie puszek i wyszedł na zewnątrz. Po chwili wrócił, niosąc pręt do znakowania bydła. Tak mi się przynajmniej wydawało. Ustawili się przed kobietą i powoli rozgrzewali metal w płomieniu palnika. Spoglądała na to z przerażeniem i niedowierzaniem.

- Nie możecie tego zrobić! Nie tak, nie jestem zwierzęciem! - Chciała się poruszyć, ale paraliżował ją ból wykręconych rąk. - Proszę, błagam, nie!

Szeryf przytrzymał jej głowę, odgarniając delikatnie włosy z czoła.

- Gdzie chcesz mieć znaczek? Tu, czy na policzku? - zapytał obojętnie, jakby chodziło o tatuaż z henny.

- Zwierzęta... - jęknęła, ledwie przytomna z bólu w wykręconych ramionach. - Jesteście... jak... zwierzęta...

- To ty jesteś zwierzęciem, moja droga. Złamałaś prawo, powodujesz zagrożenie wielu istnień ludzkich i jeszcze śmiesz nas pouczać? Spójrz w oczy Jacka! - Odwrócił jej głowę w kierunku swojego zastępcy. - Taki skurwiel jak twój synek zabrał mu rodzinę. A mnie przyjaciół. Nie znajdziesz tu ani krzyki zrozumienia. Wybieraj: czoło czy policzek?

Desperacko próbowała się wyrwać, ale nie mogła. Nie dałaby rady, będąc nawet silnym mężczyzną. Jack wybrał za nią, przykładając rozpalony metal do jej prawego policzka. Zaskwierczało palone ciało, nieludzki skowyt kobiety o mało nie rozdarł mi uszu. Zamknąłem oczy i odruchowo cofnąłem się od okienka, z trudem łapiąc równowagę na becze.

Gdy wycie zmieniło się w cichsze jęczenie, znów odważyłem się spojrzeć. Kobieta zwisała bezwładnie na wyciągarce. Prawdopodobnie wyłamała sobie ręce, rzucając się z bólu. Szeryf właśnie podnosił dłoń, chcąc nakazać Dave'owi, by ją opuścił, gdy nagle zawieszona na ścianach klucze zaczęły drżeć. Łańcuchy, na których wisiała kobieta, zatrzęsły się, wydobywając z jej gardła jeszcze jeden nieludzki dźwięk. To z kolei spotęgowało dziwne zachowanie metalowych przedmiotów. Śruby, nakrętki, wreszcie ciężkie klucze unoszone niewidzialną siłą zaczęły wirować po warsztacie. Jeden z nich trafił w głowę Danny'ego, posyłając go od razu na ziemię. Jack rzucił rozgrzany pręt i sięgnął do kabury, ale szeryf go uprzedził. Kula z czterdziestki piątki rozniosła na strzępy becik razem z małym ciałem, jakie się w nim znajdowało. Wszystkie unoszące się w powietrzu przedmioty opadły natychmiast na dół.

- Widziałaś, szmato, widziałaś! - Jack dopadł kobiety i odchylił jej głowę, ciągnąc za włosy. - Niewinny dzieciak, co?!

-Wszyscy zdechniecie... - wychrypiła z trudem. - Któryś was kiedyś dopadnie... -Chciała zaśmiać się Jackowi w nos, ale ból sprawił, że straciła przytomność.

Odpięli ją od łańcuchów i wywlekli przed budynek. Musiałem wrócić do baru, zanim mama zobaczy, że mnie nie ma. Zdążyłem w samą porę. Właśnie wchodziła z bladym jak kreda panem Jenkinsem. Posadziła go przy najbliższym stole i nałała mu wystygłej kawy. Potem podeszła do mnie i mocno przytuliła. Przez okno widzieliśmy, jak szeryf odjeżdża swoim wozem, wioząc na tylnym siedzeniu zmaltretowaną kobietę. Staliśmy tak przez dłuższą chwilę, a mama gładziła się po brzuchu. Wtedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, co ów gest oznaczał, ale dzisiaj jestem niemal pewien...

Mama zniknęła miesiąc później, zostawiając mnie u pana Jenkinsa. Wtedy zacząłem się domyślać, dlaczego opuściliśmy dom w środku nocy i czemu wylądowaliśmy w tej okolicy. Ale nie mówiłem nic, czeki przychodziły regularnie, a od czasu do czasu dostawałem list. Przeważnie z Ameryki Południowej. W jednym z nich znalazłem zdjęcie. Mama stała na tle morza pod palmami, a obok niej zobaczyłem dziewczynkę, kilkuletnią blondynkę o zielonych oczach. To był chyba ostatni kontakt, jaki z nimi miałem.

Zaledwie trzy miesiące później wybuchła wojna.

To było niemal dwadzieścia lat temu, ale nadal budzę się złany potem, gdy w nocy przyśni mi się Dryfield. Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że to ja byłem sprawcą tamtych zdarzeń. Gdybym nie pomachał do tej kobiety, stojąc przy drodze. Gdybym nie podniósł ręki... Ale pomachałem i nikt ani nic tego nie zmieni.

Z kieszeni kurtki wyjąłem manierkę i pociągnąłem łyk chłodnej wody. Klimat na tej szerokości geograficznej był nieznośny. Żar lał się z bezchmurnego nieba, wyciskając ostatnie poty z każdego. Zwłaszcza z nas, którzy rzadko opuszczaliśmy klimatyzowane wnętrza bazy. Nie wiedziałem, czy się cieszyć, czy martwić, gdy otrzymałem rozkaz przelotu do Europy. Zazwyczaj lądowaliśmy w jednej z baz amerykańskich, ale tym razem rozkaz był jasny. Dawna Francja, Paryż. Standardowa procedura, brak jakichkolwiek danych o operacji. To oznaczało robotę dla wywiadu. Ale również opuszczenie betonowych korytarzy i podziemnych kopuł. Słońce i błękitne niebo. Na to nigdy nie trzeba było nikogo namawiać, chociaż Europa po wojnie nie należała do turystycznych atrakcji, a radiacja jeszcze nie wróciła całkiem do normy.

Lotnisko Charlesa de Gaulle'a było kiedyś jednym z największych portów lotniczych świata. Dzisiaj, w czternaście lat po nuklearnym sztormie, który zmiotł prawie wszystkie państwa Starego Kontynentu, z jego świetności nie pozostało nic. Przemocna hala przylotów i odlotów

była jedynie wypaloną i pustą skorupą widoczną na horyzoncie. Gdy odwróciłem wzrok w przeciwną stronę, widziałem panoramę odległego o kilkanaście mil miasta, z kikutem nadtopionej wieży Eiffla, ongiś symbolu jednej z najpiękniejszych stolic Europy. Nie wiedziałem, jak Paryż wyglądał przed wojną. Może dlatego widok bezkresnego morza ruin nie działał na mnie tak bardzo, jak na żołnierzy z latającej fortecy, którą przydzielono nam do ochrony.

Siedzieliśmy tu już niemal dwie godziny, a oni nadal nie opuścili wnętrza swojego pojazdu. Spojrzałem raz jeszcze na monstrualny kształt spoczywający na sześciu masywnych stalowych dźwigarach, nie dalej niż trzysta jardów od promu. Rzadko miałem okazję przyjrzeć się takiej maszynie tkwiącej w bezruchu. W zasadzie zaczęto ich używać dopiero w ostatniej fazie działań wojennych, podczas walk w Azji i Australii. Ja w tym czasie byłem już oddelegowany do projektu „Paradise” i zajmowałem się przrzucaniem tysięcy ton materiałów budowlanych na orbitę. Widziałem te bojowe kolosy jedynie podczas przelotów nad bazami w Teksasie, gdzie je produkowano. Ale to były obserwacje dość powierzchowne. Dzisiaj po raz pierwszy mogłem tak naprawdę napatrzeć się do woli na najpotężniejsze z latających urządzeń stworzonych do zabijania.

Wysoki na trzydzieści stóp kadłub był najeżony stanowiskami ogniowymi. Statystyki mówiły o osiemnastu laserowych działach większego kalibru i czterdziestu ośmiu stanowiskach broni strzeleckiej, w tym działkach i karabinach maszynowych oraz wyrzutniach rakiet. Zapamiętałem ze szkolenia, że każda forteca zabiera na pokład prawie osiemset ton amunicji i dwustu czterdziestu członków załogi, wliczając w to oddziały szturmowe marines. Pancierz był w stanie ochronić ukrytych pod nim ludzi przed średniej wielkości eksplozją nuklearną. Oczywiście, jeśli nie stało się to w odległości mniejszej niż trzy mile, a forteca nie znajdowała się w powietrzu. Ale kto miał taką broń pod koniec konfliktu...

Musiałem przyznać, że patrząc na B-520 czuło się obecność prawdziwej potęgi. Zabawne było obserwowanie, jak lufy stanowisk

ogniowych nieustannie naprowadzają się automatycznie na każdy cel pojawiający się w zasięgu systemów obrony, obojętnie, czy był to ptak czy zwierzę buszujące w ruinach portu lotniczego. Dawało to poczucie bezpieczeństwa. Moi rozebrani do pasa chłopcy, śledzeni przez tuzin luf różnego kalibru, rozgrywali mecz piłki nożnej. Grali pustą puszką po coli na skraju rezerwowego pasa startowego. Odwróciłem wzrok od metalowego kolosa i przez chwilę przyglądałem się, jak spoceni biegają za pseudopiłką.

- Szaleństwa młodości - mocno zniekształcony głos rozległ się tuż przy moim uchu.

Właśnie podnosiłem manierkę z wodą do ust. Drgnąłem zaskoczony, okrągły pojemnik wyleciał mi z ręki. Obok mnie stał jeden z komandosów w pełnym bojowym rynsztunku. Gapiąc się na grających, nawet nie usłyszałem, jak się zbliżał. Cały kombinezon żołnierza był czarny. Jedynie na ramieniu nosił znak wskazujący jego szarżę.

- Sierżant Ramon Ramirez, siedemnasty korpus ekspedycyjny USA. Departament szósty. Eurazja - przedstawił się, stając w pozycji zasadniczej. Nie zasalutował. Trzymał w rękach ciężki karabin szturmowy. - Mam chwilowy przydział do ochrony tego transportu. Odebraliśmy właśnie meldunek, że pańska przesyłka nadleci za sześć minut.

- Kapitan Andrew Scrapper. - I ja nie zasalutowałem. Schyliłem się po manierkę, mając nadzieję, że nie wylała się z niej cała woda. Potrząsnąłem naczyniem, sądząc z dźwięku i ciężaru, zostało nie więcej niż dwa łyki. Spojrzałem w miejsce, gdzie powinna znajdować się twarz Ramireza, ale wizjer jego hełmu przy tym oświetleniu odbijał tylko mój zniekształcony wizerunek.

- Klimatyzowany - powiedział komandos.

- Słucham?

- Kombinezon jest klimatyzowany. Patrzył pan tak na mnie, kapitanie, jakby zastanawiał się pan, czy aby nie przechodzę potowej kuracji odchudzającej. - Dźwięk, którym zakończył tę wypowiedź, powinien być śmiechem, ale przez interkom hełmu brzmiał dziwnie skrzekliwie.

- Nigdy nie zdejmuję pan kombinezonu? - zapytałem.

- Nigdy na zewnątrz.

- Radiacja?

- Dokładnie. Pańscy chłopcy przez te kilka godzin nie zaliczą znaczącej dawki, ale my przebywamy tutaj dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każda minuta bez osłony przybliży nas do śmierci.

Dopiłem wodę i wyjąłem paczkę cameli. Usiadłem na trapie w miejscu, które zajmowałem poprzednio i wsunąłem jednego do ust. Poczęstowałem Ramireza. Stał przez moment nieruchomo, a potem nagle osłona hełmu z cichym brzęczeniem pojechała w górę. Odstawił karabin. W grubych rękawicach nie miał szans na wyciągnięcie papierosa z paczki, ale wprawnym ruchem stuknął nią o nasadę drugiej dłoni i jeden ustnik wysunął się o cal. Chwycił go zębami i oddał mi resztę.

- Samozapalające syntetyczne gówno - powiedział po kilku sztachnięciach. - Nie smakujają prawdziwe. Ale kogo dzisiaj na nie stać...

Niepalny kaptur, jaki chronił jego głowę, odsłaniał tylko część twarzy. Nie był stary, mógł mieć najwyżej trzydzieści kilka lat, ale nie było kawałeczka skóry, który nie nosiłby śladów owrzodzeń i blizn. Zauważył chyba, że mu się przyglądam, bo odezwał się, nie wyjmując papierosa z ust:

- Kiedyś nie byłem taki ostrożny, wydawało mi się, że będę żył wiecznie.

- Od kiedy pan służy, sierżancie? - zapytałem.

- Od początku. Dostałem powołanie na dwa miesiące przed wybuchem wojny. Zaraz po tym, jak grupa mutantów zaatakowała nasze lotnisko w Bad Neuhausen. To była rzeźnia. Na komisji pokazali nam film, jaki nakręcono po odbiciu tego terenu.

- Też go widziałem, ale znacznie później. Tamtych widoków, podobnie jak wydarzenia z Dryfield, chyba nigdy nie zapomnę. Stosy porozrywanych ciał zalegające hangary lotniska wojskowego i napis zrobiony krwią na białym murze: *Jesteśmy przyszłością.*

Ramirez milczał przez chwilę, wreszcie splunął na pokryty pyłem

beton; wyglądało to dość śmiesznie, bo zrobił to, nie wyjmując papierosa z ust.

- To chyba była kropla, która przepełniła czarę - powiedział. - Ci cholerni Europejczycy nie rozumieli, na czym polega zagrożenie ze strony mutantów. Dlaczego nie zrobili z nimi porządku tak jak nasi chłopcy? Nie byłoby tego całego bagna, wojny, zniszczenia.

- Byłoby sierzancie, byłoby. Wojna wybuchłaby jak nie tu, to w Azji.

- Ale jedno musi pan przyznać, gdyby nie dekret Busha z dwa tysiące drugiego, nakazujący bezwarunkowe usuwanie płodów ze zmianami genetycznymi, to nie mielibyśmy dzisiaj Wolnych Stanów Zjednoczonych. Jedyne państwo, którego struktury przetrwały ten kataklizm.

- Jako tako...

-Ale nasze miasta nie wyglądają jak Paryż. - Wskazał głową horyzont. - Powiem szczerze, uważam, że powstrzymanie mutantów za cenę zniszczenia Europy miało sens. Walczę z nimi już ponad czternaście lat i wiem jacy są. Widziałem rzeczy, przy których Bad Neuhausen to pryszcz. W Chinach w dwa tysiące trzecim odbijaliśmy Szanghaj. Nie mieliśmy jeszcze takiego sprzętu. To była twarda walka o przetrwanie. Przerzucono nas na północ od centrum. Mieliśmy do dyspozycji kilkaset zdalnie sterowanych robotów bojowych i to nas uratowało. Nie mogli ich wykryć telepatią, ale niszczyli w każdy możliwy sposób. Po tygodniu walk udało nam się uzyskać kilka stabilnych i zabezpieczonych przyczółków. Potem dostaliśmy wsparcie z kontynentu. Nanotechnika. Miniaturowe kamerki sprzężone z wyrzutniami rakiet. To było coś. Namierzaliśmy takiego potwora, klasyfikowaliśmy i... cel, pal! Mutanci po kilku dniach zorientowali się, że nie utrzymają miasta i wymordowali ponad milion bezbronnych ludzi, których trzymali jako żywą tarczę na wypadek ataku bronią masowej zagłady. Spalili, ugotowali żywcem, rozerwali. To miało nas odstraszyć... Byłem jednym z pierwszych, którzy dotarli na plac Falun-gong. Tego nie da się opisać. Myślałem, że widok kilkudziesięciu tysięcy pomordowanych w tak bestialski sposób to najokropniejsza rzecz, jaką można zobaczyć, ale potem trafiłem na

stadion...

- Słyszałem o tym. - Wprawdzie cenzura rzadko dopuszczała wiadomości z frontu, ale to była zbrodnia na taką skalę, że uczyniono z niej główny element kampanii propagandowej przeciw mutantom. Stadion imienia Pogromców Jiang Zemina był unaocznieniem piekła na ziemi. Prawie pół miliona rozerwanych na strzepy ciał zalegających grubą warstwą na trybunach i murawie. - Podobno wyjściami płynęły ze stadionu rzeki krwi...

- Tak było. - Pokiwał głową. - Nie mam pojęcia, jak doszło do tej masakry, ale odpowiedzialni za nią byli z pewnością mutanci. Wielu z nich posiadało zdolność zabijania falami dźwiękowymi, które rozwarstwiały tkanki. Efekty tego działania były przerażające... Na szczęście nie powiódł się skurwielom plan zastraszenia ludzkości, co więcej, efekt był zgoła odwrotny od zamierzonego. Po Szanghaju dowództwo przestało się z nimi pieprzyć. Kolejnych miast już nie odbijaliśmy.

To fakt, Szanghaj stanowił w tej wojnie moment przełomowy. Zbrodnie mutantów zrodziły kolejną falę przemocy ze strony ludzi. Teraz po prostu niszczone gatunek, nie poszczególne jednostki. Może kiedyś ktoś uzna to za zbrodnię albo ludobójstwo, ale na pewno nie my. Z zamyślenia wyrwał mnie głos sierżanta:

- Widział pan kometę?

Przytaknąłem. W całym tym zamieszaniu zapomniałem o komecie. Ona była naszym najmniejszym zmartwieniem. Fakt faktem, że pojawienie się komet zwiastowało zawsze jakieś nieszczęście, ale cóż takiego mogło zwiastować teraz? W dwadzieścia lat po wybuchu najkrwawszej wojny w historii. Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Sierżant to zauważył.

- Walnie w nas?

-Nie sądzę. - Rozumiałem jego obawy, choć sam ich nie miałem. - Jej orbita jest stabilna i jądro przejdzie w odległości ponad miliona mil od Ziemi. Pewnie spadnie jakiś deszczowy meteoroidów, ale nic wielkiego.



- Skąd ta pewność? - Sierżant wpatrywał się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. - Chłopaki mówią, że leci na nas, tylko nikt nie chce tego powiedzieć, żeby nie było paniki.

- Wiem co mówię, sierżancie. Uczestniczyłem w kilku lotach badawczych z naszymi naukowcami. To już bardziej my na Księżycu poczujemy jej obecność. Zresztą, sam pan się niedługo przekona. Za cztery doby nasza ślicznotka znajdzie się w najmniejszej odległości od Ziemi. Gdyby coś miało się dziać, to już by się działo... - Przerwałem, gdyż wszystkie lufy latającej fortecy skierowały się na północny wschód.

- Nadlatują. - Ramirez wypluł niedopałek papierosa na beton. - Czas na mnie. - Tym razem zasalutował mi zgodnie z przepisami.

W chwilę później dyrygował już drużynami, które wysypały się z wnętrza maszyny, zabezpieczając teren. Zanim komandosi zajęli swoje pozycje, usłyszałem ciche, ale wciąż narastające brzęczenie. Nie ruszałem się jednak z miejsca. Kazałem tylko chłopakom założyć kombinezony i doprowadzić się do stanu używalności. Zdażyli bez problemu, gdyż konwój, który się do nas zbliżał, zawisł nieco na prawo od zrujnowanych budynków dawnej hali odpraw. Cztery latające fortece eskortujące dwa niewielkie transportowce wzniosły się na wyższy pułap, by potem oddalić się od siebie. Zawisły o milę, może trochę więcej, od miejsca, w którym czekałem. Dopiero wtedy transportowce rozpoczęły procedury podejścia do lądowania. Były to wysłużone boeingi pionowego startu, B-797A. Pomalowane na szaro kadłuby przypominające kształtami korpus rekina opadły niedaleko miejsca postoju mojej maszyny. Podmuch z ich dysz spowodował małą burzę pyłową. Przytrzymałem czapkę lewą ręką, rozpaczliwie szukając w kieszeni okularów. Drobinki pyłu dostawały się do oczu pomimo zaciśniętych powiek. Jeszcze mi tylko brakowało zatarcia oka i kłopotów przy pilotowaniu...

Pył opadł, ale silniki transportowców nie umilkły. Przełączone na jałowy bieg mąciły wszechobecną ciszę. Potem doszedł do tego jeszcze jeden dźwięk. To otwierano ładownię jednej z maszyn. Zszedłem z trapu i ruszyłem w kierunku mrocznego otworu. Po wolno

opuszczającej się zejściówce szedł w moją stronę postawny mężczyzna w pancernym kombinezonie szturmowym marines. Oficer. Sądząc z baretok - frontowiec. Miał odkrytą głowę. Gdy wyszedł z cienia, zauważyłem, że jest całkiem siwy. Nawet krótko przystrzyżone wąsy miał białe jak mleko, co bardzo kontrastowało z ciemną opalenizną twarzy. Uśmiechnął się, prezentując nie mniej białe zęby.

-Kapitanie Scrapper, jestem pułkownik Lloyd z wywiadu marynarki - przedstawił się i wyciągnął do mnie dłoń wielką jak bochen chleba. - Cieszę się, że udało się tu panu dotrzeć bez większych przeszkód.

- Na ogół nie napotykam przeszkód w mojej pracy - odpowiedziałem ostrożnie, nie bardzo rozumiejąc, co miał na myśli. Na tym wyludnionym i niemal wysterylizowanym kontynencie groził mi chyba tylko udar słoneczny.

- A ja tak. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Wie pan, co mam na pokładzie?

Pokręciłem głową.

- Typowe dla sztabu. Wysłano pana na jedną z najważniejszych misji w historii tej wojny, ale nie uprzedzono, o co chodzi. - Wyjął z kieszeni sterownik platformy samonośnej i wcisnął przycisk aktywujący. We wnętrzu ładowni coś się poruszyło. Kilka sekund później po pochylni ześlizgnęła się elipsoidalna kapsuła wykonana z błyszczącego metalu. Kojarzyła mi się z futurystyczną trumną. - To Selenia - powiedział z dumą.- Mityczna przywódczyni rebelii mutantów. Schwytailiśmy ją osiem godzin temu w Brazylii.

- Nie sądzę, żeby to mogła być ona. Każdy mutant oddałby za nią życie bez najmniejszego wahania. Apewnie dobrała sobie najlepszych i najmocniejszych.

- I tak, i nie. - Pułkownik ponownie się uśmiechnął. - Ukrywała się w dżungli. Towarzyszyła jej grupka wybranych. Telepaci komunikujący się z dalszym otoczeniem, kilku najmocniejszych firestarterów i telekinetów. Na szczęście odkąd użyliśmy w Ameryce Południowej ładunków neutronowych dużej mocy, odpalanych przez generatory liczb losowych, pozbyliśmy się plagi prekognitów.

- I mimo takiej ochrony podeszliście ją?
- Powiedzmy, że ktoś ją zdradził. Ktoś z jej otoczenia.
- Nie wierzę. Oni ją wielbią jak boginię.
- Mutanci to też ludzie - rzucił rozbawiony moją uwagą pułkownik. - Choć oficjalna propaganda ma na ten temat inne zdanie. I nieobca jest im zawiść i zazdrość. Jeden z jej adiutantów został, jakby to powiedzieć... zdegradowany. Ponieważ jest młodzieńcem niezwykle ambitnym, postanowił wybić się w inny sposób. Sprzedał nam tę sukę w zamian za obietnicę zabicia wszystkich pozostałych jej współpracowników. W ten sposób teraz on przewodzi rebelii, a my mamy Selenę.

- I co to zmienia? Rebelia ma nowego przywódcę, wojna trwa nadal, a pan ma tę kapsułę.

- Naiwni jesteście tam w górze... Nasz informator pożyje najwyżej dwa dni. Nie zdąży w tym czasie wiele zdziałać prócz skontaktowania się z kilkoma zaufanymi ludźmi. W ten sposób roznieście bardzo paskudnego i niewykrywalnego wirusa. Mutanci stracą kolejnych przywódców, co powinno znacznie osłabić ich struktury i organizację. My natomiast wytoczymy pokazowy proces wielbionej przez nich Selenie - dodatkowo ich to pognębi. A potem rozpocznie się faza Nexus. Jesteście chyba gotowi?

Potwierdziłem skinieniem głowy i podpisałem podsunięte dokumenty. Potem odebrałem od pułkownika sterownik. Zasalutowaliśmy sobie i w eskorcie komandosów przejąłem platformę z kapsułą. Trwało to dosłownie kilkadziesiąt sekund. Mark, mój pierwszy oficer, zajął się załadunkiem. Ja przeszedłem do kabiny i rozpocząłem procedurę przedstartową. Na monitorach widziałem, jak fortece formują szyk, a transportowce płynnie startują, włączając się do konwoju. Dwie minuty później sam byłem gotów do odlotu.

Latające fortece opuściły nas dopiero w stratosferze. Nie dziwiłem się tej nadopiekuńczości. Selena była wśród mutantów żywą legendą. Bez

niej rebelia przeciw ludzkości mogła już dawno się załamać. Wprawdzie dzisiaj, po dwudziestu latach wojaczki, terenem walki pozostała już tylko Ameryka Południowa i skrawek wybrzeża Australii, ale nic nie zapowiadało szybkiego końca wojny. Jak wszyscy wierzyłem, że rozpoczęcie fazy Nexus pozwoli na szybkie i definitywne jej zakończenie.

Faza Nexus - dwa niewiele mówiące słowa o ogromnym znaczeniu. Spojrzałem na czołowe ekrany promu. Tarcza Księżyca nawet tutaj, ponad atmosferą, wydawała się tak mała. Niemniej Srebrny Glob będzie musiał pomieścić kilkaset tysięcy uciekinierów z Ziemi i przechować ich przez czas potrzebny do całkowitego wyjałowienia planety. Bo to właśnie kryło się pod kryptonimem.

Od dziesięciu lat budowaliśmy na Księżycu bazę-przetrwalnię zdolną pomieścić tak ogromną liczbę ludzi. Wybrani zostali tylko ci, których DNA nie wykazywało najmniejszej skazy. Wielu już mieszkało na Księżycu, tak jak ja. Ale tysiące czekały w miastach- twierdzach na ewakuację. Oprócz nich ponad dwanaście milionów genetycznie czystych Amerykanów zostanie przetransportowanych do kabin kriogenicznych znajdujących się pośrodku Pacyfiku, na specjalnie do tego celu zaadaptowanych okrętach. Chronione przez latające fortece będą stanowić hermetyczne przetrwalnie dla tych, którzy się na Księżycu nie zmieszczą. Cała reszta świata zamieni się wkrótce, dzięki nowym gatunkom broni biologicznej, w jałową pustynię. Po roku z zasobników, które zgromadziliśmy w podziemnych korytarzach księżycowych baz, posypią się na Ziemię ziarna roślin uprawnych, drzew i krzewów. Nim minie kolejne osiem miesięcy, do życia zaczną się budzić ludzie na statkach. Oni pierwsi wrócą na ląd i przygotowują podwaliny pod nowe państwo. Zaczniemy od Ameryki, budując Nowe Stany, potem w miarę upływu czasu będziemy zajmować pozostałe terytoria. Taki plan przedstawiono nam kilka lat temu. Wydawał się sensowny, ale teraz, gdy byliśmy o krok od jego realizacji, zaczynałem mieć wątpliwości.

Czy to coś zmieni? A jeśli mutanci będą się rodzić nadal? Przecież nawet w miastach objętych kwarantanną co tysięczny dzieciak miał zmiany genetyczne niewykryte podczas badań prenatalnych. Podobno

na Księżycu też było kilka takich przypadków, skrzętnie wyciszonych przez władze. O jednym z nich słyszałem od Jane Austerton, lekarki, z którą romansowałem jakiś czas temu, zanim została odwołana na Ziemię. A jeśli nastąpią po fazie Nexus? Za kilkanaście lat dojdzie do kolejnej wojny... Amoże nie, może społeczeństwo pod pełną kontrolą zdoła przetrwać? Tylko, co to będzie za życie? Nagle wpadł do kokpitu nawigator Damien Stewart.

- Zjrzałem do ładowni! - rzucił podekscytowany. - Ta kapsuła ma wizjer fotochromatyczny. Niezły bajer. A ta laska w kapsule też niczego sobie. Apetyczna dziewczynka.

- Laska? - zdziwił się Mark. - Myślałem, że to jakiś stary babsztyl.

- Tak, dla ciebie to już wapno i to zlasowane, bo ma więcej niż osiemnaście lat.

- Nie o to mi chodziło. Od tak dawna o niej słyszałem, że myślałem, iż ma co najmniej trzydziestkę, jak nie lepiej.

- Jak wygląda? - zapytał radiowiec Rudy, który dopiero teraz mógł włączyć się do rozmowy.

- Duże zielone oczy i włosy blond do pasa, zaplecione w warkocz. Ajakie piersi...

- Chcesz powiedzieć, że jest goła?! - To pytanie zadali wszyscy naraz.

W chwilę potem już ich nie było w kabinie. Niestety, pilotując tego ptaszka, tylko ja musiałem być cały czas na stanowisku.

Dokowanie przebiegło bez najmniejszych przeszkód. Wszyscy już wiedzieli, jaki ładunek mam na pokładzie, dlatego nie musiałem czekać na swoją kolej przy podejściu. Posadziłem prom na prawie pustym lądowisku. Zważywszy na to, że o tej porze zawsze panował duży ruch, było to wydarzenie niezwykle. Ale i ostrożność, z jaką obchodzono się z Seleną, była nadzwyczajna. Krążyły legendy o jej nadprzyrodzonych umiejętnościach, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, do czego może być zdolna. Podobno potrafiła siłą woli strącić latającą fortecę. Podobno - bo ja w to nie wierzyłem, tak jak nie mogłem uwierzyć w jej niezwykły

talent organizacyjny. Gdyby rzeczywiście potrafiła tak wszystko organizować, nie wyparlibyśmy mutantów z kilku kontynentów. Chociaż, z drugiej strony, mając przeciw sobie wszystkie armie świata, i tak długo się trzymali.

Przeprowadziliśmy wszystkie procedury sprawdzające w niespełną minutę. W tym czasie zamknięto wielkie wrota hangaru i napełniono go mieszkanką neutralnych gazów. Chłopcy opuścili rampę, a ja wyprowadziłem kapsułę z ładowni. Wśród oczekujących przy promie zobaczyłem generała Shermana, głównodowodzącego sił Nowych Stanów i samego prezydenta Wisemanna, który bodajże pierwszy raz wizytował te poziomy. Sterownik kapsuły przekazałem komandosom z gwardii prezydenckiej, a potem złożyłem oficjelom raport z lotu.

- Mam nadzieję, że pan, kapitanie Scrapper, jest świadom, iż uczestniczy w przełomowym momencie tej wojny - powiedział z namaszczeniem Wisemann. Nie czekając na jakiegokolwiek potwierdzenie z mojej strony, zwrócił się do oficerów i cywilów zgromadzonych za jego plecami: - Za dwie godziny rozpoczynamy oficjalnie fazę Nexus. Wszystkie promy mają już ustalone grafiki lotów. W ciągu następnych trzech dni przetransportujemy do księżycowych przetrwalni ostatnich wybranych obywateli Nowych Stanów. Ewakuacja miast-twierdz zostanie przeprowadzona w tym samym czasie. Statki osiągnęły pełną gotowość już kilka dni temu i wszystko powinno przebiec planowo. Niech Bóg ma w opiece tę planetę. Odzyskamy ją za niespełna dwa lata, a będzie to Ziemia wolna od wojen i granic. My będziemy jej solą i my zapanujemy nad nią po wsze czasy. Śmierć mutantom!

Wszyscy zebrani powtórzyli ten okrzyk. Ja też krzychałem, choć nie wiem, dlaczego. Nie czułem entuzjazmu, z jakim inni odebrali przemówienie. Tymczasem Sherman, gdy umilkła wrzawa, spojrział na mnie i powiedział:

- Zgodnie z władzą nadaną mi przez prezydenta, odznaczam pana, kapitanie Scrapper, orderem Nowego Świata i awansuję do stopnia majora. Gratuluję.

Wyprężyłem się jak struna, odpowiadając regulaminowo. Zaliczyłem

gładko awans, który tutaj miał wymierne znaczenie. Major to nie tylko szarża, to przede wszystkim zakwaterowanie o dwa poziomy wyżej, zdublowany przydział wody i prawo wstępu do sektorów niedostępnych nawet kapitanom. Ale nade wszystko możliwość dowodzenia czymś więcej niż promem.

Uroczystość skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Grupa oficjeli odeszła wraz z dziennikarzami krążącymi wokół niczym rój much. I ja otrzymałem swoją porcję uwagi fotoreporterów, która jednakże rozproszyła się w momencie salutu generała. Teraz pozostałem sam na sam z moimi chłopcami.

- Kto stawia? - zapytał Mark, gdy już oswobodziłem się z uścisków.

Jak się okazało, było to pytanie retoryczne. Piętnaście minut później wystartowaliśmy z całą eskadrą.

Nie miałem łatwego życia przez następne trzy doby. Czterdzieści osiem promów kursowało tam i z powrotem na Ziemię po kolejne grupy „pielgrzymów”, bo takim mianem ochrzczono ludzi, którzy zakwalifikowali się do przetrwania na satelicie. Dwieście czterdzieści osób za każdym nawrotem. Cztery kursy na dobę. Teoretycznie, rzecz jasna. W rzeczywistości dopiero dodatkowe osiemnaście godzin pozwoliło na ostateczne zakończenie operacji. Nie mogłem powiedzieć, by te loty nie nadwerżyły moich nerwów. Pierwsza doba minęła bez specjalnych sensacji. Nie mieliśmy awarii, w każdym razie poważniejszych. Drobne naprawy albo usuwaliśmy własnym sumptem, albo odkładaliśmy na później. W końcu wiele układów miało dublety, a nawet triplety, specjalnie na takie okazje. Jednakże po czterdziestu ośmiu godzinach nieustannego latania przyszedł kryzys. Nie pomogły tabletki, nic nie dały krótkie drzemki w czasie przelotu. Trzecia doba wysysała ze mnie wszystkie siły życiowe. Lataliśmy bez przerwy i do cudów można było zaliczyć stratę tylko dwóch maszyn podczas całej operacji. Z wielką ulgą przyjąłem krótki komunikat z wieży kontrolnej zezwalający na ostateczne lądowanie. Za mną, w przestrzeni, czekały jeszcze cztery promy. Cztery ostateczne transporty. Faza Nexus dobiegła końca.

Szedłem do wyjścia służbowego, nie oglądając się za siebie. Słyszałem podniecone głosy pielgrzymów, ale nie obchodzili mnie nic a nic. Chciałem spać, tylko spać i nic więcej. Rutynowa kontrola dokumentów, śluza detoksu, potem pusty peron stacji kolejki elektromagnetycznej. Wszystko to pamiętam jak przez mgłę. Do momentu, gdy podłoga pod stopami zakołysała się, jakby miała zamiar rzucić mnie z siebie. Początkowo wziąłem to za omam, ale fragmenty gruzu lecące z sufitu uprzytomniły mi, że to nie wyimaginowane obrazy przemęczonego umysłu, lecz prawdziwe trzęsienie ziemi. Na Księżycu? Adrenalina pozwoliła mi na powrót do rzeczywistości. Wstrząs był na tyle silny, że przewróciłem się na chłodny beton. Wokół mnie znajdowali się tylko moi chłopcy i dwaj technicy, którzy zdawali się traktować całe zdarzenie spokojnie.

- Co to, kurwa, ma znaczyć? - zapytał Mark stojącego bliżej.

- A na co to wygląda według pana pilota? - odpowiedział pytaniem tamten, otrzepując uniform z pyłu.

- To ja się pytam - „drugi” nie dawał za wygraną - od kiedy to na Łysym mamy wstrząsy sejsmiczne?

- Od dwóch dni. - Technik popatrzył na nas z pogardą. - To wpływ komety. Ścierwo znajduje się znacznie bliżej, niż przypuszczaliśmy.

- W dupę jeża - mruknął Dave. - Ajednak kłamali.

- Nikt nie kłamał! - parsknął technik. - Kometa znajduje się w bezpiecznej odległości, odchylenie od kursu wynosi zaledwie kilka stopni i najprawdopodobniej jest spowodowane przez niestabilność jądra. Potrzęsie jeszcze ze dwa, trzy dni i przestanie. Nie ma co robić w gacie, zwłaszcza mundurowe.

Obaj technicy roześmieli się i ruszyli w stronę wagonika, który właśnie wjechał na stację. Wsiadliśmy za nimi. Podróż minęła spokojnie, przynajmniej jeśli chodzi o wstrząsy. Jeden z techników, ten, który się nie odzywał na stacji, wysiadł z wagonika o własnych siłach. Drugi został między siedzeniami, gdzie posłał go celny sierp Marka. Myślę, że następnym razem będzie wypowiadał się bardziej ogólnie o bieli naszej bielizny.

Wstrząsy nasilały się w miarę zbliżania się komety, ale wszystko wskazywało na to, że nie zagrażają mocnym konstrukcjom bazy. Budowano ją z myślą o przetrzymaniu ataków rakietowych i ewentualnych upadkach meteoroidów. Jak na razie, wyliczenia inżynierów sprawdzały się. Minęła doba od lądowania i mimo kilkunastu coraz mocniejszych wstrząsów żaden z sektorów nie odniósł poważniejszych uszkodzeń. Nigdzie też nie zanotowano rozhermetyzowania korytarzy. Kolejnym pocieszeniem był fakt, iż kometa właśnie minęła Księżyc i zaczynała się oddalać. Niemniej nieustanne alarmy irytowały. Zwłaszcza wstrząsy podczas spóźnionego oblewania mojego awansu. Straciliśmy połowę skonfiskowanego pielgrzymom alkoholu, gdy kolejne trzęsienie zaskoczyło nas przy toaście. Może to i dobrze, bo nie sponiewierałem się za bardzo tego wieczora i mogłem w miarę normalnie rozpocząć następną dzień.

Po dziesiątej czasu standardowego dowlokłem się do kantyny dla oficerów niższych stopniem. Mundur majora budził powszechne zdziwienie obecnych, ale miałem to gdzieś. Przyszedłem tu siłą przyzwyczajenia ostatnich kilkunastu miesięcy. Kac też miał w tym swój udział. Bimber, jaki pędzono teraz na Ziemi, w niczym nie przypominał smaku starej dobrej whisky. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się pije... Ból głowy nie przeszedł, chociaż połknąłem kilka tabletek tylenolu. Musiałem też niezbyt zdrowo wyglądać, bo pomimo niezłego tłoku na sali do mojego stolika nikt się nie dosiadł. A może to była kwestia szarzy? Sam już nie wiem. W każdym razie siedziałem sam, dopóki nie dołączył do mnie Mark. Nie wiem, jak on to robi, ale potrafi po każdym pijaństwie wstać świeży jak skowronek. Tym razem też nie zawiódł moich oczekiwań.

- Witam, majorze. - Przywitał mnie trzaśnięciem obcasów, które zabrzmiało jak wystrzał z armaty. Oczywiście tylko w mojej głowie.

- Ciszej nad tą trumną - poprosiłem.

- Sie wie, szefie. - Usiadł i zaczął pałaszować papkę z odżywek, która

mnie kojarzyła się zupełnie jednoznacznie. Szybko skończył i spojrzał mi w oczy.

- Jak widzę, wyższe szarże słabiej przyswajają! - ryknął rozbawiony moim żalonym wyglądem.

- Daj mi spokój Mark, nie widzisz, że umieram?

- Majorów tak łatwo szlag nie trafia - odpowiedział, ale już znacznie ciszej. - Słyszałeś ostatnie nowinki?

- Nie, i nie chcę słyszeć.

- Ale to o lasce, którą tu przywieźliśmy. Wczoraj, kiedy balowaliśmy, odbył się nad nią sąd. Skazali ją na zamurowanie żywcem w starym silosie po ciemnej stronie Księżyca. Zdaje się, że już ją tam przewieźli.

- A co ona na to?

- Nic, nie odważyli się jej obudzić. Dopiero tam w silosie mająjąu wolnić z kapsuły. Szkoda takiej laski, żebyś widział te oczy...

Kolejny wstrząs powalił nas na podłogę. Był silny, cholernie silny, a może to ja tak go odebrałem? Poprzewracane stoły i kołyszące się lampy uzmysłowiły mi jednak, że siła wstrząsu nie była złudzeniem. Podobnie jak syreny alarmowe, które w kilkanaście sekund później rozerwały mi czaszkę na milion kawałków. Natychmiast pozbierałem się z podłogi. Tylko szacunek dla oficerskiego munduru uratował mnie od stratowania przez hordy kadetów zmierzających do swoich jednostek. Wydostałem się z kantyny razem z tłumem i dotarłem do wind oficerskich. Tu było spokojniej. Pułkownik, z którym jechałem na poziom zero, przyglądał mi się podejrzliwie. Spojrzałem w lustro. Faktem jest, iż niewielu ludzi w tutejszych podziemiach osiągnęło tak idealnie zielonkawy kolor skóry na twarzy. Przeciężenia windy też miały w tym swój udział, aczkolwiek niewielki. Udało mi się jednak nie splamić honoru oficera i wypolerowanych ścian windy.

Dopiero w kwaterze oddałem hołd bogom. Przemyłem twarz i zęby, łyknąłem jeszcze dwie tabletki. Pięć minut na koi też zrobiło swoje. Ból głowy zaczął mijać. Wróciła ostrość widzenia, tylko żołądek jeszcze wariował, ale już w znacznie mniejszym stopniu.

Z odrętwienia wyrwał mnie dźwięk interkomu. Szybko odczytałem

napis informujący, iż mam się natychmiast stawić w hangarze numer osiem. W naszym hangarze.

Wyszarpnąłem z szafki kombinezon bojowy i za moment ruszyłem biegiem do windy. Po drodze dopinałem zamki.

Droga na stację zajęła mi może cztery minuty. Stałem pomiędzy kilkudziesięcioma innymi pilotami. W tłumie zauważyłem Dave'a.

- Niedobrze, szefie - powiedział zatroskany. - Kontaktowałem się z Rudym, hangar dostał kawałkiem meteorytu. Dehermetyzacja to pryszcz, ale kilka maszyn jest poważnie uszkodzonych.

- Skąd te meteoryty?

- Kometą. Podobno jajogłowi obliczyli, że jej odchylenie rośnie z godziny na godzinę. Nie pieprzła w nas, ale omiecie Łysego ogonem.

- Miliony ton syfu. - Próbowałem sobie przypomnieć, co mówili na ten temat naukowcy, którzy latali moim promem badać kometę. - Ten ogon to niezłe kurewstwo.

- Zgadza się. Czeka nas gorąca wachta.

Dave się nie mylił.

Dojechaliśmy na miejsce po to tylko, by stwierdzić, że nie mamy czym latać. Dwanaście Warhawków zamieniło się w sterty dymiącego złomu. Wprawdzie grube mury i grodzie doku wytrzymały eksplozję, ale wszystko, co stało na powierzchni płyty startowej, zostało zniszczone lub poważnie uszkodzone. Panoramiczne ekrany pokazywały żałosne wraki promów. Przyjrzałem się sklepieniu, nie było w nim dziury, a jednak wewnątrz hangaru przemieniło się w rumowisko.

- Nie przebił się - skonstatował ze zdziwieniem Rudy. - Przypieprzył w powierzchnię Księżyca nad dokiem, ale nie w pokrywę. Impet uderzenia zarwał jednak kawał sklepienia. To wystarczyło, by skasować cysterny i kilka maszyn. A reszta, jak w zasadzie domina...

- Na szczęście to tylko jedna czwarta maszyn.

- Fakt. Ale my już nie polatamy.

Przebraliśmy się w próżniowe kombinezony i z ekipami ratunkowymi

przeszliśmy do wraków. Jedyne, co mogłem zrobić, to zabrać kilka osobistych rzeczy ze skrytki przy zejściówce. To, co znajdowało się w kabinie, spłonęło, zanim pustka wysssała powietrze z hangaru podczas akcji ratunkowej. Wracaliśmy do bazy w grobowych nastrojach. Zamiast wjechać na górę do swojej nowej kwatery, poszedłem do pokoju chłopaków. Siedliśmy przy stole, Dave wyjął butelkę bimbru. Rudy wyłączył kanał wiadomości.

- Za naszego ptaszka - wzniosł toast Dave. - Oby trafił nam się inny.

Wypiliśmy, choć jasne było, że nie mamy szans na nową maszynę. Te czterdzieści osiem promów to było wszystko, czym dysponowała nasza upadająca cywilizacja.

- Nie załatwili nas mutanci, to dostaliśmy od gównianej komety - mruknął Rudy. Zawsze upijał się na smutno.

- Ale żyjemy i zatańczymy na ich grobach! - ryknął Mark.

- Raczej na kościach, chyba że chce ci się kopać milion nowych grobów - zripostował Rudy.

- No to jeszcze raz. Za przyszłość.

Wypiliśmy, ale ostrożnie, na pół gwizdka. Alarmu nadal nie odwoływano.

- Może pan major sprawdziłby, o co biega - zaproponował w końcu Rudy. - Nam tego nie powiedzą, co innego szarzy.

Wszyscy przytaknęli. Zgodziłem się.

Droga do centrum informacyjnego zajęła mi nie więcej niż dziesięć minut. Odczułem dwa kolejne wstrząsy, choć nie tak silne jak ten, który zniszczył hangar. Gdy wszedłem do wielkiej sali dyspozycyjnej, zaskoczył mnie wyjątkowy harmider i bałagan. Zazwyczaj można było usłyszeć szum turbowind jeżdżących za grubym betonem ściany. Ale nie tym razem. Na większości ekranów błyskały czerwone komunikaty alarmowe. Nie starałem się objąć tego wszystkiego. Przeszedłem do oddalonego kąta, gdzie znajdowało się centrum dowodzenia siłami powietrznymi bazy.

Kilkunastu podoficerów obsługujących konsole wręcz szalało na swoich stanowiskach. Stojąc za ich plecami i starając się nie

przeszkadzać, obserwowałem monitory. Jak się wkrótce okazało, oberwał nie tylko nasz hangar. To nie było pojedyncze trafienie, lecz efekt upadku deszczu asteroid. Trzy z czterech doków zostały uszkodzone. Ponad dwadzieścia maszyn nie nadawało się do lotu. Dowództwo zdecydowało o wysłaniu reszty w przestrzeń lub na Ziemię, gdzie mogłyby przetrzymać najbliższą dobę, bezpieczniejsze niż w bunkrach pod powierzchnią Srebrnego Globu.

Właśnie usiłowano wykonać ten rozkaz. Obserwowałem na wirtualnej mapie trasy poszczególnych promów. Wystartowało już czternaście maszyn, pozostałe dwie miały awarie i musiały przerwać procedury startowe. Czwarty dywizjon z nienaruszonego doku pozostawał na razie w stanie alarmowym, ale bez rozkazu startu. I to go uratowało. Nowa fala kosmicznego śmiecia, tym razem tak drobnego, że niezauważanego lub lekceważonego przez komputery obrony, zaczęła szatkować kolejne promy. Opancerzenie maszyn pozwalało na kolizje z kilkunastoma obiektami o takiej masie rozpędzonymi nawet do ogromnych prędkości, ale setki mikrometeoroidów nie dawały najmniejszych szans załogom, które znalazły się na trasie roju. W ciągu kwadransa straciliśmy kontakt z ostatnią maszyną.

Znałem większość z tych, którzy polecili. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak gasły kolejne nazwiska na monitorach, a linie życia prostowały się, jakby ktoś wyłączał zasilanie sensorów. Na szczęście nie miałem podsłuchu kanałów komunikacyjnych, tak jak operatorzy, którzy po prostu zamarli i siedzieli, wpatrując się w płonące alarmową czerwienią monitory.

- To, kurwa, niemożliwe! - krzyknął jeden z poruczników, zrywając słuchawki. - Co robią te sukinsyny z namiarów? Wystawili nas prosto na deszcz meteoroidów.

- Komputery obrony wykrywają obiekty o masie powyżej jednej uncji - powiedziałem spokojnie, kładąc mu rękę na ramieniu - a to gównem było o wiele mniejsze. Nikt tego nie mógł przewidzieć. Ale na wszelki wypadek zanim dacie rozkaz startu ostatniej eskadrze, poproście o przeskalowanie wszystkich komputerów obrony tego sektora.

Trzydziestokrotnie.

W ogólnej kakofonii alarmów nie zwróciłem uwagi na nowe dźwięki. Wątpię, czy ktokolwiek zwrócił. Poczulem następny wstrząs, krótki, acz bardzo mocny, a po nim kilkanaście wtórnych - coś było nie tak. Rzut oka na centralny ekran uświadomił mi całą groźbę sytuacji. Wchodziliśmy w nowy deszcz asteroid. Komputer podawał trajektorie kilkuset wielkich odłamków skał i lodu. Żaden nie miał rozmiarów mogących spowodować totalną zagładę bazy, ale ich wciąż rosnąca liczba napawała niepokojem.

- Sprawdźcie, czy nie ma potwierdzonych namiarów na okolice doku numer trzy - rzuciłem kontrolerom pierwszy rozkaz.

Usłuchali bez zająknięcia, mimo iż nie byłem ich przełożonym.

- Mamy dwanaście prawdopodobnych trafień. Największe prawdopodobieństwo: dziewięćdziesiąt siedem procent. Czas: trzy minuty. To za mało, by wystartować.

- Wszystkie maszyny są w gotowości przedstartowej. Otwierać wrota, niech startują bez procedur! - krzyknąłem, wiedząc, że każda sekunda przybliży ich do pewnej zagłady. Jedno trafienie mogliby przetrzymać w zamkniętym hangarze, zwłaszcza po usunięciu cystern, ale dwanaście prawdopodobnych - nigdy. - Cała artyleria sektora na wyselekcjonowane cele!

Kontroler przekazał mój rozkaz i monitory ponownie zapełniły się danymi. Kolejne promy startowały, wynurzając się niczym duchy z czeluści doku. Dwie, trzy, cztery, pięć maszyn. Wtedy spadła pierwsza asteroida. Wprawdzie nie mieliśmy podglądu, ale nawet wirtualny plan pokazał groźbę sytuacji. Artylerzyści dali sobie radę, ale trajektoria upadku odłamków i fala uderzeniowa niemal sięgnęły obszaru hangaru. Dwa promy stracone.

Grooman i Harvey, z tym drugim wczoraj opijałem mój awans. Znałem go niemal od dziesięciu lat, razem lataliśmy na Columbi II. Po kilku sekundach ekrany znów ożyły, startowała reszta drugiego klucza i trzeci. Nie zdążyli; ledwie dwie maszyny wyszły nad powierzchnię, simultaniczne uderzenie trzech meteorów zamieniło okolicę w piekło.

Zginęli, nawet o tym nie wiedząc. Trzy promy oddalały się od Księżyca.

- Podać im najbezpieczniejszy kurs w stożek cienia - poleciłem. -
Sprawdzić wszystkie możliwe lądowiska.

Trwało to może dwie minuty.

- Mamy trzynaście otwartych płyt startowych w nienaruszonym stanie. Wszystkie hangary są bardziej lub mniej uszkodzone. Jeśli nie dostaną się w pole rażenia następnych rojów, dwa z nich da się uratować.

- Mimo wszystko odesłajcie promy na Ziemię. W atmosferze albo zasłonięte planetą będą bezpieczniejsze niż tutaj.

- Tak jest, panie majorze.

Klucz Warhawków powoli oddalał się od powierzchni satelity, wchodząc w strefę cienia, gdzie trafienie kosmicznym śmieciem było najmniej prawdopodobne. Na razie maszyny były bezpieczne, czego nie mogliśmy powiedzieć o sobie. Ogon komety rozpoczął omiatanie Srebrnego Globu. Najbliższe cztery godziny przyniosą odpowiedź, czy technologia, którą dysponowaliśmy, okaże się lepsza od nieujarzmionej natury. Tyle bowiem czasu Księżyc powinien jeszcze przecinać tor, po jakim poruszał się orszak odłamków towarzyszących komecie.

- Rozpada się! Kometa się rozpada! - Słowa te wyrwały mnie z chwilowego zamyślenia.

Główny ekran centrum zalał się czerwienią. Oczy wszystkich zwróciły się na zielony trójkąt oznaczający kometę. Wszelki ruch zamarł. Zapadła kompletna cisza. Wiedziałem, że jądro komety składa się z kilku niezależnych fragmentów, to zaobserwowaliśmy już podczas pierwszych wypraw badawczych. Jajogłowi sądzili jednak, że układ ten, funkcjonując od tyłu milionów lat, był bardziej niż stabilny. Mylili się. Jedna z brył lodu właśnie oderwała się od reszty materii i znalazła w pułapce grawitacyjnej Układu Słonecznego.

- Trajektoria! - krzyknął jeden z oficerów. - Sprawdź nową trajektorię!

Sala znów rozbrzmiała gwarem głosów i nerwową krzątaniną. Na ekranie pojawiły się setki wyliczeń.

- Minie nas, przejdzie!

Odetchnąłem, gdy ktoś podsumował pierwsze obliczenia.

- Wali prosto na Ziemię! - To ostrzeżenie przyszło dosłownie trzy sekundy później.

- Lokalizacja punktu zero! Natychmiast!

- Pacyfik, strefa równikowa... Przewidywany czas uderzenia: dwie godziny, czternaście minut, osiem sekund.

- Kurwa mać, to... to niemożliwe! - Czterogwiazdkowy generał, stojący nie dalej jak pięć jardów ode mnie, upuścił kubek z kawą i wpatrywał się w ekran, jakby chciał siłą woli zmienić rysujący się na nim układ linii. - Ona leci prosto na nasze statki... Wszyscy zamilkli.

- Sprawdźcie, jak duże jest to gówno - wyszeptał generał, biały jak kreda. - Na litość Boga, niech ktoś to sprawdzi.

- Jakieś... osiemset jardów średnicy. Skład... niemal sam lód. Większość wyparuje w atmosferze. Ale przy tej prędkości wyjściowej wystarczy, że tylko odrobina doleci...

Kontroler nie musiał kończyć. Dwanaście milionów istnień ludzkich, nadzieja na odrodzenie ludzkości, właśnie zostało skazanych na śmierć.

- Wycofajcie B-522 z tego rejonu - rozkazał generał. - Natychmiast!

Pomyślałem o Ramirezie. Ciekawe, czy uda mu się przetrwać uderzenie. Miałem nadzieję, że tak. Wtedy wpadłem na pewien pomysł. Trochę szalony, ale nie pozbawiony szans powodzenia.

- Panie generale - zsalutowałem - proszę o pozwolenie przedstawienia pewnego rozwiązania. Myślę, że sytuacja nie jest jeszcze beznadziejna.

- Mówcie! - Nie bawił się w ceregiele.

- Mamy w przestrzeni trzy Warhawki. Wiem, że to nasze ostatnie maszyny, ale są niedaleko i mogą spróbować zepchnąć ten odłamek z kursu.

-Nie mają na pokładzie broni o wystarczającej mocy - powiedział generał Sanders po chwili namysłu. Wyczytałem jego nazwisko z plakietki.

- Ale mogą staranować to kurewstwo.

-Zginą...

- Ale ocalał milion istnień. Zresztą, nie muszą nawet ginąć, jeśli opuszczą maszyny po zaprogramowaniu ich na cel... Trzeci Warhawk

może ich podjąć w kilka minut.

- To ma sens. - Generał spojrział na mnie jakby przytomniej. - Jeśli to się powiedzie, masz awans, synu.

To akurat nie miało dla mnie znaczenia. Nie w tej chwili. Bardziej interesował mnie los tych w dole. Choćby Jane, która powinna już być na jednym ze statków.

Rozkazy wydano w ciągu kilkunastu następnych sekund. Tak jak się spodziewałem, chłopcy z Warhawków nie spekali. Dotarcie w pobliże lodowej bryły zajęło im nieco ponad czterdzieści minut. Mieliśmy zapas ponad kwadrans do punktu bez odwrotu. Pierwszy prom poszedł na zdalnym sterowaniu i trafił w asteroidę, choć właściwie to ona trafiła w niego, gdyż znalazł się odrobinę za szybko w miejscu kontaktu. Niemniej wybuch zbiorników paliwa zrobił swoje, odchylenie bryły było nieznaczne, ale zauważalne. Dirk „Pitt” Masters, pilot drugiego promu, odmówił opuszczenia stanowiska. Postanowił sterować do końca, by z maksymalną skutecznością wykorzystać niszczycielską siłę eksplozji swojej maszyny. Zauważył z bliska, że bryła lodu ma pęknięcia w pobliżu czegoś, co przypominało duży krater. Wejście do jego wnętrza na zdalnym sterowaniu wydawało się niemożliwe.

Dirk dokonał tego i trafił lodowego giganta z boku, dodatkowo odpalając w chwili uderzenia wszystkie ładunki systemu samozniszczenia. Obserwowaliśmy bezpośredni przekaz z trzeciego promu. Kamery pokazały oślepiający błysk eksplozji, a potem... rozpadającą się na kawałki asteroidę. Czapki poleciały w górę.

- Przelicz mi to gówno - rzucił generał do mikrofonu, zanim umilkła wrzawa. - I to już!

- Siedem odłamków, badamy odchylenie.

- Pierwszy wejdzie w atmosferę pod kątem sześćdziesięciu stopni. Niegroźny.

- Drugi - sześćdziesiąt dwa stopnie, niegroźny.

- Trzeci - trzydzieści osiem stopni... niegroźny.

- Czwarty - osiemdziesiąt osiem stopni, odchylenie niewystarczające.

Kurs na cel utrzymany.

- Wielkość?

Znów zapadła cisza jak makiem zasiał.

Około czterystu jardów średnicy. To największy z odłamków. Prawdopodobieństwo dotarcia do powierzchni: nie więcej niż szesnaście procent. Najprawdopodobniej eksploduje w wyższych warstwach atmosfery.

- Dzięki Bogu - westchnął Sanders.

- Panie generale - jeden z techników podbiegł do fotela generała z długim wydrukiem - mam odczyt ze skanerów ostatniego promu. To nie jest czysty lód. Ta bryła ma w sobie jądro z metalu.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie wyparuje w stratosferze, ale znacznie niżej. Mamy sześćdziesiąt dwa procent prawdopodobieństwa, że dotrze na powierzchnię.

Facet powiedział to na tyle cicho, że nie słyszeli go ludzie przy konsolach. Ale ja usłyszałem. Sanders spojrział na mnie. Wyczytałem w jego oczach pytanie.

- Wiem, że to zrobią - powiedziałem.

- Ale to ostatni prom, jaki mamy. Bez niego pozostaniemy na Księżycu jak w pułapce. Tracąc go, przegramy.

- Są jeszcze dwie maszyny z dywizjonu drugiego. Te, które nie wystartowały z powodu awarii.

- Chyba niedokładnie obserwował pan to, co się działo w ciągu ostatniej godziny. Dwójka oberwała dziesięć minut po odlocie tych chłopaków. - Generał wskazał ekran.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale nie miałem odwagi. Widziałem, że Sanders też walczy z myślami. Ale miał rację. Niszcząc ostatni prom być może zyskalibyśmy szansę ocalenia statków z komorami przetrwalników, ale na pewno skazalibyśmy na śmierć wszystkich tutaj. I program odbudowy Ziemi.

- Przelicz to, synu! - Sanders popchnął kontrolera na jego stanowisko i spojrział na zegar. Na jakąkolwiek akcję pozostało nam sześć minut. Niewiele, a czas nieubłaganie upływał z każdym uderzeniem serca.

- Poświęcając ostatni prom, możemy co najwyżej odchylić tor lotu asteroidy o dwa stopnie i zmniejszyć jej masę o dziesięć, piętnaście procent. Metalowe jądro ma zbyt wielką masę, by je rozbić w konwencjonalny sposób. Do tego odłamek nieustannie przyspiesza.

- To wyjaśnia sprawę. Odwołajcie ich, niech pozostaną w cieniu Ziemi do otrzymania następnych rozkazów.

Na ekranie pojawił się obraz Ziemi widzianej z pokładu promu. Spoglądaliśmy na nią przez dłuższą chwilę.

- Czy ktoś może podać przypuszczalne rozmiary kataklizmu? - zapytał w końcu generał.

- Uwzględniając rosnącą prędkość tej asteroidy, w promieniu tysiąca pięciuset mil od punktu zero nie ma szans na to, by przeżyła choćby bakteria. Nawet głęboko pod wodą nie będzie bezpiecznie. Fortece zdążą się w tym czasie wycofać o jakieś tysiąc trzysta mil. Oceeniłbym ich szanse na, powiedzmy, jedną do stu. W najlepszym razie do pięćdziesięciu, jeśli na chwilę przed wybuchem zejdą pod wodę. Kataklizm jednak nie będzie miał charakteru globalnego, choć na pewno zatrzęsie jak cholera nawet w Europie.

- Ile jednostek mamy w innych rejonach?

- Żadnej, wszyscy otrzymali rozkaz wycofania się nad Pacyfik.

- Zatem zostaliśmy tylko my.

Wstrząs, jaki nastąpił w sekundę po tych słowach, był najsilniejszy z dotychczasowych. Ale nie było czemu się dziwić. Kometa znajdowała się niebezpiecznie blisko. Generał wyleciał z fotela jak wystrzelony z procy, ja ledwie zdołałem chwycić się podpory konsoli, co oszczędziło mi kolejnych siniaków. Część sprzętu przestała działać. Z kilku paneli sypały się snopy iskier. Inne płonęły otwartym ogniem. Z zabezpieczonego metalowymi siatkami sufitu posypał się jedynie pył. Wstrząs skończył się równie nagle, jak się zaczął. Ale niezupełnie. Nadal wyczuwałem pod nogami niewielkie drgania, jakby gdzieś pod podłogą przejeżdżał pociąg. Inni też to czuli, ale najważniejsze w tej chwili wydawało się ratowanie centrum. Syk gaśnic wypełnił całe pomieszczenie.

Rozejrzałem się za generałem. Leżał o kilka kroków ode mnie. Kątem pod jakim znajdowała się jego prawa noga, wskazywał niedwuznacznie, że jest złamana. Pochyliłem się. Oddychał płytko i nierówno. Na wargach miał bąbelki śliny zabarwione krwią. Musiał mieć połamane żebra i pewnie przebite płuca.

- Sanitariusza! - krzyknąłem. - Generał jest ranny!

Chłopcy w białych kombinezonach zjawili się dość szybko. Zostawiłem nieprzytomnego dowódcę i zająłem jego miejsce. Nad chaosem, jaki powstał po ostatnim wstrząsie, nikt nie panował. Z podwyższenia widziałem, że jedynie kilka monitorów pracuje normalnie. Nadal też czułem wibracje pod stopami. Niepokoiły mnie one bardziej niż płomienie, których nie zdołano jeszcze opanować. Wydałem parę rozkazów koordynujących działania służb ratowniczych. Kwadrans później udało się doprowadzić centrum do stanu używalności, pomimo trzech kolejnych wstrząsów. Na szczęście nie były już tak silne i niszczyielskie.

Na centralny monitor powrócił wirtualny obraz przestrzeni okołosieżykowej. Stopniowo pojawiały się na nim kolejne obiekty i trajektorie. Usiadłem w fotelu, by przemyśleć sytuację raz jeszcze. Odłamek komety minął już dawno punkt bez powrotu i zmierzał ku powierzchni Ziemi. Armagedon rozpęta się tam za góra kwadrans, jeśli nie szybciej. Teraz już nikt nawet tego nie obliczał. Wychodziliśmy powoli z ogona komety. Mimo wszystko większość obiektów bazy pozostała nienaruszona. Zauważyłem, że ponad połowa zachowała status zielony, a następne dwadzieścia, dwadzieścia pięć procent - żółty. Straciliśmy niestety wszystkie doki i lądowiska, ale te ostatnie będzie można bez problemu odbudować.

- Panie... gene... majorze... - Kontroler, który wcześniej odkrył, że wewnątrz lodowej bryły jest metalowe jądro, znów podszedł do stanowiska dowodzenia. - Coś dziwnego dzieje się z odczytami.

- Co takiego?

- Wszystkie powierzchniowe dane są stałe, ale zmieniają się koordynaty przestrzeni.

- To znaczy? Nerwowo przełknął ślinę i przygryzł wargę.

- No słuchani.

-Nie chciałym, aby pan major pomyślał, że zwariowałem, ale wydaje mi się, że Księżyc zmienił prędkość obrotową... - wykrztusił wreszcie.

Nie pomyślałem, że zwariował. Pomyślałem, że oszalał.

- Co mogłoby spowodować taką reakcję? - zapytałem jednak, czując wciąż drżenie podłogi. - Kometa?

- W żadnym wypadku! - zaprotestował. - To, że Księżyc mógł wpłynąć na jej orbitę, mógłbym od biedy zaakceptować, ale odwrotnego wpływu nigdy.

- Zatem co? Wzruszył ramionami i poprawił okulary.

- Bóg... jeden wie. Odchyliłem się i dotknąłem plecami chłodnego oparcia fotela.

Podłoga pod moimi stopami nadal drżała w dziwnym rytmie.

- Sprawdzajcie to i meldujcie - poleciłem kontrolerowi.

Zacząłem zastanawiać się nad sytuacją. Jeszcze kilka godzin temu byliśmy zwycięzcami w konflikcie z mutantami. A teraz nasze siły zostały rozbite w pył przez kilka kawałków kosmicznego lodu. Zadziwiające...

- Sir! - Jeden z ludzi kontrolujących prom machał nerwowo ręką w moim kierunku.

Wstałem z generalskiego fotela i podszedłem do jego konsoli.

- Co się dzieje?

- Kapitan Harris melduje o awarii napędu.

- Niech trzyma się poza atmosferą tak długo, jak zdoła. Do uderzenia pozostało zaledwie kilka minut. Jeśli teraz zacznie podejście, może stracić maszynę. A to oznacza koniec tej bazy.

- To chyba coś poważnego, panie majorze. Mam już odczyty z kilkunastu uszkodzonych obwodów, a ich liczba ciągle rośnie. Albo zaczną wejść w atmosferę, albo stracimy tę maszynę na sto procent.

- Dobrze - zdecydowałem. - Skierujcie ich na najbezpieczniejszy teren i przekażcie koordynaty wszystkim B-522. Jeśli któraś z maszyn przetrzyma uderzenie, musi dotrzeć do promu. To rozkaz.

- Tak jest! - Nie czekając na dalsze polecenia, kontroler przystąpił do przekazywania rozkazu.

Nadal mieliśmy szansę. Spojrzałem na stanowisko dowodzenia. Okularnik znów stał obok pustego fotela. Ruszyłem w jego stronę.

- Sprawdziliście? - zapytałem.

- Tak, sir. Wprawdzie nadal nic z tego nie rozumiem, ale wszystko się zgadza. Księżyc zmienił prędkość obrotową względem Ziemi. Za kilkanaście godzin znajdziemy się po ciemnej stronie.

- To oznacza utratę kontaktu z Ziemią na co najmniej pięćdziesiąt dni, jeśli prędkość obrotu ponownie się nie zmieni. Wejdziemy w stożek cienia. Nie mając satelitów, a te zostały zniszczone przez meteoryty, nie będziemy w stanie kontrolować niczego prócz pomieszczeń bazy. Utracimy bezpowrotnie możliwość przeprowadzenia drugiej części fazy Nexus.

Milczałem, zastanawiając się nad słowami, które właśnie padły. Druga część fazy Nexus, czyli wypuszczenie z księżycowych silosów setek głowic z bronią biologiczną, które miały wyjałowić Ziemię. Zupełnie zapomniałem o tym głównie. I pewnie nie tylko ja. Ginęliśmy, ale mogliśmy jeszcze pociągnąć za sobą całą resztę.

- Skontaktujcie się z generałem Shermanem, to on powinien wydać ten rozkaz.

- Próbowałem, ale kwatery dowództwa nie odpowiadają. Podobnie bunkier dowodzenia. Według odczytów nie zostały uszkodzone, ale nie odpowiadają.

- Wyślijcie kogoś na dół, mamy jeszcze dość czasu na podjęcie akcji. Zresztą po wykonaniu pełnego obrotu znajdziemy się ponownie po jasnej stronie...

- O ile będziemy żyli. Te wstrząsy nie ustaną. Mogą się nawet nasilić.

- Sir! - Kolejny kontroler podbiegł do stanowiska dowodzenia. - Fragment komety eksplodował w atmosferze, siedemset pięćdziesiąt mil na zachód od przetrwalni. Według pierwszych niepotwierdzonych danych żaden ze statków nie utrzymał się na powierzchni.

- B-522?

- Przegrupowywały się na zachód...

Siadłem w fotelu dowódcy.

- Jest kontakt z promem?

- Tak jest, podchodzą do lądowania w Afryce Południowej. To miejsce komputery wybrały jako najbezpieczniejsze. Wylądują przed przejściem fali uderzeniowej.

- Chociaż to się udało.

Odetchnąłem, ale w tej samej chwili poraziła mnie kolejna myśl. Prom, lądując na powierzchni Ziemi, znalazł się w strefie skażenia. Jeśli odpalimy głowice, odetniemy sobie ostatnią drogę ratunku...

Okularnik właśnie wracał do swojej konsoli, gdy go dogoniłem.

- Nie możemy odpalić tych głowic! - krzyknąłem, chwytając go za ramię. - Załatwimy ostatni prom, jeśli wprowadzimy w życie drugą część Nexusa.

- Rozumiem - powiedział. - W takim razie nie mamy nic innego do roboty niż czekać.

Nie mogłem się nie zgodzić z jego tokiem rozumowania. Wróciłem na fotel generała i wydałem kilka poleceń. Teraz musieliśmy zabezpieczyć to, co nam zostało. Przy konsoli stanowiska dowodzenia znajdował się terminal komputera zarządzania bazą. Wyłączony, dlatego wcześniej nie zwracałem na niego uwagi. Uruchomiłem go i kilkanaście monitorów zapłonęło czerwienią. Przełączyłem cztery centralne monitory na system przeszukiwania i przyglądałem się w milczeniu kolejnym obrazom przekazywanym przez kamery z różnych części kompleksu. Widziałem zniszczone doki, rozwaloną stację kolejki, kolejne poziomy centralnej kopuły. Minęło dobre dziesięć minut, nim kamery zaczęły przekazywać obraz odleglejszych obiektów. Silosów, bunkrów obrony.

Zatrzymałem przeszukiwanie, gdy zobaczyłem ciemne wnętrze, a w nim połyskujący znajomy kształt. Podpis informował, iż jest to jeden z silosów starej rosyjskiej bazy rakietowej. Zamieniony teraz w więzienie dla najniebezpieczniejszej istoty na Ziemi - Seleny. Obserwowałem przez chwilę nieruchomy obraz przekazywany przez kamerę. Nie widziałem nigdzie dziewczyny. Pomyślałem, że pewnie w tym bałaganie

nie obudzono jej i nadal spoczywa w metalowym sarkofagu, gdy nagle pojawiła się w polu widzenia. Miała rozpuszczone włosy, a nagie ciało okryła jedynie prześcieradłem z pryczy. Szła z gracją, kierując się wprost na kamerę. Jeszcze krok i zatrzymała się, patrząc w obiektyw. Te oczy, jakbym je znał. Widziałem je już kiedyś. Nagle do mojej świadomości dotarł przebłysk zrozumienia. Sięgnąłem do kieszeni munduru. Na sercu zawsze nosiłem to zdjęcie: mama i dziewczynka stojąca obok niej na plaży. Moja siostra, mutantka... Przyłożyłem zdjęcie do monitora i porównywałem przez chwilę obie twarze. Głowy bym nie dał, ale...

Selena uśmiechnęła się i poruszyła ustami. Aja usłyszałem jej słowa. Zdumiała mnie jakość przekazu, mikrofony w silosie musiały być najwyższej klasy.

- Witaj, braciszku - powiedziała. - Spójrz na główny ekran, Andy.

Spojrzałem. Wszystkie odczyty zniknęły. Na całej szerokości ściany zaczął się pojawiać zamiast nich krwawy napis: *Jesteśmy przyszłością.*

Wszyscy wpatrywali się w powoli kształtujące się litery. Nikt się nie poruszył, gdy napis rozpląnął się, pozostawiając martwą czerń wielkiego wyświetlacza. Spojrzałem na monitor. Nadal stała tam, spoglądając w kamerę.

- Ty to zrobiłaś? - wyszeptałem, wiedząc, że mnie nie słyszy, oddalona o tysiące mil.

- Tak - usłyszałem kolejną odpowiedź i w tej chwili uświadomiłem sobie, że żaden mikrofon nie był w stanie przekazać tej odpowiedzi. Słyszałem ją, jakby stała obok mnie. Co więcej, i ona mnie słyszała.

- Nie było żadnej zdrady, chciałaś się tu dostać - pomyślałem, nie wypowiadając tych słów.

- Tak, Andy, dotarcie na Księżyc było jedynym sposobem na powstrzymanie was przed zniszczeniem życia na Ziemi - odpowiedziała.

Teraz już wiedziałem, jak się ze mną komunikuje.

- I to nie kometa...

- Nie, to ja.

- Jaką mocą dysponujesz, że potrafiłaś... poruszyć...

- Nie zrozumiesz tego, i nie staraj się nawet zrozumieć. Ja jestem

przyszłością. Neandertalczyk pokonał słabsze gatunki małpoludów, sam ulegając potem silniejszym i mądrzejszym. To naturalna kolej rzeczy, ale zaślepieni swoją normalnością nie chcieliście dopuścić do siebie nawet myśli o zmianach. Traktowaliście nas jak zwierzęta, polowaliście, zabijaliście. W imię czego ginąć musieli ci, którzy nie mieścili się w ramach norm ustalanych przez średniaków? Potrafisz mi na to pytanie odpowiedzieć?

- Nie potrafię...

- Znasz odpowiedź, Andy. Znasz ją, ale nie potrafisz się do tego przyznać.

- Musieliście zginąć, bo my bylibyśmy... przeszłością.

Uśmiechnęła się.

- Ale - próbowałem gorączkowo znaleźć jakikolwiek argument na obronę poczynań ludzi - ale i wy nie byliście bez winy. Te okropne wypadki...

- I ty w to uwierzyłeś, Andy... Nie przyszło ci nigdy do głowy, że rząd nie wypuściłby z ręki tak doskonałych maszyn do zabijania, jakimi byli mutanci?

Trudno było zbić ten argument, na szczęście nie musiałem tego robić, bo Selena mówiła dalej:

- Te tak zwane incydenty zostały spowodowane przez służby specjalne. Dzieciaki były warunkowane na określone sytuacje, by dzięki setkom ofiar rozpętać krucjatę przeciw mutantom. A zrobiono to tylko dlatego, że stali się zbyt liczni, by ich kontrolować.

- ABad Neuhausen...?

- Czy kiedykolwiek pokazano wam kogokolwiek, kto był naocznym świadkiem tych zdarzeń? Zapewne podniesiesz teraz sprawę Szanghaju. Tu też muszę cię zmartwić. Od kiedy na wyposażeniu armii znalazły się działka soniczne?

- Od 2004, chyba...

- Ale takie wynalazki nie dojrzewają w głowach naukowców jednej nocy.

- Powiedziano nam, że projekt ten rozwinięto po masakrze na

stadionie.

-A może to był jeden z testów. Nie pomyślałeś o tym? Przecież tak łatwo można było zrzucić winę na drugą stronę. I jakież to był fantastyczny powód do rozpoczęcia eksterminacji całych narodów, które okazały się bardziej tolerancyjne.

- Ty też nie masz na to dowodów.

- To zależy, o jakie dowody mogłoby ci chodzić, braciszku. Mnie wystarczy, że tam byłam i widziałam na własne oczy, co się stało.

Uśmiechnęła się ponownie i cofnęła o krok.

- Ziemia jest moja. Wy macie tylko te bunkry, ale, braciszku, zawsze będziecie mogli wrócić na dół, jeśli zdołacie zaakceptować ten świat takim, jakim jest.

- Oszczędziłaś jeden prom, żeby...

- Tak.

-A ty?

- O mnie się nie martw, Andy. Teraz ty jesteś przywódcą ludzkiej społeczności. Wierzę w ciebie, braciszku. Wierzę, że zrozumiałeś tę lekcję. Mama też w ciebie wierzyła... Do końca...

Ekran zgasł. Spojrzałem na salę. Zdezorientowani technicy i kontrolerzy starali się uruchomić komputery, ale bez skutku. Schowałem zdjęcie do kieszeni. Wiedziałem, co mam robić. Byłem to winien pewnej kobiecie. Annie Nicole Davis.

*Rafałowi Tymurze, potomkowi samurajów,
z którym los mnie zetknął nie tak dawno*

Mrok nad Tokyoramą



Najważniejsze to patrzeć przeciwnikowi prosto w oczy. Nie na dłonie, choćby trzymał w nich najbardziej śmiertcionośną broń, nie na przepoń, z której rodzi się każdy zabójczy ruch, nie na stopy ustawiające linię ataku, ale właśnie w oczy. Głęboko, głęboko w oczy. Nie na darmo starzy mistrzowie nazwali je zwierciadłem duszy. To właśnie tam, na ich dnie, uważny obserwator dostrzeże rodzącą się dopiero myśl, która ułamki sekundy później poruszy rękę bądź nogę wroga i rozpocznie kolejny taniec śmierci.

Moim jedynym atutem w tym starciu było to, iż potrafiłem bezbłędnie wychwycić taką chwilę. Stojący naprzeciw mnie wojownik nie wiedział o tym. Tak naprawdę nikt nie mógł wiedzieć. To była moja największa tajemnica, przepustka do zwycięstwa...

Nie reagowałem na szybkie zmiany ułożenia dłoni i minimalne skręty tułowia, którymi wabił mnie Sakazushima. Wiedziałem doskonale, że każdy jego ruch był swoistą zasłoną dymną obliczoną na zdezorientowanie przeciwnika. Jeden fałszywy krok z mojej strony, jedna zbyt szybka reakcja i pojedynek zakończyłby się w okamgnieniu. Tego byłem pewien. Rzadko zdarzało się, by prosty Pion zdołał powstrzymać Gońca. Puste dłonie przeciw obnażonemu mieczowi we wprawnych rękach szermierza sprawdzały się jedynie w bzdurnych

filmach akcji. Prawdziwa walka to minimum ruchu. Szybkość, nie sprawność. Efektywność, nie efektowność. Przechytrzenie przeciwnika... Dlatego stałem teraz nieruchomo, wpatrując się w jego twarz i czekając na prawdziwy atak. Starłem się sprawiać wrażenie przerażonego nadchodzącą konfrontacją, sparaliżowanego strachem.

Musiał w to uwierzyć. Prędzej czy później. Nie znalazłoby się tu chyba człowieka, dla którego nie stałem na przegranej pozycji. Kagero Sakazushima był figurą, niekwestionowanym mistrzem, niepokonanym od wielu miesięcy szarżującym tygrysem, zwanym przez media Katem Tokyoramy, ja zaś - nikomu nieznanym rekrutem. Na Szachownię trafiłem dopiero sześć tygodni temu i nie miałem jeszcze okazji zmierzyć się z kimkolwiek, nawet podobnym mi żółtodziobem. Różnica klas między nami była ogromna, ale to właśnie ona, przewrotnie, dawała mi szansę na wygraną.

Jakkolwiek na to patrzeć, rozkazem naszego jedyne go mentora i mistrza, którym był pan Takashigami Ota, zostałem skazany na porażkę, może nawet na śmierć. Oto ja, Pion bez znaczenia, ofiarowany, by wciągnąć najgroźniejszego przeciwnika w pułapkę bez wyjścia. Ukryty wysoko w mroku kopuły człowiek na zimno skalkulował moją przegraną i absolutne upokorzenie, jeśli nie śmierć, już w pierwszej walce. Ale rozumiałem przyczyny tej decyzji. Widziałem jej słuszność i przydatność dla wygranej. Wojownik na polu bitwy nie kwestionuje rozkazów wodza, a cokolwiek mówić, byłem dzisiaj wojownikiem klanu Ota, winnym ślepe posłuszeństwo swojemu panu i jego rodzinie. Wykonując samobójczy rozkaz, stanąłem naprzeciw butnego sensei Kagero wiedząc, że nawet porażką przysłużę się kolejnemu sukcesowi mojego mentora. Byłem jedynie pionkiem w grze. Pionem, którego można poświęcić dla późniejszego zwycięstwa. Za moimi plecami, oddalony zaledwie o kilka kroków, czekał „Bezuchy” Kano. W ciszy zalegającej nad polem walki słyszałem, jak odmawia modlitwę do swoich zapomnianych bogów, szykując się do właściwego pojedynku, kulminacyjnego momentu tej części starcia, której ja byłem jedynie preludium.

Raz jeszcze błysnęła stal, gdy miecz w dłoniach „Kata” zmienił nieznacznie pozycję. Nie drgnąłem. Czekałem ze wzrokiem wbitym w czarne jak smoła oczy mistrza szkoły Mochizumi. To go zaskoczyło, z pewnością spodziewał się z mojej strony reakcji bardziej nerwowej. Zaczynał wierzyć w strach paraliżujący debiutanta... Kagero nie był pyszałkowatym głupcem lekceważącym przeciwników. Mimo tak wielu pojedynków, stoczonych na polach Toky oramy, nie miał nawet jednej blizny, a stawał do walki często i to z najlepszymi spośród najlepszych. Zawsze wygrywał. Ja jednak miałem zamiar go podejść.

Tłumiony odległością i ekranami ryk skandujących imię idola tłumów narastał z chwili na chwilę. Słyszałem coraz więcej okrzyków zagrzewających go do walki. Być może dla postronnych obserwatorów tkwiliśmy w absolutnym bezruchu, straciwszy poczucie czasu, ale to nie mogło trwać wiecznie. I nie trwało.

Dostrzegłem ten nieuchwytny skurcz, to ledwie widoczne drgnięcie powieki, poprzedzające decyzję o prawdziwym ataku. Na ułamek sekundy przed tym, nim Sakazushima uniósł ręce, rozpoczynając proste cięcie zza głowy, zszedłem z linii uderzenia, rzucając się do przodu. Nadal odchyłał miecz do tyłu, gdy moja pięść wylądowała na jego odsłoniętym łokciu. Krótki błysk, refleks odbitego od klingi światła, powiedział mi wszystko. Trafiłem dokładnie w to miejsce, którego zamierzałem dosięgnąć. Katana wysliznęła się z drętwiejącej dłoni zaskoczonego Kagero i poszybowała gdzieś w ciemność, ale chyba nikt nie przejmował się w tej chwili losem miecza.

Wrzawa umilkła jak nożem ucięta. Stała się rzecz nieoczekiwana, zwierzyna ukąsiła myśliwego. Szala zwycięstwa przestała się wychylać na jego stronę. Zdawałem sobie jednak doskonale sprawę, że to jeszcze nie koniec. Wojownik pokroju mistrza Mochizumi był zabójczo groźny nawet bez broni. Nie mogłem pozwolić sobie na najmniejszy błąd. Zaskoczenie, malujące się na jego twarzy, i ból, jaki musiał odczuwać w drętwiejącej ręce, nie powstrzymały go bowiem od prawidłowej reakcji na kolejną fazę ataku. Instynktownie składał się do bloku, zagradzając mi drogę do najbardziej witalnych części ciała. Na szczęście nie

zamierzałem atakować korpusu. Dał się nabrać na sztuczkę, w której sam był niedoścignionym mistrzem. Wyprzedził moje uderzenie, to, które nie nastąpiło. Podczas gdy blokował wyimaginowane pchnięcie, szybki cios w zewnętrzną stronę uda, w miejsce, gdzie kończy się mięsień czterogłowy, sparaliżował go ukłuciem bólu, którego nie sposób pokonać w przeciągu mgnienia oka, nawet jeśli ma się odporność wołu. Zwykły loking, technika prostaków z rysztoła, pozbawił go równowagi. Na sekundę może, ale była to już ostatnia sekunda tego pojedynku. Wciąż zdrewniała ręka nie była w stanie reagować tak szybko, jakby tego sobie życzył.

Widziałem w jego oczach... żal, nie wściekłość, ale właśnie żal, gdy uświadomił sobie, że za chwilę będzie musiał paść na kolana przed nowicjuszem. Założył się, że widział doskonale, jak składał dłoń do ostatniego uderzenia. Dwa palce przygięte, dwa nieco luźniejsze, kant dłoni napięty jak struna, co najmniej dwie możliwości wyprowadzenia ciosu, a jedyne, co mógł zrobić, to bezsilnie patrzeć na zbliżający się moment upokorzenia. Mistrz, niepokonany w siedemdziesięciu dwóch pojedynkach, bezlitosny i szybki jak kobra, teraz chwiał się, usiłując ustać na jednej nodze i choćby o sekundę oddalić widmo nadciągającej hańby.

Nie bawiłem się z nim, Trafiony w nasadę nosa zamarł na chwilę, po czym zwał się bezwładnie jak worek luźnych kości rzucony na ziemię. Odwróciłem się w kierunku reflektorów wieńczących szczyt kopuły Tokyoramy i złożyłem pokłon mojemu panu, arcymistrzowi Azji i obu Ameryk, głowie klanu Ota. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że we wnętrzu kopuły nadal panuje kompletna cisza. Jeszcze pół minuty temu czterysta tysięcy gardeł wykrzykiwało imię swojego idola, by teraz w niemym podziwie patrzeć na małego człowieka, który gołymi rękami stał w pył największą legendę Che-do.

- Czarny Goniec na E4 - zakomunikował tymczasem sędzia główny, obserwujący walkę z gondoli zawieszanej wysoko nad Szachownicą, absolutnie spokojnym, modulowanym z dystynkcją głosem. - Rozstrzygnięcie pojedynku na rzecz białego Piona. Debiutant Ryuichi

Koda pokonał wielkiego yokozunę szkoły Mochizumi, Kagero Sakazushimę. Ruch Białych... wieża naF8, szach Królowi!

Tłum oszalał. Czekałem na ten moment dwanaście lat. Dwanaście lat, podczas których nie miałem jednego wolnego dnia i jednej nocy bez koszmarów. Dwanaście lat bólu, zwątpień i wyrzeczeń. Dla tej właśnie chwili, dla tego jedyne w swoim rodzaju gestu uwielbienia. Nikt dzisiaj nie wątpił, że narodziła się nowa legenda Szachownicy. Uczyniłem pierwszy krok na drodze do sławy i przeznaczenia.

Wygraliśmy. Drużyna korporacji Mochizumi miała wielu wspaniałych zawodników, ale klęska mistrza Kagero załamała w nich ducha walki. W sześciu ruchach po mojej wygranej partia zakończyła się poddaniem Czarnych. Zeszliśmy z Szachownicy w deszczu kwiatów wiśni i kolorowego konfetti, zaraz po rundzie honorowej. Jeszcze głęboko w betonowych trzewiach areny słyszałem, jak tłum skanduje: „Ko-da! Ko-da!”. Dopiero stalowa grodziec szatni odcięła mnie od miłych dla ucha i duszy dźwięków.

Dziewczęta z łaźni już przygotowały gorącą kąpiel dla zawodników. Usiadłem na ławeczce pod szafką oznaczoną moim numerem i czekałem cierpliwie na swoją kolej, odbierając gratulacje od rezerwowych graczy i personelu technicznego. Hierarchia Szachownicy obowiązywała także i tutaj. Pierwszeństwo, zarówno przy posiłku, jak i ablucji, mieli starsi zawodnicy, „figury”, jak ich nazywano potocznie poza szkołami. Dla nas, adeptów Che-do, byli zawsze sensei - mistrzami. Potem szła średnia szarża, Piony z doświadczeniem, i wreszcie na samym końcu my, nowicjaty, mięso armatnie drużyny. I nie liczyły się tu żadne zasługi. Dopóki nie przejdę rytuału pasowania, choćbym w pojedynkę wygrał całą partię, starsi nie zaliczą mnie do swojego grona. Przynajmniej oficjalnie...

- Ryuichi... Ryuichi Koda!

Zamyślony, nie od razu zareagowałem na dźwięk mojego nazwiska przebijający się przez gwar rozmów. Drgnąłem, gdy jeden z trenerów

starszyny stanął przede mną i położył mi dłoń na ramieniu. Podniosłem głowę, zdziwiony tak poufałym gestem ze strony surowego zazwyczaj nauczyciela.

- Tak, sensei Oyagi? - Pochyliłem głowę w zwyczajowym geście szacunku.

- Pan Ota chce cię zobaczyć, i to natychmiast! - Cofnął dłoń, zanim zaczął mówić, a właściwie krzyżeć. Znow był beznamiętną maszyną do wyciskania potu.

Nie odezwałem się. Odpowiedź nie miała jakiegokolwiek sensu. Życzenie naszego pana było dla mnie rozkazem. Skoro chciał mnie zobaczyć natychmiast, nie pozostało mi nic innego, jak podążyć za siwowłosym trenerem. Apartament mistrza przylegał do szatni drużyny, łączył się z nią dwuskrzydłowymi rozsuwanymi drzwiami, aczkolwiek nie słyszałem o przypadku, by pan Ota pofatygował się nimi osobiście do zawodników. Etykieta areny nie pozwalała na to, a dla człowieka o takiej pozycji jak pan Takashigami, najmniejsze uchybienie było dyshonorem.

Wyszliśmy na korytarz, tutaj trener obejrzał mnie krytycznym okiem, strzepnął niewidoczny pyłek z kimona swoim wachlarzem i sprawdził szarpnięciem węzeł na pasie.

- Śmierdzisz potem, pionku - syknął mi do ucha. - Nie zbliżaj się zbyt do pana Ota. Nie możesz zepsuć mu kolacji. Najlepiej nie schodź w ogóle z tatami.

- Tak, sensei.

Raz jeszcze dokonał wzrokiem inspekcji. Wypadła chyba zadowolająco, bo wskazał głową drzwi i zaczął się nerwowo wachlować. Tutaj, głęboko pod ziemią, klimatyzacja nie działała tak sprawnie, jak byśmy tego chcieli. A on, w odświętnym stroju ze wszystkimi insygniami klanu, musiał to odczuwać w dwójnasób.

Podszedłem szybko do progu, ktoś już na mnie czekał z drugiej strony. Obciążone ryżowym papierem drzwi rozsunęły się z cichym szelestem, ledwie przed nimi stanąłem. Poczulem woń kadzideł. Służące zadbały, bym nie uraził niechcący powonienia mistrza. Zdjąłem sandały i

klęknąłem zaraz za progiem, na niewielkiej macie z symbolem klanu, czekając w głębokim pokłonie na wezwanie. Ale zamiast tego usłyszałem stłumione matami odgłosy kroków zbliżającego się z boku człowieka. Nie podnosiłem głowy. Ciche brzęczenie i zapach ozonu uzmysłowiły mi, że arcymistrz, nawet w takich okolicznościach nie pozbywa się osłony energetycznej. Całkiem słusznie zresztą.

- Ty jesteś Koda - usłyszałem nosowy głos, który tak często towarzyszył nam przy porannych apelach. Tym razem nie dobiegał z głośnika i brzmiał bardziej ludzko.

- Tak, Ota-san. - Przygnałem czołem do podłogi. - To dla mnie wielki zaszczyt, że...

- Nie wezwałem cię tutaj, by prawić pochwały - przerwał mi w pół zdania.

Ton tej wypowiedzi zdziwił mnie. Wygrałem dla niego najważniejszy pojedynek w tej partii. Sprawilem, że...

- Myślisz, że pokonanie Kagero zaskarbiło ci moją wdzięczność, pionku? - zapytał napastliwie, burząc do reszty mój porządek myśli.

- Czyniłem tylko to, co każdy zrobiłby na moim miejscu dla drużyny i zwycięstwa klanu Ota - odparłem formułką wpajaną nam każdego dnia podczas ćwiczeń.

- Che-do to najszlachetniejszy ze sportów naszych czasów - powiedział po kilku sekundach milczenia arcymistrz trzech kontynentów. - Łączy nieśmiertelną tradycję samurajską i najdoskonalszą z gier umysłowych, jakie zna człowiek. Szachy, takie jakie znano przed laty, były elitarną grą. Tylko najwybitniejsze umysły mogły spotkać się nad szachownicą, by toczyć bezkrwawe wojny i kampanie. Ale to był tylko wstęp do odkrycia absolutnie doskonałej gry wszech czasów. W tradycyjnych szachach ty, Pion, stałbyś bez ruchu, czekając na bicie oznaczające usunięcie z szachownicy. Teraz los rozgrywki jest zależny nie tylko od strategii liniowej, zakładanej przez arcymistrzów, ale od nieskończonej złożonych zależności pola bitwy, zupełnie jak w prawdziwym życiu.

Muszę opracowywać kolejne strategie po każdym ruchu, kalkulować szanse poszczególnych starć i pojedynków. Muszę nieustannie

analizować wszystkie czynniki i tworzyć misterne widowisko, dostarczając sobie i milionom, miliardom widzów najdoskonalszej z rozrywek, rozumiesz to, pionku!?

- Tak, sensei.

- Nie wydaje mi się...

Milczałem, czekając na dalszy ciąg jego monologu, i zastanawiałem się, co mogło go tak zdenerwować. Nie powinien przecież wiedzieć...

- Szachownica to nie ryszotok. - Arcymistrz Ota jak zwykle nie pozwolił mi dokończyć myśli. - Należy pokazać na niej mistrzowski kunszt walki wręcz, wydobyć całą jej dramaturgię i piękno, a nie używać wulgarnych sztuczek plebsu. Twoje zwycięstwo nad Sakazushimą było pokazem chamstwa, nie piękna, pionku. Jeśli jeszcze raz zastosujesz podobną... technikę do pokonania przeciwnika, wykluczę cię z zespołu z dożywotnim wilczym biletem. Zrozumiałeś, cuchnący śmieciu?

- Tak, Ota-san.

- Wynocha!

Kroki oddaliły się, zanim oderwałem czoło od podłogi. Drzwi zaszurały i wycofałem się na korytarz, zabierając po drodze sandały. Klęczące po obu stronach, umalowane odświętnie kobiety nawet na mnie nie spojrzały, odprawiając w pustkę i ciemność korytarza. Oyagi wciąż tam był. Czekał z wachlarzem w ręku i kpiącym uśmiechem na twarzy.

- Spodziewałeś się czegoś innego, pionku? - zapytał z nieukrywaną ironią w głosie.

Spojrzałem na niego i odpowiedziałem zgodnie z tym, czego uczono nas w szkole:

- Liczy się tylko skuteczność.

- Teraz poznałeś prawdziwe znaczenie tego sloganu, Koda. - Uśmiechnął się szerzej, ale już bez ironii. - Liczy się tylko skuteczność... mistrza gry, nie Piona. Zepsułeś finezyjne zagranie swojego pana, który przygotował doskonałą pułapkę na przeciwnika. Twoje zwycięstwo nie zmieniło niczego, wygrana była tak czy inaczej po naszej stronie, i to w najlepszym stylu. Ty sprawiłeś, że wygraliśmy, nie pozwalając pokazać

panu Ota jego talentu strategicznego.

- Rozumiem, sensei. - Zatrzymałem się przed drzwiami szatni. - Powinienem ulec Kagero, by mój pan mógł pokazać wszystkim swój misternie prowadzony plan gry, teraz to rozumiem.

- Nic nie rozumiesz, Koda. - Stary Oyagi opuścił wachlarz. - Żaden wojownik klanu nie powinien ulegać przeciwnikowi. Szkolimy was, byście wygrywali, nie tarzali się w pyłe u stóp wroga. Ale macie wygrywać z honorem, rozumiesz? Z honorem! Walcząc według reguł Szachownicy i kodeksu bushido.

- Tak, sensei. - Pochyliłem się, nie spuszczać go z oczu, i sięgnąłem do klamki.

-Zaczekaj. - Powstrzymał mnie, zanim ją nacisnąłem. - Gdyby to był jakikolwiek inny przeciwnik, przyznałbym bezwarunkową rację panu Ota, ale „Kat” Kagero... - zawiesił na chwilę głos - ...zasłużył na takie upokorzenie.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Sakazushima okaleczał przeciwników z absolutną bezwzględnością. Tutaj, w lidze między kontynentalnej, nie było ograniczeń nakładanych na kluby krajowe i lokalne. Zawodnicy używali najprawdziwszej broni, i chociaż „figury”, które jako jedyne na Szachownicy miały przywilej noszenia mieczy i wszelkiego rodzaju broni białej, zazwyczaj poprzestawały na widowiskowym wyeliminowaniu ustępujących im wyszkoleniem i uzbrojeniem niższych kastą zawodników przez ogłuszenie bądź powierzchowne ranienie, to Kagero wsławił się wyjątkowym okrucieństwem. W swojej ligowej karierze zabił czternastu przeciwników, w tym tylko jednego Gońca. Reszta jego ofiar to byli debiutanci bądź niedoświadczeni wojownicy. Trzydziestu czterech innych posłał na dożywotnie renty, okaleczając w stopniu uniemożliwiającym samodzielną egzystencję. Nie mówiono głośno, ilu z nich potem popełniło samobójstwo...

Korytarz wypełniły odgłosy odległych krzyków i bieganiny. Oyagi skinieniem głowy nakazał mi wejść do szatni, a sam ruszył ku wyższym piętrům, na których najwyraźniej coś się działo.

Podczas mojej wizyty u pana Ota większość zawodników została

obmyta. Na ławkach siedziało jeszcze dwóch rezerwowych, ale na mój widok przesunęli się w kąt, ustępując miejsca w kolejce. Dla nich byłem bohaterem dnia. Podziękowałem i podszedłem do szafki. Wykafelkowany basen dla Pionów nie był szczytem luksusów, ustępował tak wielkością, jak i komfortem temu, który mieli do swojej dyspozycji yokozunowie drużyny, ale zawsze z wielką przyjemnością oddawałem się w ręce łaźiebnych. Nie przeszkadzało mi nawet to, że zazwyczaj były to stare kobiety z niższych sfer. Ich twarze miały może mniej powabu, ale ręce większą wprawę w masowaniu.

Rozebrałem się do naga, powiesiłem strój Piona na wieszakach w szafce i z niewielkim ręcznikiem do ocierania twarzy w dłoni wszedłem do parującej wody. Zdażyła już trochę przestygnąć. Uśmiechnięta posługaczka o urodzie przekwitłej chryzantemy i użębieniu, które musiało wprawiać w przerażenie każdego szanującego się dentystę, miała talent do swojej roboty. Zanurzyłem się w parze i odprężyłem pod delikatnymi muśnięciami palców i gąbki. Niemal zapomniałem o spotkaniu z panem Ota. Cokolwiek powiedział, presja tłumów, a zwłaszcza menedżerów Ligi, nie pozwoli mu na zwykłe usunięcie mnie z drużyny. Zapewne nie odsunie mnie nawet od kolejnej partii. Co najwyżej ustawi na neutralnej skrajnej pozycji, niedającej takiego pola do popisu. Nie zależało mi już na tym. Spektakularny sukces, jakiego potrzebowałem, by zaistnieć na Szachownicy, stał się już faktem dokonany...

Nagle usłyszałem trzask odbijających się od ściany drzwi do szatni. Nie widziałem dobrze przez kłęby pary, ale odgłosy szamotaniny i głośny przejmujący okrzyk bólu sprawiły, że poderwałem się ze stołka. W samą porę, by zobaczyć osuwającego się po ścianie Yamakashiego, jednego z rezerwowych, którzy mnie przepuścili. Czerwona smuga, jaką zostawił na kafelkach, nie pozostawiała złudzeń. Kagero przyszedł wyrównać rachunki, łamiąc tym samym wszelkie zasady azylu i honorowej walki. O ile porażka na arenie mogła odbić się niekorzystnie na jego karierze, o tyle wdarcie się z bronią do szatni skazywało go na zapomnienie. Bez względu na rezultat walki.



十木

- Wyjź, śmieciu! - krzyknął rozwścieczony eks-Goniec.

Sądząc z odgłosów, znajdował się teraz za szafkami po prawej. Nie mógł mnie widzieć, ale było kwestią chwili, by znalazł poszukiwaną osobę w tak małym pomieszczeniu. Okrzyki i wyzwiska pozostałych zawodników naszej drużyny najwyraźniej go rozjuszyły, znów usłyszałem świst miecza i okrzyk bólu. Ruszyłem do wyjścia, wyrwijając się przerażonej łaziebnej, która siłą zamierzała wciągnąć mnie do służbówki. Może i zachowałbym życie, kryjąc się tam - lada chwila musieli dotrzeć tu uzbrojeni strażnicy – ale czy taki akt tchórzostwa przystoi pogromcy yokozuny? Z pewnością nie. Patrząc na to jednak z drugiej strony, musiałem zachować wszelką ostrożność. Byłem już tak blisko celu.

Podniosłem z ławki większy ręcznik i spojrzałem w martwe oczy Yamakashiego. Krew wypływająca z jego ciała, przewieszzonego przez krawędź basenu, zabarwiła już prawie połowę wody. Cięcie miecza otworzyło brzuch chłopaka od pachwiny niemal po sutek.

Wytarłem dokładnie stopy o matę, by się nie ślizgać, i wyjrzałem zza szafek. Sakazushima stał tyłem do mnie, grożąc mieczem zawodnikom zbitym w gromadę. Wielu z nich było niemal nagich, dopiero co wyszli z kąpeli albo zażywali relaksacyjnego masażu. Zauważyłem na białej ścianie ślady krwi. Jeden z braci Kobayashi trzymał się za rękę, usiłując zatamować krwawienie z głębokiej rany. Nasz ogólnie szanowany senior - Król, Yamada-san, przyciskał zakrwawiony ręcznik do twarzy. „Kat” zamierzył się do kolejnego ciosu, krzycząc:

- Wyłaź, szczurze, bo pozabijam ich wszystkich!

- Jestem tutaj, Kagero-san - powiedziałem cicho, siląc się na spokój, i wyszedłem z ukrycia.

Odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem. Pogardliwy uśmiech wykrzywił jego usta. Oczy zalśniły dziwnie, gdy poruszył głowę, zbyt dziwnie, i nie była to kwestia oświetlenia. Ten człowiek oszalał, kompletnie oszalał albo nafaszerował się stymulatorami. W obu przypadkach nie wróżyło to niczego dobrego. Nie powiedział nic, od razu ruszył do ataku, z szybkością błyskawicy tnąc z ukosa. Ostrze

chybiło o milimetry, tak mi się przynajmniej zdawało, i z metalicznym dźwiękiem odbiło się od krawędzi najbliższej szafki. Kagero odskoczył, nie dając mi szansy na ripostę. Przyjął instynktownie pozycję koyu-go, pozwalającą tak na obronę, jak i na błyskawiczny wypad. Dyszał, obserwując mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

Przesunąłem się powoli na środek sali, cały czas usilnie myśląc, jaką przyjąć taktykę. Szaleństwo albo narkotyk sprawiły, że jego gałki oczne poruszały się nieustannie, odbierając mi jedyną możliwą przewagę. Musiałem wytrzymać dostatecznie długo, by dotarli tu strażnicy. Do dyspozycji miałem tylko moje ciało i trzymany w dłoni ręcznik - zbyt mało, jak na otwartą walkę. Szansą na przeżycie była odsiecz z zewnątrz. Musiałem improwizować...

Sakazushima roześmiał się jak najprawdziwszy szaleniec i zaatakował ponownie. Zadał niejedno, ale całą serię szybkich cięć, nie zważając na to, że trafiają w meble i ściany. Drasnął mnie kilka razy, ale na razie udało mi się uniknąć poważniejszej rany, choć krwawiłem jak zarzynane prosię.

- Tak, pionku - syknął Kagero, wracając do pozycji obronnej - teraz nie będzie litości ani pokazów, wypuszczę z ciebie całe życie, kropelka po kropelce.

Ruszył, zanim dokończył mówić. Zmiana tonu ostrzegła mnie przed nadchodzącym atakiem. Tym razem byłem przygotowany, zamarkowałem zejście na lewo i skoczyłem w przeciwną stronę, unikając zamaszystego cięcia w kark. Niemal unikając. Poczułem, jak gorąca krew tryska z rany na ramieniu, ale miałem go już z boku, nadal wychylonego po wyprowadzonym ataku. Nie mogłem jednak uderzyć prawą ręką, choć byłby to czysty, kończący walkę cios. Rozcięty mięsień naramienny odebrał mi kontrolę nad tą częścią ciała.

Nie miałem wielkiego wyboru. Kopnąłem z obrotu, widowiskowo, jak na filmach. Kagero spodziewał się prostego kopnięcia, szybszego i trudniejszego do sparowania, tymczasem tu go zaskoczyłem. Technika nożna, którą wykonałem, była zbyt wolna i sygnalizowana, przez co mało skuteczna w normalnej walce, ale to już nie była normalna walka.

Ominąłem pułapkę, jaką zastawił na wypadek ataku wprost. Uchylił się, w ostatniej chwili unikając trafienia, ale musiał przejść do kolejnej defensywy, a to oznaczało jeszcze jedną szansę do wykorzystania. Zaatakowałem rękę, w której trzymał miecz, udając, że kopnięcie ma sięgnąć jego głowy. Odchylił się, a opuszczana pięta pomknęła ku uzbrojonej ręce. Chrupnęła kość i katana uderzyła w kafelki, rozbijając kilka z nich w drobny mak. Kagero odskoczył do tyłu, wyjąc jak opętany, dłoń wisiała pod ostrym kątem, jednak udało mi się ją wyłamać.

Spojrzałem na miecz, był dość daleko, ale powinienem zdążyć go podnieść, zanim... Zrezygnowałem z tego pomysłu, widząc, że Sakazushima chwyta za wybity nadgarstek, by go nastawić. Wył przy tym niczym zraniony wilk. Wył i patrzył prosto na mnie. On naprawdę był szalony. Ruszyłem do przodu, wiedząc, że to zapewne błąd, ale każda sekunda zwlekania mogła działać już tylko na jego korzyść. Nie zdążył nastawić ręki, podciąłem go, przypadkiem zresztą, ślizgając się w kałuży własnej krwi. Upadł plecami na szafkę i osunął się po niej, miał problem ze wstaniem. Ja też nie mogłem się podnieść, zdrową ręką rozpaczliwie szukałem punktu podparcia na śliskiej podłodze, widząc, że Sakazushima już siedzi, już jest na nogach.

Na ustach miał ten sam uśmieszek, z którym zaczynał walkę. Ruszył na mnie z gardłowym okrzykiem, jednocześnie lewą ręką wyrывая zza pasa pozbawiony tsuby sztylet tanto. Czas zwolnił bieg, zdawało mi się, że widzę nawet ruch powietrza rozcinanego srebrzystym ostrzem, które wzniosło się wysoko i zaczęło spadać, mierząc prosto w moje serce.

- Szkoda chłopaka - powiedział ktoś, może Chiba albo Yoshinoya.

Nie mogłem rozpoznać głosu, choć dobrze wiedziałem, że znam człowieka, który wypowiedział te słowa. Na oczy nie mogłem liczyć. Ktoś nakrył mi twarz chłodnym prześcieradłem, odcinając od widoku okrwawionych ścian i pobladłych twarzy. Poczuję, jak podnoszą mnie razem z noszami. Wokół kłębił się tłum reporterów, lekarzy, policjantów i działaczy Ligi. Słyszałem podniesione głosy zawodników, którzy udzielali wywiadów, krótkie komendy wypowiedane przez

jakiegoś oficera, potem wszystko ucichło i docierał do mnie tylko miarowy stukot butów łomoczących o betonową posadzkę korytarza.

Nagle zrobiło się jaśniej, ktoś zdjął mi prześcieradło z twarzy.

- Nie martw się, Koda - znowu usłyszałem znajomy głos - powiedzieliśmy, że nie żyjesz, żeby cię nie opadły te sępy z holowizji... ale nie martw się, przeżyjesz, chłopie... Może nawet wrócisz na Szachownicę...

- Taki głupi to chyba nie jest. - To zdanie dobiegło z drugiej strony, a wypowiedział je ktoś zupełnie mi obcy. - Przynajmniej na takiego nie wygląda...

Uśmiechnąłbym się, gdybym tylko wiedział, jak poruszyć mięśniami odpowiedzialnymi za rozciągnięcie kącików ust. Nie potrafiłem jednak zmusić ich do jakiegokolwiek reakcji. Moje ciało zastygało powoli, nieubłaganie, ale w głębi serca wiedziałem, że to nie koniec, jeszcze nie teraz... Nadal byłem pewien jednego: choćby oznaczało to największą głupotę, muszę wrócić na Szachownicę, i to jak najszybciej.

Doktor Moi chi raz jeszcze spojrzął w kartę i pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Jeśli o mnie chodzi, panie Koda, to nie mam żadnych przeciwwskazań. Rany zabiłznięły się czysto, zregenerowaliśmy i połączyliśmy rozcięte włókna na ramieniu, reszta obrażeń nie była groźna...

- Zatem będę mógł wrócić do gry?

- Przy odrobinie szczęścia... Ale ten sezon może pan sobie darować, zostały jeszcze tylko trzy partie do play-off. Radzę dobrze odpocząć, zaliczyć dodatkowe serie zabiegów regeneracyjnych i dopiero we wrześniu rozpocząć treningi. Zdąży pan na otwarcie Ligi.

- Obawiam się, że nie mogę sobie pozwolić na tak długą przerwę, panie doktorze. Muszę zagrać w tych finałach.

- Jest taka szansa, że zdąży pan dojść do formy przed finałami - odparł po chwili doktor, masując dłonią policzek, jakby otrzymał przed chwilą

solidnego klapsa. - Jeśli zastosuje się pan do moich wskazówek, rzecz jasna. Zbyt szybkie podjęcie forsownych treningów tylko panu zaszkodzi. Wszczepy są jeszcze zbyt świeże, mogą się rozwarstwiać. A najdrobniejsza kontuzja ramienia wykluczy pana z rozgrywek co najmniej do następnej wiosny.

Choć ciężko było to przyznać, miał rację. Prawe ramię naprawione - bo trudno byłoby nazwać to leczeniem - sklonowanymi włóknami mięśniowymi, wzmocnionymi węglanami, wymagało wielotygodniowej rehabilitacji. Wiedziałem o tym równie dobrze jak prowadzący mnie lekarz. Podeszedłem do niego i ukloniłem się z szacunkiem. Uśmiechnął się, podał mi wypiskę i resztę dokumentów.

- Naprawdę, dobrze radzę... - Odprowadził mnie do drzwi.

- Wiem, doktorze. Postaram się pana nie zawieść.

Nie wyszedł ze mną na korytarz, choć początkowo miał taki zamiar. Napastliwy brzęczyk pagera odciągnął go z powrotem do biurka. Pomachał mi ręką na pożegnanie. Zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem cichymi i lśniąco czystymi korytarzami prosto do turbowindy.

Nie dotarłem do wyjścia. Zanim zbliżyłem się do końca korytarza, podeszedł do mnie mężczyzna. Dobrze ubrany, z krótko przyciętymi włosami przefarbowanymi na blond, z płócienną torbą na ramieniu. Miał twarz szczura, typową dla młodych przebojowych reporterów. Jeszcze chwilę temu obserwował przejście, siedząc na parapecie, z którego się zerwał, ledwie przekroczyłem próg gabinetu.

- Pan Koda? - zapytał cicho, gdy go mijiałem.

Pokręciłem głową i minąłem go obojętnie.

- Jasne - usłyszałem jego cichnące słowa. - Ryuichi Koda nie żyje od ośmiu lat...

Znaczenie tego zdania odebrało mi całą pewność. On wiedział!

Zatrzymałem się i powoli odwróciłem do uśmiechniętego mężczyzny. Niedbałym ruchem poprawił okulary i pokłonił się z przesadną uprzejmością. Odruchowo sprawdziłem wzrokiem jego dłoń.

Zauważył to. Zlustrowałem jeszcze odsłonięty kark obcego i przedramiona. To mnie trochę uspokoiło. Nie trenował, był miękki.

- Jak widać, żyję i nie mam ochoty na głupie rozmowy - powiedziałem, siląc się na spokój.

- Skoro pan tak mówi...

Nieznajomy nie zbliżył się, z jego twarzy zniknął kpiący uśmiešek, oczu, niestety, spod ciemnych okularów nie widziałem. Zastanawiające, skąd wiedział... I kim był?

- W takim razie żegnam. - Nie chciałem dać mu satysfakcji i ruszyłem dalej, opanowując zdenerwowanie.

- Proszę zaczekać. - Nadal był pewien swego, głos mu nawet nie drgnął mimo tak niepomysłnego obrotu sprawy. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- O czym? - zapytałem przez ramię.

- O życiu, śmierci i... życiu po śmierci - odparł sentencjonalnie.

- Nie rozumiem... - Zatrzymałem się.

- Jak na człowieka, który zginął osiem lat temu, rzeczywiście niewiele pan rozumie - przyznał.

- Nie zginąłem - uciąłem tę dyskusję. - Jak widać... - Obróciłem się wokół osi, niby prezentując swoją witalność, ale naprawdę chciałem sprawdzić, czy na korytarzach, które krzyżowały się w tym miejscu, nie było nikogo. Niestety, w polu widzenia miałem co najmniej sześć osób. Musiałem przyznać, że wybrał doskonały punkt na spotkanie. Gdyby nie to, już by nie żył...

- Spokojnie, panie... - nieznajomy zawiesił znacząco głos.

- ...Koda.

- Niech będzie - zgodził się - panie... Koda. Powinniśmy poważnie porozmawiać. Nazywam się Shimada Isu, jestem reporterem „Tokyoramą Shimbun”. Obsługuję rozgrywki Ligi od sześciu sezonów, znam większość zawodników, trenerów, a nawet kilku arcymistrzów... Spojrzałem na niego z rozbawieniem.

- Ma pan rację, to znajomość raczej jednostronna - powiedział, przechwytyjąc moje spojrzenie. - Niemniej moja orientacja w układach

pozwoliła na ciekawe odkrycie...

- Doprawdy?

- Doprawdy. - Przestał się uśmiechać. - Osiem lat temu, dokładnie czternastego maja, Ryuichi Koda, dobrze zapowiadający się nowicjusz, jeszcze nastolatek, syn generalnego przedstawiciela korporacji Matatsushita na Europę Wschodnią, wyszedł z domu na umówione spotkanie w klubie tanecznym i ślad po nim zaginął...

- To wszyscy wiedzą. Porwano mnie dla okupu.

- Rodzice nieszczęśnika zginęli kilka dni później w zamachu bombowym na Centrum Yokotakashi w stolicy Protektoratu Porando... A Ryuichi odnalazł się po dwóch tygodniach na peryferiach Warushawa-City, wycieńczony, ale żywy.

- To też ogólnie znane fakty. Porywacze stracili szanse na okup.

- Tak mówiono... Ale nie wszyscy wiedzą, że cztery dni wcześniej, podczas zakrojonej na szeroką skalę akcji poszukiwawczej, znaleziono na przedmieściach Warushawy, opodal linii transeuropejskiej ekspresowej kolei elektromagnetycznej, zwęglone szczątki samobójcy. Niestety, nie nadawały się do identyfikacji. Tożsamość ustalono jedynie na podstawie dokumentów...

- Jaki to ma związek ze mną? - Trzymanie nerwów na wodzy kosztowało naprawdę wiele. Gdyby nie ci ludzie, potencjalni świadkowie...

- Powiedziałbym, że znaczący.

- To znaczy?

- A jeśli powiem, że byłem na terenie Protektoratu w zeszłym tygodniu, uzyskałem w sposób niezbyt legalny próbkę DNA ofiary tego wypadku, i dziwnym trafem...

- Czego chcesz? - warknąłem, podchodząc do niego. Nie cofnął się, zapewne wiedział, że tylko tu, na widoku, jest bezpieczny. - Pieniędzy?

- Też, ale bardziej zależy mi na poznaniu prawdy. Dlaczego ktoś o nazwisku Noruberuto Tymura, półkrewi Japończyk, podszywa się pod nieszczęsnego Ryuichiego Kodę?

Zmierzyłem go wzrokiem; wiedział zbyt wiele, by mógł przeżyć. Zbyt

wiele, bym czuł się bezpieczny. Zbliżyłem się jeszcze o krok, otwierając usta, jakby do odpowiedzi, ale mnie uprzedził:

-Nie jestem głupcem, dokumenty z Protektoratu wraz z dokładnym wyjaśnieniem zdeponowałem u mojego prawnika. Jeśli mnie tkniesz... Jeśli mój puls ustanie - wskazał srebrną bransoletę zapiętą na nadgarstku - dane automatycznie dostaną się do sieci i będziesz skończony.

Zatrzymałem się w pół następnego kroku. Miał rację; jeśli go teraz tknę, cały plan pójdzie na marne.

- Co proponujesz? - zapytałem.

- Opowiesz mi o wszystkim - odparł, jakby proponował zakąski do obiadu. - Z najdrobniejszymi szczegółami, przed kamerą.

- A jeśli nie opowiem?

Sięgnął do zamka bransolety teatralnym gestem.

Szliśmy bocznymi uliczkami starej dzielnicy mieszkaniowej, rozciągającej się pomiędzy Shinjuku a Akihabarą. Z każdym krokiem oddalając się od ruchliwej arterii i linii kolei miejskiej, wkraczaliśmy w na wpół realny świat domków pamiętających stare dobre czasy. Zmierzchało już. Przez wszechobecny smog i strugi deszczu przebijały się mdłe światła megawieżowców dzielnicy biurowej. Tutaj jednak, zaledwie o milę od pierwszego z nich, czas jakby się zatrzymał. Skąpani kwaśnym deszczem wędrowaliśmy wąskimi uliczkami pomiędzy rzędami jednopiętrowych domów o spadzistych dachach i finezyjnie zdobionych fasadach. To była bogata dzielnica, jedna z niewielu, w której horyzontu nie wytyczały jedynie niebotyczne ściany kolejnych osiedlowców.

Shimada zatrzymał się przed piątym z kolei domem po prawej. Na mosiężnej tabliczce widniał napis: *Pani Yukiko Soon Tek Oi, gabinet mistrzowski masażu relaksacyjnego szkół Zensa i Kusubu*. Spojrzałem pytająco na dziennikarza, ale tylko się uśmiechnął i wskazał ręką wejście.

Wnętrze korytarza, nieco zbyt wąskiego jak na mój gust, wypełniały opary kadzidła i stare meble. Z góry dobiegała ściszone muzyka.

Przeszliśmy do drzwi prowadzących do niewielkiego pokoju. Oprócz monstrualnego łóża, staromodnej komody i kamery na trójnogu, nie było tu niczego. Usiadłem na łóżku, odkładając torbę na bok. On stanął za kamerą.

- Dlaczego to robisz? - zapytałem. - Dlaczego mnie po prostu nie wydasz?

- W dzisiejszych czasach wszystko ma wartość - odpowiedział, ustawiając coś na panelu sterowania; martwa kontrolka pokazywała mi, że sprzęt jeszcze nie działa. - Skoro zadałeś sobie tyle trudu, by dostać się do Japonii incognito, a jako obywatel japońskiego pochodzenia w szóstym pokoleniu, przy zachowaniu nazwiska, miałbyś do tego prawo tak czy inaczej, i skoro dokonałeś rzeczy tak niezwyklej, że stałeś się idolem milionów, logiczne jest, że twoja prawdziwa historia warta jest więcej niż nagroda za wydanie nielegalnego imigranta w łapy zbirów z Nippon Nishimatsu.

- Nie znasz mojej historii. Nie możesz być pewien, że jest coś warta.

- A jednak mam taką niezachwianą pewność, że dzięki niej zdobędę coś więcej niż tylko miliony. - Posłał mi uśmiech. - Możemy zaczynać?

Skinąłem głową i spojrzałem w obiektyw.

- Wielu ludzi - zacząłem po chwili namysłu - uważa się za naprawdę sprytnych. Porywają innych dla okupu albo innych korzyści i nie zastanawiają się nad konsekwencjami takiego czynu, a te mogą być naprawdę różne...

Isu stał obok kamery, nadal błogo uśmiechnięty. Podniosłem rękę, nie przerywając mówienia i wskazałem obiektyw. To go nieco zaniepokoiło, rzucił okiem na kontrolkę, a potem na sam mechanizm. Nie zdążył już podnieść wzroku.

Ułożyłem go na łóżku, uprzednio dokładnie rozbijając kamerę.

Jeżeli przetransmitował gdziekolwiek to, co rejestrował, nie znajdzie się tam nic, co mogłoby mnie obciążyć. Niby taki spryciarz, a popełnił klasyczny błąd. Gdybym go zabił, za kilka godzin miałbym na karku

całą tajną policję Cesarstwa. Ale nie zabiłem. Ogłuszyłem tylko i dokładnie związałem. Założyłem też knebel, żeby nie próbował odgryźć sobie języka albo nie wzywał pomocy, gdy mnie nie będzie. Musiałem opuścić go na chwilę.

Na gorze znalazłem sześć osób, ale żadna nie była przeciwnikiem godnym wojownika Ligi Mistrzów. Teraz nie musiałem się patyczkować, ginęli kolejno tam, gdzie ich zastałem. Szybko, boleśnie, ale po cichu. W terminalu komputera sprawdziłem dokładnie identyfikatory zabitych i rejestrację budynku. Wszyscy domownicy byli na miejscu, do tego dwie nadprogramowe osoby, nie licząc pana Isu. Nie musiałem obawiać się niespodziewanego najścia, przynajmniej przez kilka najbliższych godzin, a to powinno wystarczyć do zatarcia śladów.

Upozorowałem włamanie przez wyjście pożarowe, zgarnąłem trochę cennych przedmiotów i wysmarowałem krwią na ścianach kilka haseł, jakie zazwyczaj zostawiają gangi Mishimatsu, czystej rasowo biedoty z przedmieść, która za cel stawia sobie oczyszczenie kraju z ludności napływowej. Koreanka wżeniona w japońską rodzinę, z własnym interesem, mogła stać się ich celem. Gazety codziennie pisały o podobnych przypadkach.

Wróciłem na dół i usiadłem obok nadal nieprzytomnego dziennikarza. Już w drodze do tego miejsca dopracowałem szczegóły akcji, którą tak naprawdę zaplanowałem przed laty i miałem wielokrotnie przetrenowaną. Na wszelkie możliwe sposoby. Jeden z przerabianych scenariuszy był zadziwiająco podobny do tego, co przed chwilą się stało. Spojrzałem na nieruchome ciało mężczyzny. Pozostało mi do zrobienia jeszcze jedno. Musiałem zabrać stąd mojego niedosłego prześladowcę tak, by nikt z sąsiadów tego nie zauważył. Sprawdziłem jego kieszenie. Jak każdy napalony młodzian miał przy sobie malutki stalowy pojemni czek. Sprawdziłem wskaźnik dozymetru. Ilość amfetaminy była na tyle duża, że powinien odlecieć na dość długi czas. Znacznie dłuższy niż potrzebowalem...

Obudził się, gdy kończyłem śniadanie. Dokładnie spętany i przytwierdzony do metalowego łoża ustawionego w pozycji półhoryzontalnej. Usta wypełniał mu specjalnie profilowany skórzany knebel, a do żył w przedramionach miał podłączone kroplówki. Siedziałem naprzeciw i patrzyłem, jak się budzi. Najpierw to nieprzytomne spojrzenie, przyzwyczajenie do światła, zdziwienie bólem skrępowanych członków, a potem nagły szok, gdy mózg skojarzył ostatnie fakty.

- Witam, panie Isu - powiedziałem, gdy przestał się szarpać. - Tych pasów nie zerwie nawet Motmotaru „Godzilla”.

Wspomnienie najsilniejszego człowieka Cesarstwa jakby go zdeprymowało. W każdym razie przestał się miotać. Skorzystałem z okazji, by uświadomić mu dokładnie, w jakim położeniu się znalazł.

- Możemy to załatwić na kilka sposobów - uśmiechnąłem się niewinnie - ale wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli od razu pójdziesz na współpracę.

Pokręcił głową i coś zabełkotał.

- Najpierw wersja pesymistyczna - ciągnąłem, nie zważając na to, co mamrotał. - Jesteś twardy, nie chcesz współpracować, sprawiasz kłopoty. Mam kilka przyrządów, które umilą ci pobyt w piwnicy, a będziesz tu dość długo, choć nie tak długo jak on. - Wskazałem sąsiednie łoże, na którym leżała wychudzona postać, przypominająca mumię z taniego horroru. - To człowiek, który za dużo wiedział i zabezpieczył się w podobny sposób jak ty.

Zauważyłem w oczach Isu pierwszy błysk prawdziwego przerażenia; przestał się ruszać i patrzył wprost na mnie.

- No widzisz, rozsądni ludzie zawsze się dogadają. Ale wracając do tematu. Mam kompletnego automeda i najnowocześniejszy system podtrzymywania życia. Nawet jeśli mi się wymkniesz, każdemu może zdarzyć się zawał albo inne paskudztwo, to twoje ciało będzie żyło, dopóki będę tego potrzebował, ale to szczegół. Ważniejsze, że masz przed sobą trzy miesiące, nie, prawie cztery, pobytu tutaj - źrenice pięknie mu się rozszerzyły, bał się jak cholera - i tylko od ciebie zależy,

czy będzie to pobyt spokojny, czy też załapiesz się na Chińską Reedukację. Wiesz, co to jest Chińska Reedukacja?

Skinął głową. Nic dziwnego, każde dziecko wiedziało, czym jest sprzężony z automedem robot zaprogramowany do zadawania najwymyślniejszych tortur, oczywiście nielegalnie sprowadzany z kontynentu. Wskazałem miejsce, gdzie spoczywała, przypominająca wieko trumny, płyta CR. Na czoło Isu wystąpił kroplisty pot, spływał teraz wąskimi strużkami na policzki i trzęsące się szczęki.

- Zdaję sobie sprawę - kontynuowałem - że możesz mi nie wierzyć, dlatego zaaplikuję ci dwie godziny programu wstępnego, na dobre rozpoczęcie współpracy... - Zaczął kręcić głową w niemym proteście. - Jeśli tego nie zrobię, mógłbyś pomyśleć, że blefuję.

Uaktywniłem pilotem maszynę, w której oprogramowaniu zawarto wiedzę o dręczeniu ciała i umysłu gromadzoną przez cztery tysiąclecia. Pokrywa automatu nasunęła się bezgłośnie na dziennikarza.

Spojrzałem na zegarek, powinienem zdążyć do banku i na spotkanie z lekarzem, zanim seans się zakończy.

Nie spóźniłem się. Gdy wchodziłem do piwnicy, CR zajmował się właśnie unerwieniem w stopach pana Isu. Dwadzieścia minut musiałem czekać, zanim więzień wrócił do stanu używalności. Zdążyłem zaparzyć herbatę i sprawdzić raz jeszcze sprzęt.

- Poziom pierwszy z dwunastu - zakomunikowałem objaśniającym tonem, jakiego używają dilerzy sprzętu elektronicznego w minimarketach Akihabary, i pokazałem pilota, gdy załzawione oczy dziennikarza przybrały jako tako trzeźwy wygląd. - Możesz wybierać, przechodzimy od razu na dwójkę, a potem na kolejne stopnie intensywności doznań, czy współpracujesz?

Zaczął kiwać głową tak energicznie, że zemdlał. Ocuciłem go i wyjąłem knebel z ust. Ustawiłem łóżko tak, by mógł mówić do kamery holoteku na maksymalnym zbliżeniu. Pas podtrzymujący klatkę piersiową znajdował się poniżej pola widzenia, a ten z czoła

zamaskowałem frotową, antypotową opaską

- Czego chcesz?... - wychrypiął, gdy napiłem go zimną zieloną herbata.

- Połączę cię teraz z twoim biurem. Powiesz, że znalazłeś nowy trop afery Art-Di w Protektoracie Amerikku i musisz tam natychmiast jechać. Oczywiście incognito. -Zamachałem mu przed oczyma plikiem paszportów, zabranych ze skrytki pod schodami domu, w którym mieszkał. - Tam - wskazałem ekran monitora stojącego obok holoteku -masz tekst. Każda pomyłka to piętnaście minut programu drugiego. Próba wezwania pomocy - dwie długie godziny na trójce.

Skinął skwapliwie głową, ale coś mi się w jego spojrzeniu nie spodobało. Włączyłem tek, pokazując mu raz jeszcze pilota CR. Skrzywił się i odwrócił wzrok. Na ekranie komunikatora pojawiła się tymczasem uśmiechnięta sekretarka redakcji. Odsunąłem się na bok.

-Mówi Shimada Isu, potrzebuję kilku tygodni wolnego, może nawet paru miesięcy, mam nowy trop afery Art-Di w Nyu Yokku i... - Mówił wolno, przelatykając ślinę i zerkając od czasu do czasu na moje palce, muskające przyciski pilota. Nagle zebrał się w sobie i wrzasnął: - Porwał mnie człowiek, który podaje się za Ryuichiego Kodę, to nie jest... - Spojrzał na mnie, potem na ekran, na którym nadal widniała pogodna twarz uśmiechniętej sekretarki.

- Tak, przyjacielu, to jest nagranie. - Obróciłem pilota w rękach. - Taki mały test lojalności, którego, niestety, nie zdałeś. - Wyłączyłem holotek i odsunąłem monitor od łóża.

- Dlaczego mi to robisz?! - krzyknął, gdy zbliżyłem się. - Dlaczego?! To nieludzkie...

- Uwierz mi, mam swoje powody - powiedziałem tak łagodnie, jak tylko potrafiłem, i wcisnąłem przycisk uaktywniający paralizatory w pasach, żeby nie odgryzł sobie języka, zanim założę knebel.

Gdy wszystko było na swoim miejscu, wyłączyłem zasilanie. Opadł na gumowane prześcieradło, a ja usiadłem w fotelu.

-Nagrałem też twoją wypowiedź, przyjacielu - poinformowałem leżącego. - Teraz podrasuję trochę obraz i prześlę go w nocy na

automatyczną sekretarkę redakcji. Ale to nie wszystko, twoi szefowie muszą być przeświadczeni, że naprawdę pojechałeś do Nyu Yorku, dlatego trzeba uczynić jeszcze jeden krok w naszej małej inscenizacji. Musisz kupić bilet, ale jak to zrobić, skoro nie możesz stąd wyjść, a najbliższy automat jest w podziemiach domu towarowego Mashashi?... - Zamilkłem na moment. - Też mnie to zmartwiło, ale znalazłem sposób na załatwienie sprawy. Pożyczę sobie od ciebie jedno oko i jeden palec, chyba nie będą ci już potrzebne... - Sięgnąłem po narzędzia chirurgiczne. - To pozwoli mi kupić bilet z twojego konta. Numer znam.

Szarpał się strasznie. Musiałem mu zaaplikować kolejny ładunek obezwładniający.

- Ale zrobimy to dopiero jutro - uspokoiłem go. - A teraz, zanim przejdziemy do poziomu trzeciego naszej chińskiej rozrywki, dowiesz się, dlaczego to robię. Potem możesz już niczego nie zrozumieć...

Sierpień przyniósł kolejną falę deszczu. Tokio tonęło w strugach kwaśnej wody, lejącej się nieprzerwanie z szarego nieba. Nadal nie trenowałem w szkole, kontynuując rehabilitację, ciesząc się chwilami ulotnej sławy i odwiedzając kolejne przyjęcia u wpływowych działaczy Ligi. Bawiło mnie to, nawet bardzo. Zwłaszcza że forma wracała z dnia na dzień, a nie widziałem kolejnych zagrożeń. Isu po dojściu do poziomu szóstego był łagodny jak baranek i meldował redakcji o kolejnych poszlakach oraz konieczności podróży do coraz to innego protektoratu. Był naprawdę niezły w tropieniu afer, o czym świadczyła łatwość, z jaką rozwikłał mój przypadek, więc szefowie „Tokyoramą Shimbun” dawali mu wolną rękę. Tylko to szklane oko psuło trochę efekt, ale pracując z oświetleniem udało mi się uzyskać w miarę satysfakcjonujący rezultat.

Arcymistrz Takashigami Ota bez mojej pomocy zdobył już prymat w Lidze Azjatyckiej i szykował się do rozgrywek o Arcymistrzostwo Zjednoczonych Protektoratów. Jego przeciwnikiem w drodze do finału

była reprezentacja Protektoratu Amerikku, prowadzona przez niepokonanego od ośmiu sezonów arcymistrza międzykontynentalnego Hashimoto Hayabużę. W drugim z półfinałów zmierzyli się klan Hoshigami, zarządzający wyspami Cesarskiej Oceanii, i zespół z Protektoratu Porando. Ta nikomu nieznana drużyna, prowadzona przez arcymistrza Gudzieegodzi Nowakę, naturalizowanego pod-Japończyka, który wspiął się na szczyt Ligi i psuł humor każdemu rasowo czystemu obywatelowi Imperium Wschodzącego Słońca, sprawiła tego lata nie lada niespodziankę. Jeszcze nigdy nieczysty rasowo nie dostał zaszczytu grania w finale.

Mimo kilku miesięcy przerwy w grze, nadal byłem jednym z najpopularniejszych zawodników. Pokonanie gołymi rękami największej legendy Tokyoramy miało posmak epokowego wydarzenia. Na tyle ważnego, bym znalazł swoje miejsce w panteonie sław, nawet wbrew panu Ota, który z pewnością umniejszał mój sukces, gdzie tylko mógł. Na szczęście miliony prostych widzów, dla których Che-do było jedynie kolejną wersją krwawych pojedynków na ekranie, głosowało na mnie przy każdej okazji. Dzięki nim trafiłem w końcu do „Nikkei Che-do Taka-o-rama” - programu przedstawiającego największe postacie Szachownicy, który miał widownię większą niż wystąpienia rocznicowe Cesarza.

Zasiadłem w studiu zaraz po jednym z arcymistrzów, który, niestety, zakończył tegoroczne rozgrywki na ostatnim miejscu i zapowiedział, że zgodnie ze złożoną przysięgą popęlni seppuku. Prezenterzy domagali się, by ujawnił czas i miejsce tej ceremonii, ale nie dał się przebłagać. Zresztą i tak go wysłędzą... Zawsze pokazują materiał z podobnych wydarzeń. Nawet moja walka w szatni została zarejestrowana przez kamery ochrony. To właśnie od przypomnienia tamtych chwil zaczęło się spotkanie.

- Witam żywą legendę Szachownicy! - Buntaro Yub-bei, jedna z najbardziej znanych twarzy mediów, ledwie zapalono światła w studiu zaprezentował do kamer garnitur najbielszych zębów, jakie można było znaleźć na całym globie. - Ryuuuichiiii Koooda, poogroomca

yoookozuuunów!

Ukloniłem się trzykrotnie zgromadzonej w studiu publiczności i zasiadłem w głębokim fotelu. Buntaro zapanował błyskawicznie nad rozkrzyczanym tłumem, zupełnie jakby cały ten entuzjazm był udawany. Zapewne tak było, wielcy ludzie holowizji rzadko szli na żywioł.

- Jak zdrowie? - To pytanie wyrwało mnie z zamyślenia.

- Dziękuję, odzyskałem już część formy. Od trzech dni przeprowadzam regularne treningi.

Oklaski, oklaski, oklaski.

- Przed chwilą widzieliśmy piękną walkę, najpierw na Szachownicy, potem nagranie z szatni - powiedział Yubbei. - O czym myślałeś, patrząc na te obrazy?

- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, po ile strażnicy odsprzedają dyski z nagraniami nagich zawodników.

Fala śmiechu przetoczyła się przez widownię.

- Dobre, dobre. - Prowadzący niby się uśmiechał, ale popatrzył na mnie dziwnie. Widocznie liczył na jakieś bardziej dramatyczne wyznanie. - Nie masz żadnych stresów związanych z tamtym wydarzeniem?

- Żałuję, że nie obwiązałem się wtedy ręcznikiem; wszystkie kobiety, moje wielbicielki, utraciły podstawy swoich marzeń. Pokazaliście mnie, można powiedzieć, w całej okazałości...

Kolejna fala śmiechu i oklaski. A miało być tak wyniośle i poważnie. Buntaro miał swój plan, ja swój. Publiczność mnie kupowała, różniłem się od tych nadętych głupców, którzy potrafili mówić jedynie o swoich zwycięstwach i uzyskanych punktach.

- Rozumiem. - Prezenter już kombinował, jak szybko mnie spławić, zanim zrobię komedię z jego programu. To był dobry moment na zwrot akcji.

- To oczywiście żart. - Spowaźniałem w okamgnieniu. - Trafiłem do pierwszego składu bierek zaledwie kilka tygodni przed feralnym zdarzeniem. Nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia na Szachownicy,

dlatego ustawiano mnie na pozycjach możliwie neutralnych.

- To była twoja pierwsza walka, o ile dobrze pamiętam - wtrącił Buntaro, zadowolony z odzyskania kontroli nad przebiegiem wywiadu.

- Dokładnie. Przeciwnik zastosował klasyczny debiut. Do szesnastego posunięcia partia toczyła się w miarę normalnie, potem po wyrównanym pojedynku niespodziewanie straciliśmy Gońca i, w najbardziej bezsensowny sposób, Wieżę. Kazuya Harada, jak pamiętasz, potknął się, wyprowadzając swój widowiskowy atak nunchaku, co kosztowało go pęknięcie podstawy czaszki i koniec kariery na Szachownicy.

- Tak, to był prawdziwy pech! - krzyknął Buntaro. - Przeżyjmy to jeszcze raz!

Przygasły światła i na środku studia pojawił się hologram przedstawiający w zwolnionym tempie feralne spotkanie. Yubbei z laserowym wskaźnikiem uwijał się wokół półprzezroczystych postaci, pokazując najistotniejsze momenty i miejsca. Trwało to kilkadziesiąt sekund.

- Tak było - powiedziałem, gdy znów zabłysło światło i umilkły brawa. - Wtedy Czarne zyskały znaczącą przewagę. Pan Ota, genialny strateg, by zyskać na czasie, postanowił odciągnąć najniebezpieczniejszego wojownika przeciwnej drużyny, zmuszając go do bicia na C4.

- Czyli na ciebie.

- Tak, to miało ustawić Sakazushimę w pozycji wystawionej na atak trzech kolejnych figur Białych. Nasz lewy Goniec, Kano Kayo, jest naprawdę doświadczonym szermierzem i mógł pokonać Kagero, a na pewno osłabiłby go na tyle, że czekający w odwodzie Wieża Matsu dokończyłby dzieła.

- Tak analizowano tę sytuację - przyznał Buntaro. - Niemniej było to ryzykowne posunięcie. Gdyby...

- Nie było szans - przerwałem mu. - Pan Ota to najlepszy obecnie arcymistrz, każda jego kalkulacja na Szachownicy jest w stu procentach skuteczna, czego dowodem może być zdobycie po raz kolejny mistrzowskiego pasa. Przeciwnik, chcąc uratować sytuację, musiał

przegrupować siły, co w przypadku zwycięstwa Matsu nad Sakazushima dałoby mu jeszcze może pięćdziesiąt procent szans na powstrzymanie naszej kontry. Przy wygranej Kano, Czarne musiałyby cofnąć się bezwarunkowo do obrony.

- A po twoim zwycięstwie...

- Mojej wygranej chyba nikt nie brał na serio.

- A jednak kilka osób wygrało niezłe sumy, stawiając na nikomu nieznanego Ryuichiego Kodę. - Buntaro z dumą pokazał szczęśliwy kupon.

- Postawiłeś na mnie? - udałem zdziwienie. Wiedziałem od jednego z asystentów, że kupon był fałszywką. Tak jak bujne włosy, z których sływał Yubbei.

- Ryzyko takich przedsięwzięć zawsze się opłaca. - Prezenter podał kupon na widownię, żeby wszyscy widzieli, jakiego ma nosa. - Ale, wracając do sytuacji na Szachownicy...

- Jak zapewne wiesz - zmieniłem nagle temat - cały urok i magia Che-do polegają na tym, że gra jest absolutnie nieprzewidywalna. Trzydzieści lat temu Kitaro Momoru, uważany za ojca tej dyscypliny, przedstawił jej założenia w telewizyjnym programie rozrywkowym, jako jeden z pomysłów na urozmaicenie podupadającego teleturnieju. Oczywiście jako całkowicie bezkrwawą zabawę. Kilku zapalonych szachistów kierowało zespołami zawodników walczących ze sobą na ringu podzielonym na pola szachowe. Gdy zgodnie z regułami szachowymi dochodziło do bicia, zawodnicy obu stron po prostu walczyli. Jediną odmianą było to, że atakujący nie odnosił automatycznego zwycięstwa. Wygrywał lepszy, co przydawało grze smaczku nieprzewidywalności. Okazało się, że pomysł chwycił, choć w nieco inny sposób, niż przewidywali producenci. W kampusach znanych uniwersytetów zaczęto organizować drużyny Che-do i małe rozgrywki. Wkrótce zarejestrowano na terenie Cesarstwa tysiąc dwieście klubów szkolących wojowników Szachownicy. Wtedy chyba tylko protektoraty Osutoraria nie zajęły się tą dyscypliną sportu na poważnie. Ale i to szybko naprawiono...

Na sali znów rozbrzmiały śmiechy, nieco cichsze niż poprzednio. Narodziny Che-do zbiegły się w czasie z rewoltami białej ludności w Shidoni i Kyanbera. Tam właśnie, podczas tłumienia powstań, zasady gry przybrały formę znaną dzisiaj z Ligi. Wielu studentów, wcielonych do armii, ćwiczyło ulubioną grę na więźniach. W samej tylko Aderuaida przez osiem miesięcy misji rozjemczej, w czasie nielegalnych, acz akceptowanych przez dowództwo partii, zabito bądź zraniono ponad sześć tysięcy mężczyzn. Straty własne były minimalne, wręcz żadne. Żołnierze rzadko brali udział w grze, przeważnie walczyli kierowani przez nich jeńcy.

Po podporządkowaniu całej Osutorarii Cesarstwu, armie wróciły do koszar, a wraz z nimi ci, którzy zakosztowali grę w Che-do na serio. Początkowo nie dostrzegano w tym problemu, traktowano krwawe gry i ich ofiary jak efekty przemijającej mody czy wręcz kwestie subkulturowe. Jednakże mijały lata, a zainteresowanie brutalną odmianą Che-do nie malało. Kilka największych korporacji wyczuło w tym interes i stworzyło zawodową ligę, w której obowiązywały na Szachownicy niemal takie same zasady, jak w obozach koncentracyjnych podczas okupacji Osutorarii. Zawodnicy wprawdzie rzadko ginęli podczas gry, ale rany odniósł chyba każdy, kto stanął do walki. A krew, prawdziwa krew, była magnesem dla holowidzów.

Finały pierwszej, jeszcze półoficjalnej Ligi Mistrzów oglądało z górami miliard widzów. Takiego interesu nie można było zmarnować. Szybko zorganizowano specjalne szkoły, w których ćwiczone dzieci biedoty na mięso armatnie dla Ligi. Gra stała się bardziej krwawa, widzów przybywało. Interes się rozkręcał i tak pomysł dawnego scenarzysty telewizyjnego stał się niemalże religią drugiej połowy dwudziestego pierwszego stulecia.

Każdy protektorat miał swoją reprezentację. Ligi kontynentalne wyłaniały arcymistrzów, którzy, sponsorowani przez wielkie korporacje, gromadzili najlepszych spośród najlepszych wojowników i tworzyli Międzykontynentalną Ligę Mistrzów. Jej zwycięzca był najpopularniejszym i najbardziej szanowanym człowiekiem na planecie.

Dosłownie i w przenośni. Po śmierci bezdzietnego cesarza Kyohito, o sukcesję po nim, z braku prawowitego potomka, walczyli wszyscy arcymistrzowie. Rada Pałacowa wydała wtedy edykt, wedle którego po śmierci Cesarza regenta, o losach jego następcy miał rozstrzygać rezultat rozgrywek Ligi. Nie było to takie głupie, jakby się wydawało. Za arcymistrzami stały ogromne korporacje faktycznie rządzące całymi kontynentami. I tak to właśnie spośród ich prezesów wybrano by następcę tronu, a widowiskowość ceremonii Che-do i szacunek, jakim otaczano boskich zwycięzców, dodawały tylko uroku całej zabawie.

W dziesiątą rocznicę powstania gry uroczyście ratyfikowano kodeks honorowy zawodników Ligi. Najlepsi zyskali przywileje równe szlacheckim. Gdziekolwiek stali się równi bogom. Niektórym ta boskość uderzała do głowy... O tym wszystkim jednak nie było mowy w programie, dzisiaj Che-do traktowano z tak wielką atencją, że negatywne opinie mogły ściągnąć na wypowiadającego je człowieka gniew tłumów. Wiedziałem o tym i nie zamierzałem drażnić lwa. Zwłaszcza podczas wizyty w jego jaskini.

- Byłem przygotowany - ciągnąłem - na poświęcenie swojej osoby dla zwycięstwa mojego pana. Los jednak chciał inaczej. Początkowo przerażenie odebrało mi zdolność reakcji, ale w krytycznym momencie...

- Musicie to zobaczyć! - Buntaro znów wskoczył na środek sceny.

Tym razem przebieg mojego starcia obserwowałem z boku.

- To było fantastyczne! - Rozgorączkowany prezenter usiadł w fotelu i poprawił zmierzwione włosy. - W zeszłym tygodniu gościł w moim programie sam Kunihiko Matsuda, zwycięzca trzystu dwunastu walk z rządu w dwustu jeden partiach. Największy mistrz Che-do pierwszych dwudziestu lat. Wiesz, co o tobie powiedział?

Pokręciłem głową.

- Sensei Matsuda stwierdził, że tak szybkiej reakcji nie widział u żadnego z wojowników. Mówił, iż słyszał, że można już wykonać warunkowanie bioniczne...

Roześmiałem się, cóż innego mogłem zrobić.

- Wiesz, ile kosztuje takie warunkowanie? - zapytałem. - Poza tym to

cholernie niebezpieczna operacja, nie słyszałem o człowieku, który przeżyłby dłużej niż dwa lata po zabiegu.

- Fakt - przytaknął Buntaro. - Zrobiliśmy mały wywiad w klinikach BioSystemu. Nie mieli cię na listach pacjentów. A nikt prócz nich na świecie nie potrafi warunkować.

Nawet nie wiesz, pajacu, jak się mylisz, pomyślałem, ale nie mogłem powiedzieć tego głośno.

- Uwierz mi, Yubbei - musiał usłyszeć to, czego chciał, czego pragnęła widowia - że nawet gdyby to była taniocha, nie poszedłbym na to. Dwa lata na szczycie nie zrekompensują utraty życia. Przecież w Chedo, jak i w każdym sporcie walki, najpiękniejsze jest to, że możemy delektować się naszymi sukcesami i szacunkiem, jakim nas otaczają ludzie. Waru nie są warci nawet splunięcia. Dobrze się stało, że nie dopuszczono ich do rozgrywek Ligi. Niech walczą tam, gdzie ich miejsce, na śmietnikach historii.

Widzowie bili mi brawo na stojąco, wiedziałem jednak, że co najmniej połowa z nich abonowała kanały holo transmitujące nielegalne partie z udziałem Warukashi. Sam oglądałem kilka takich rzeźni. Z czystej ciekawości, żeby zorientować się, czy zabiegi, jakie przeprowadzono na mnie, nie odbiegały od normy klinik cesarskich. Byłem wolniejszy od Waru. Niewiele, naprawdę niewiele, ale dzięki temu nie musiałem obawiać się powolnego konania po góra dwudziestu miesiącach od zabiegu, jak ci nieszczęśnicy. Z drugiej strony, każdy z nich przez pięćset dni z okładem był bogiem wojny. Nie miał równych sobie wśród normalnych ludzi, potrafił zabić, zanim przeciwnik zauważył uderzenie. Z punktu widzenia piękna walki, nie było niczego doskonalszego niż starcie dwóch Waru. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że w miarę upływu czasu i doskonalenia technik warunkowania, kolejne pokolenia wojowników Warukashi będą wypierać normalnych ludzi z Szachownicy.

- Powiedz, jak... - zapytał tymczasem Buntaro - jak zdołałeś pokonać tak dobrego szermierza, jakim był Kagero Sakazushima?

- To proste, miałem dużo szczęścia. Chciałem zaatakować pierwszy.

Gdy ruszyłem, on też zainicjował atak. Miał pecha, że byłem o ułamki sekundy szybszy. Ponadto zastosowałem technikę, która nie jest popularna wśród wojowników.

- Fakt. Krytykowano cię za to. Nawet w Radzie Ligi.

- W takich chwilach nie myślisz, nie masz czasu na myśli. Zrobiłem to odruchowo.

- Rozumiem, dzisiaj, gdy opadły emocje, patrzymy na to inaczej. W końcu po raz pierwszy Pion pokonał Gońca.

- To druga strona medalu, aczkolwiek napomnienie ze strony mojego pana było dla mnie największą karą. Jeśli... - poprawiłem się zaraz - kiedy wrócę na Szachownicę, postaram się nie popełnić już podobnego błędu.

- A propos powrotu... - Buntaro wstał i skinął w kierunku kulis.

Najwyraźniej szykował jakąś niespodziankę. Spojrzałem na wychodzącą zza parawanu dziewczynę. Niosła poduszkę, na której leżały miecze. Kompletne dai-sho. Przeniósłem wzrok na promieniejącego Yubbei.

- Wiesz, co to znaczy? - zapytał.

- Nie.

- Wracając na Szachownicę nie będziesz już Pionem!

Poderwałem się, teraz naprawdę mnie zaskoczył, drugi raz zresztą podczas programu. Najpierw ta historia z Kunihiko Matsudą, a teraz awans na wizji. Domyślałem się, że zyskam po powrocie pozycję Gońca, gdyż w czasie mojej nieobecności straciliśmy trzech wojowników na tej pozycji, ale nie sądziłem, że odbędzie się to w takich okolicznościach.

Dziewczyna podeszła do mnie i skłoniła się z szacunkiem, podnosząc poduszkę ponad głowę. Yubbei odsunął się na bok. Sięgnąłem najpierw po tanto i wakizashi, wsunąłem je za pas, jak nakazywała tradycja, na końcu zabrałem najdłuższy miecz. Powędrował na prawy bok, za obi. Potarłem palce i ująłem szorstką tsuki, wyczuwając pod opuszkami sploty materiału i delikatne wybrzuszenia, w których mekugi łączyły ją z chwytową częścią klingi. Oparłem kciuk o tsubę, ozdobioną wijącym się smokiem oplatającym symbole czterech żywiołów, i poczułem pod

opuszką lekkie wgniecenie, widomy znak, że wiele razy palec napierał na to miejsce.

- Koto? - zapytałem prezentera. Skinął głową, zatem miałem w ręku co najmniej pięćsetletni miecz. Jeden z niewielu, jakie pozostały w użyciu. Słyszałem o sześciu egzemplarzach używanych w Lidze.

- To wielki zaszczyt dla mnie. - Skłoniłem się z szacunkiem Yubbei, po czym płynnym ruchem wyjąłem ostrze z pochwy. Lśniło, ale widziałem dokładnie rysujące się na nim linie, tworzące nieregularne kształty.

- To ostrze zanurzone w wodzie górskiego potoku może odciąć szypułkę kwiatu lotosu, spływającego swobodnie z jego nurtem - powiedział prezenter. - To trzecia klinga Musamaru Yoshi.

- Powinno przeciąć człowieka od obojczyka do pachwiny bez problemu. - Odwróciłem się do niego. Zbladł, ale uśmiezek nie zniknął z jego twarzy. - Katana wydobytą ze schronienia musi zakosztować krwi...

Przełknął ślinę na tyle wyraźnie, że szybujące nad naszymi głowami kamery musiały to zauważyć. Wyjąłem z kieszeni jedwabną chusteczkę i odwróciłem klingę ostrzem do góry. Szybki ruch kciuka zostawił na metalu czerwone pasemko, które natychmiast starłem chustką. Buntaro odzyskał mowę, ledwie ostrze spoczęło na swoim miejscu.

- Od dzisiaj Ryuichi Koda jest drugim lewym Gońcem klanu Ota! - obwieścił z triumfem widowni, która wręcz oszalała.

- Ale czym zasłużyłem na tak cenny dai-sho? - zapytałem, gdy wiwaty i śpiewy nieco ucichły.

- Zabiłeś poprzedniego właściciela - odparł spokojnie.

Isu nie docenił w pełni tego daru. Patrzył obojętnie, jak ćwiczę w piwnicy kolejne pozycje, bloki i cięcia. Ostatnio zrobił się naprawdę osowiały. Nie dziwiłem mu się specjalnie. Trzy miesiące bezczynności zaowocowały odleżynami, których jednak nie mógł czuć, automed szpikował go środkami znieczulającymi i wzmacniającymi przy każdej okazji. To raczej bezruch i osamotnienie zrobili swoje. A może poczucie

beznadziejności...

- Nie martw się - powiedziałem do niego, kończąc trening - to już nie potrwa długo, najwyżej dwa tygodnie. Jutro mam pierwszą partię po przerwie, a potem wielki finał. Będziesz wolny.

- Raczej martwy - mruknął cicho, ale usłyszałem.

- Śmierć też jest formą wolności. - Naciąłem lekko skórę na jego rękę przed schowaniem miecza; chyba nawet tego nie poczuł.

- Wolności... - powtórzył i zamknął oczy.

Odwrociłem się, by wyjść, ale ciche westchnienie sprawiło, że spojrzałem raz jeszcze na leżącego więźnia.

- Obiecałeś, że powiesz... - wyszeptał.

- Słucham?

- Obiecałeś, że powiesz mi, dlaczego...

- Przecież powiedziałem, już pierwszego dnia...

- Nic nie pamiętam. - W jego oczach pojawiły się łzy. - Nic nie pamiętam, a nie chcę odejść, nie wiedząc nawet za co umieram...

Podszedłem do leżanki, ostry zapach środków dezynfekcyjnych mieszał się z przeraźliwym smrodem gnijącego w ranach ciała.

- Powiem ci jeszcze raz. Jak przyjdzie czas...

- Obiecujesz?

Skinąłem głową.

- Tak. Masz moje słowo...

Zamknął oczy, a mechaniczny lekarz natychmiast przystąpił do kolejnych czynności reanimacyjnych. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła osiemnasta, zostało zaledwie pół godziny na umycie się i ubranie. Dzisiaj miałem kolejny wielki dzień, pan Ota zaprosił mnie i kilku kluczowych zawodników na kolację. To naprawdę wielkie wyróżnienie. Jednakże i sytuacja była wyjątkowa. Po ostatniej partii mój zmiennik na pozycji lewoskrzydłowego Gońca zginął w zamachu bombowym. Świątował poprzednie zwycięstwo w domu schadzek. Miał pecha, wybrał nie ten dom, co trzeba. Chociaż, z drugiej strony, cokolwiek by wybrał tego dnia, i tak by zginął. Nie mogłem dopuścić do sytuacji, w której ktoś inny wystąpiłby w finale.

Pan Ota dbał o swoich najlepszych zawodników, o czym mogłem się dzisiaj dobitnie przekonać. Zaproszenie otworzyło przede mną drzwi najdroższego klubu nocnego w Asakusa. Z dała od zgiełku centrów turystycznych i rozrywkowych, opodal ruin świątyni mieścił się niepozorny jednopiętrowy dom, ukryty w głębi stylizowanego ogrodu.

Limuzyna zatrzymała się w wąskiej uliczce, z której przez wysokie na cztery metry torii wszedłem w alejkę prowadzącą wzdłuż stawu na łukowaty mostek. Dopiero przed nim zauważyłem ochroniarzy. Chociaż już się zmierzchało, nadal mieli na oczach lekko opalizujące okulary filtracyjne. Obszukali mnie sprawnie, bez nachalności, i odebrali kartonik z zaproszeniem. Przywołany z głębi ogrodu kelner zaprowadził mnie do wnętrza domu.

- Spóźniłeś się, Koda! - powitał mnie radosny okrzyk. Przy długim stole zobaczyłem siódmkę moich towarzyszy. - Całe czterdzieści sekund!

Jak na Szachownicy, tak i tutaj, po bokach siedzieli masywni Fukuyama i Kanjiro, nasze Wieże. Nieco bliżej centrum - Kiokai i jego brat bliźniak Amaru, najlepsi jeźdźcy klanu. Obok Amaru było wolne miejsce, moje miejsce. Pokłoniłem się zawodnikom i spocząłem obok pani Sakura, jedynej córki pana Ota, która miała być naszą Królową podczas finału. Yamada-san etatowo robił za Króla, a „Bezuchy” Kano zasiadał po jego lewicy.

- Za najlepszy zespół Ligi! - Najstarszy wiekiem i rangą podniósł czarękę sake. Wychyliłmy pierwszą miarkę duszkiem, gorący alkohol miło rozgrzewał wnętrza.

- Za zwycięstwo! - podjęła toast pani Sakura.

- Za zwycięstwo! - Wszyscy wierzyliśmy, że wygramy.

Ledwie odstawiłem czarękę, wniesiono cztery dziewczęta i ułożono je na stole. Spojrzałem na seniora, mierzył wzrokiem wszystkie, wreszcie, gdy z aprobatą skinął głową, rozpoczęła się uczta. Byłem głodny, sięgnąłem na brzuch leżącej przede mną szczupłej nastolatki i wybrałem okazały

kawałek marynowanego mięsa, owinięty w liście wodorostów i prażone płatki chryzantem. Po chwili wahania dodałem do tego odrobinę pasty imbirowej, jaką wysmarowano pierś dziewczyny. Gdy zbierałem palcem lepka, wilgotną papkę, poczułem jak brązowy sutek sztywnieje. Rzuciłem szybkie spojrzenie na jej twarz, ale nie dostrzegłem żadnego ruchu, mimo młodego wieku była doskonale wyszkolona. Zresztą, w tak renomowanym klubie nie mogło być miejsca dla amatorów.

Jedzenie było godne ceny, jaką musiał zapłacić nasz mentor. Z tego, co wcześniej mówił Amaru, na tydzień przed finałem najlepszą ósemkę zawsze zapraszano na kolację i noc w „Ustroniu pani Kiko”. To był zaledwie wstęp do przyszłych zaszczytów, jakie czekały na zwycięzców Ligi. Wzorem starożytnej Hellady, mistrzowie zyskiwali na okres jednego miesiąca księżycowego status nietykalności. Mogli wejść wszędzie i zrobić wszystko, popełnić najpotworniejszą zbrodnię, jeżeli oczywiście nie godziła w klasę średnią lub wyższą, korporacje, Imperium i Cesarza. Dzisiaj przy tym stole słyszałem, jakie plany mieli moi kompani na ów miesiąc bezkarności. Przeważnie chodziło o korzystanie bez umiaru z miejsc podobnych do tego, w którym właśnie świętowaliśmy. Wszystkich jednakże zaskoczył Kano, oznajmiając, że jego marzeniem jest zabicie na wizji Buntaro Yubbei. Specjalnie mu się nie dziwiłem, z powodu odrażającego kalectwa rzadko pojawiał się nawet na wspólnych zdjęciach dla gazet, a do studiów holo praktycznie miał zakaz wstępu. Rzadko zdarzało się, żeby człowiek pocięty mieczami, pozbawiony prawie połowy twarzy, przeżył i nadal występował na Szachownicy. Przykład Kano pokazywał jednak, że jest to możliwe. Wypiliśmy za realizację jego marzeń, Yubbei nie był naszym idolem, w przeciwieństwie do milionów widzów.

Jedzenie podane na dziewczynach szybko się skończyło. To były tylko przystawki, a wieczór dopiero się zaczynał. Na skinienie pani Kiko oczyszczono stoły. Ku mojemu zdziwieniu nie podano jednak następnych potraw. Zauważyłem, że i inni się dziwili, tylko pani Sakura pozostała spokojna. Ciche brzęczenie osobistego pola energetycznego i zapach ozonu uświadomiły nam, kto nadchodzi.

Wszyscy natychmiast poderwali się i przypadli do podłogi, tam gdzie kto mógł. Pan Ota stanął w progu, po czym gestem wyprosił całą służbę i kierującą nią gejszę.

- Pozdrawiamy cię, sensei Ota - powiedział Yamada-san w imieniu wszystkich zebranych.

- I ja was pozdrawiam - odparł nasz mentor i mistrz. - Wstańcie, musimy się przejść.

Osobista wizyta i kontakt z zawodnikami przed finałem były czymś niezwykłym, zwłaszcza w wykonaniu człowieka tak zasadniczego, jak Takashigami Ota.

Wyprowadzono nas do ogrodu, na niewielką wysepkę usypaną z kamieni. Tylko jeden wąski pomost prowadził do tego odludnego miejsca, w którym od siedmiu setek lat spotykały się ważne osobistości na poufnych rozmowach. Ochroniarze pana Ota sprawdzili każdą piędź ziemi dziesięć razy, zanim dotarliśmy na miejsce. Nikt prócz nas nie miał prawa usłyszeć tego, co miał do powiedzenia arcymistrz Ligi.

- Zastanawiacie się z pewnością wszyscy - pan Ota stanął pośrodku kręgu, w którym uklękliśmy - dlaczego pojawiłem się między wami, łamiąc tradycję klanu...

Nikt nie odpowiedział, jedynie lekkie skinienia głów świadczyły, że zawodnicy dosłyszeli słowa swojego mistrza.

- Najbliższa partia będzie partią ze wszech miar niezwykłą - ciągnął pan Ota, przechodząc na brzeg stawu z założonymi za plecy rękoma. - To, co usłyszycie za chwilę, jest absolutną tajemnicą i pod groźbą śmierci waszej i waszych rodzin do dziesiątego stopnia pokrewieństwa musi tajemnicą pozostać.

Popatrzył na nasze twarze, zanim zaczął mówić dalej:

- Nasz ukochany Cesarz umiera... - Te słowa poraziły siedzących jak grom z jasnego nieba, pani Sakura zbladła. - Boski Hakubei umiera, a właściwie umarł. Gdyby nie automedy, przestałby oddychać już wczoraj. Wiecie, co to znaczy?

Wiedzieliśmy. Odejście Cesarza otwierało drogę na tron pretendentowi, a tym miał być, wedle nowej ordynacji ustalonej przez Radę Pałacową, zwycięzca Ligi Mistrzów. Ogłoszone kilka lat wcześniej rozporządzenie przenosiło na największego z mistrzów prawa do tronu i absolutną władzę nad całym globalnym Imperium. Tym mistrzem miał zostać pan Ota spoglądający teraz na spokojną wodę stawu.

- Przyszedłem - powiedział po chwili milczenia - by uświadomić wam, o jaką stawkę będę grał za tydzień, i zapewnić, że każde poświęcenie zostanie odpowiednio docenione. Kto zginie, broniąc mojego honoru w tej partii, może być pewien, że jego rodzina pławić się będzie w luksusach po wieki. Kto zawiedzie, ten pożałuje gorzko, a wraz z nim cały jego ród. Macie się nie cofać przed niczym. Dać z siebie wszystko, jeśli nie dla mnie, to dla swoich rodzin. Zwycięstwo musi być nasze.

- Zwycięstwo będzie nasze! - podchwyciliśmy, składając pokłon mistrzowi.

- Wiem. - Odwrócił się do nas. - W pałacu też to wiedzą. Mój przeciwnik, ta europejska półkrwi miernota, nie ma prawa do tronu. Fakt, że doszedł tak daleko w rozgrywkach, to tylko przypadek. W ćwierćfinale miał przeciw sobie rezerwową skład Mitsui, a półfinał był żaloszny...

Oglądałem te partie, faktycznie, drużyna sensei Nowaki miała w drodze do finału wiele szczęścia. Katastrofa samolotu z pierwszą drużyną Mitsui okryła kraj żałobą na długie tygodnie, a rezerwowi zespół nie sprostał zadaniu powstrzymania gaijinów. Z kolei Hoshigami-san był wytrawnym graczem starej szkoły, ale tego dnia miał po prostu pecha. Kontuzjowani w wyjątkowo krwawych ćwierćfinałach zawodnicy nie osiągnęli jeszcze pełnej formy, więc wystawił drużynę mieszaną, lekceważąc nikomu nieznanego przeciwnika. I to go zgubiło.

- Słyszałem, że Nowaka poprzysiągł odebrać sobie życie, jeśli przegra tę partię - powiedział Yamada-san, nie podnosząc wzroku.

- Wiem - odparł spokojnie pan Ota. - Ja też złożyłem taką przysięgę.

- Ojczy! - krzyknęła przerażona pani Sakura.

- Zamilcz! - Ostry ton głosu mistrza osadził córkę na miejscu. -

Dyshonorem byłoby nie złożyć przysięgi, gdy nawet taki robak to czyni. On zginie, ja będę Cesarzem. Nikt nie pokona moich najlepszych ludzi.

- Nikt! - odpowiedzieliśmy chórem.

- Bawcie się dalej. - Pan Ota ruszył na pomost, ale zatrzymał się po kilku krokach. -Koda! - przywołał mnie.

Podbiegłem i ukląknęłam tak blisko niego, że niemal dotknąłem jego pola ochronnego. Zapach spalonych włosów uniósł się nad wodą.

- Tak, mistrzu?

- Kiedyś powiedziałem, że jeśli choć raz jeszcze użyjesz tych prostackich technik, to wyrzucę cię z zespołu.

- Tak, sensei.

- Wyraziłem się nieprecyzyjnie. Jeśli kiedykolwiek użyjesz tych technik przeciw Japończykom, stracisz wszystko. Przeciw tym psom możesz robić, co zechcesz.

- Tak, mistrzu.

Odszedł, nic więcej nie mówiąc, a ja wstałem i patrzyłem, jak otaczająca go poświata przesuwana się pomiędzy zaroślami i niknie w oddali.

- A niech to szlag! - Amaru otrzepał kolana z pyłu. - Będziemy walczyć o Cesarstwo.

- To trzeba opić - dodał Fukuyama. I zrobiliśmy, jak radził.

Wyjście na arenę to chyba najprzyjemniejsza chwila partii. Runda honorowa po zwycięstwie nie jest już tak radosna. Rany i zmęczenie dają się we znaki do tego stopnia, że nic nie cieszy. Wstępowaliśmy jak zawsze w krąg światła, witani rykiem tłumów. Kopuła Tokyoramy, największa tego typu budowla na świecie, mogła pomieścić z górą czterysta tysięcy widzów. Gdzieś tam, wysoko nad naszymi głowami, za wewnętrzną kopułą, siedziały w mroku dziesiątki, setki tysięcy najbardziej zagorzałych fanów Che-do. To dla nich tak naprawdę pozwalaliśmy się kaleczyć i zabijać. Dla nich, a dopiero potem dla honoru klanu.

Spikerzy odczytywali kolejne nazwiska, przedstawiając najpierw przeciwników, potem naszą drużynę. Wszedłem na pole pomiędzy panią Sakura i Amaru. Przed nami stanął rząd Pionów. Zgodnie z regulaminem byli to adepci szkół klanowych trzeciego stopnia. Najlepsi z najlepszych. Mięso armatnie marzące o sławie. Wielu z nich nie doczeka jutra, nie wiedząc nawet, o jaką stawkę toczy się gra.

Byłem spokojny, znałem tę stawkę, znałem ją bardzo dokładnie. Czekałem zatem na sygnał rozpoczynający grę, wiedząc, że rozstrzygnięcie tej partii zaważy na losach wielu ludzi, może nawet świata.

Zaczął się od tradycyjnego debiutu Kabukashi-Nagoi. Nowaka nie ryzykował, po pierwszych posunięciach wiedzieliśmy, że walka będzie zacięta. Dwa starcia i dwaj zabici. Po jednym z każdej strony. Ci, którzy przeżyli, nie mieli się najlepiej i padli w następnej kolejce. Przyszedł czas na konkretniejsze ruchy.

- Koda, przygotuj się - usłyszałem w słuchawce głos asystenta pana Ota, który przekazywał nam interkomem wszystkie polecenia mistrza. - W następnej kolejce przejdiesz na E5, musisz wyeliminować tego rudego drągała z nosem jak wrzód. - Zaśmiał się ze swojego żartu.

- Tak jest, sensei.

- Spokojnie, teraz czas na Fukuyamę.

Nasz klanowy olbrzym ruszył na Pi ona przeciwników, by zająć pozycję odciążającą środek pola. Zagrożony Nowaka musiał przypuścić na niego szturm kolejnymi figurami, jeśli nie chciał szybkiego szacha. Genialna strategia, choć ryzykowna. Fukuyama był potężnym wojownikiem, wytrzymałym, odpornym na ból, ale jak sam się po cichu przyznawał, przetrenował lewe kolano, co przy jego wadze powoli stawało się problemem.

Pion przeciwnika czekał spokojnie. Uzbrojony w trój członowe nunchaku Fukuyama podszedł do niego i nie tracąc czasu na rytualny ukłon, co zapewne w walce z rasowo czystym przeciwnikiem spotkałoby się z ostrą reprimendą sędziów, rozpoczął pojedynek. Człowiek w czarnym kimonie, o włosach żółtych jak szafran, odskoczył przed

pierwszym zamachem i nagle dał nura pod kolejnym okutym kijem. Przeturlał się w bok i wyprostował jak struna. Uderzony obiema nogami w kolano Fuku zatoczył się, wypuszczając broń z rąk. Przeciwnik zerwał się i ruszył na wyraźnie utykającego olbrzyma. To była egzekucja. Kolejne kopnięcie w głowę wyprostowało rannego, następne, mierzone w rzepkę, zerwało ścięgna i strzaskało kość. Fukuyama padł jak wieża, którą symbolizował - powoli i z głośnym hukiem.

- Leż! - krzyknąłem, widząc, że oszalały z bólu zaczyna podciągać się do pozycji siedzącej. - Baka! Nie wstawaj! - Ale albo mnie nie słyszał, albo nie chciał przeżyć tej walki. Pion podszedł do niego i bez emocji, jednym ruchem, skręcił kark najmocniejszemu człowiekowi w naszej drużynie.

Zaczynaliśmy przegrywać w najpaskudniejszym stylu.

- Czy polecenie E5 jest aktualne? - zapytałem.

Odpowiedział mi wyraźnie zirytowany głos Shimizu, drugiego asystenta mistrza. Miałem czekać. Widocznie tam na górze trwały teraz gorączkowe narady. Nikt nigdy nie widział mistrzów podczas gry, ale sądziłem, że tak właśnie postępują, konsultując swoje plany z analitykami, którymi byli otoczeni.

Tymczasem sędzia ogłosił zakończenie walki i wygraną Czarnych w tym ruchu. Sanitariusze zabrali ciało Fukuyamy, a jego pogromca zatrzymał broń pokonanego - zgodnie z nowym przepisem, wprowadzonym dosłownie przed kilkoma tygodniami. Podobno miał coś wspólnego z moim przypadkiem.

Czarni wykorzystali wyłom w naszej obronie i skierowali tam Gońca. Facet był piekielnie szybki. Na filmach z poprzednich partii, które oglądaliśmy do znudzenia, analizując styl walki każdego z ważniejszych przeciwników, nie było go, widocznie Nowaka trzymał swojego asa w głębokiej rezerwie.

W każdym razie Goniec wyeliminował naszego Piona bez większego wysiłku, jednym czystym cięciem odcinając mu głowę.

Sędzia, ogłaszając walkę, wyrecytował osiągnięcia obu zawodników, ale nie skupiłem się na tym i teraz trochę żałowałem. W każdym razie

człowiek o czarnych jak smoła oczach zaczął budzić we mnie respekt. Amaru też kiwał głową z niedowierzaniem, straciliśmy dwóch ludzi z rzędu. W tym Wieżę.

- Koda - zatrzeszczało w implancie - zmiana planu. Zostajesz na miejscu. Obserwuj tego szermierza. Będzie twój, jeśli spróbuje uderzyć z tej strony na pozycję Królowej.

- Zrozumiałem. - Odprężyłem się na chwilę, przynajmniej w tej fazie rozgrywki nie musiałem niepotrzebnie ryzykować.

Amaru wyszedł na przedpole, odcinając nas od przygotowywanego ataku pozycyjnego, potem przeciwnik zareagował na ten ruch, tracąc w efekcie jednego Piona. Ale i Kiokai nie wyszedł z tej walki bez szwanku. Jedno z uderzeń dotarło do jego głowy i musiał skorzystać z pomocy sanitariusza, by opatrzyć rozbity łuk brwiowy. Prawa strona twarzy całkiem mu opuchła, a oko ledwie było widać przez wąską szparkę.

- Co tu się dzieje? - zapytała pani Sakura, gdy umilkli spikerzy. - Co to za diabły wcielone? Pion bije Wieżę, drugi rani Gońca...

Rzeczywiście, rzadko zdarzało się, by Pion pokonał figurę, czego byłem najlepszym przykładem. Dzisiaj partia jeszcze na dobre się nie rozpoczęła, a już zanotowano dwa przypadki podobnej klasy. Dla ludzi na widowni, dla doradców w kapsule mistrza, nawet dla zawodników mojej drużyny stanowiło to zagadkę. Ale nie dla mnie. Wiedza, szczegółowa wiedza o przeciwniku, to klucz do sukcesu, a nasz przeciwnik miał taką wiedzę, najdokładniejsze dane, jakie tylko można zdobyć. Co więcej, mając czas i sposobność, najlepsi wojownicy z dystryktu Porando ćwiczyli w spokoju te elementy walki, które były dla określonych przeciwników najbardziej niewygodne. To właśnie dlatego po przeciwnej stronie Szachownicy pojawiło się tak dużo nowych twarzy.

Nie odpowiedziałem pani Sakura, nie widziałem zresztą powodu, dla którego miałem jej cokolwiek mówić. Tylko ja wiedziałem tak naprawdę, o co toczy się ta walka. Wiedziałem też, kto ją wygra, dlatego mogłem spokojnie obserwować jej przebieg.

Traciliśmy człowieka za człowiekiem, choć właściwsze byłoby

określenie: Piona za Pionem. Trzeba przyznać, że ludzie klanu Ota nie oddawali skóry darmo. Amaru pokonał szybkiego szermierza, ale za jaką cenę. Stracił dłoń i otrzymał fatalne pchnięcie w brzuch. Zniesiono go z Szachownicy, wciąż przytomnego, z okrwawioną klingą wystającą z pleców. Nawet wtedy wykrzykiwał hasła zagrzewające nas do walki. Pięć minut później tą samą drogą odszedł jego brat. Tyle że w milczeniu. Martwi zazwyczaj niewiele mówią... Z jednym sprawnym okiem nie dał rady powstrzymać kalkulowanego na chłodno ataku Wieży. Na tym etapie gry pozostały nam tylko dwa Piony, przeciwnik miał niewielką przewagę, po jego stronie stały jeszcze trzy. Z figurami było nieco gorzej, ocaliliśmy z tej rzezi jedną Wieżę i dwóch Gońców.

„Bezuchy” walczył jak zjawa, odparł trzy ataki na swoją pozycję, zabijając Piona, Konia, i raniąc poważnie kolejnego Piona Czarnych. Wyrastał na bohatera finału. Podziwiałem go, gdyż mimo kalectwa potrafił się podnieść z niebytu - jako jedyny chyba zawodnik Ligi wrócił na Szachownicę po przegranej. Traktowany jak trędowaty, pomijany przy świętowaniu, nigdy nie okazał złości ani smutku. Trwał zamknięty w sobie. Żył tylko po to, by walczyć, i robił to perfekcyjnie. Niestety, jak wszyscy miał słaby punkt. Odkryłem go przypadkiem, po wielu miesiącach wspólnych ćwiczeń. Szermierz Kano uwielbiał jedno specjalne cięcie, które stosował bardzo rzadko, w krytycznych sytuacjach. Zauważyłem to i przetestowałem kilkakrotnie podczas sparringów. Zbliżający się teraz do niego Goniec Czarnych wiedział, jakie to cięcie...

Stanęli naprzeciw siebie z rękoma opartymi na głowniach, wyciągnęli broń jak na komendę, stając w jakże różnych pozycjach wyjściowych. „Bezuchy” uniósł miecz na wysokość oczu, z klingą skierowaną ku przeciwnikowi, ostrzem do góry, tamten stanął w klasycznej pozycji szermierczej, pewnie trzymając ozdobną ciężką szablę. To było odstępstwo od zasad Che-do, ale nie na tyle wielkie, by go zdyskwalifikowano. Czasami zawodnicy z odległych zakątków globu korzystali z broni białej znanej ich przodkom, jednakże nigdy nie okazała się ona lepsza od samurajskich mieczy.

Kano zaatakował z góry, klasycznym wypadem, który był łatwy do sparowania, ale krył w sobie pułapkę.

Broniący, zazwyczaj praworęczny wojownik, wykonywał blok na lewo, odstawiając się, na co Kano liczył, tnąc z obrotu od dołu, jednym płynnym ruchem przechodząc z pierwszego ataku do kolejnego i wykorzystując energię bloku przeciwnika do swoich celów. Problem rodził się w chwili, gdy blok przeciwnika szedł na prawo. Drugi atak nie mógł wtedy sięgnąć celu, a pęd, z jakim był wykonywany, uniemożliwiał praktycznie opanowanie ostrza w czasie pozwalającym na własną obronę.

Walczyli na wprost mnie, widziałem, jak srebrzyste ostrze rozcina jedwab i wyłania się z pleców Kano, widziałem, jak kaleki wojownik zastyga, jak wypuszcza broń i zsuwa się po lśniącej szkarłatem klinkdze. Nie żył, zanim upadł na pokrytą syntetykiem podłogę hali. Czarny Goniec podniósł jego miecz i po obejrzeniu rzucił w geście pogardy na ciało. Pomruk z góry świadczył dobitnie, że jego gest odczytano w sposób właściwy. Gracz z antypodów miał broń znacznie bardziej toporną od doskonałego ostrza, które wyszło spod ręki Murasame. A mimo to wygrał...

Zostaliśmy w czwórkę, Pionów nie liczyłem, i tak były przeznaczone tylko do opóźnienia tego, co nieuniknione. Po trzech kolejnych ruchach okazało się jednak, że byli twardsi, niż sądziłem. Przeciwnik stracił swoje trzy Piony, pozostały mu już tylko figury, ale i tak miał miazdzącą przewagę, co uświadomiły nam dwa kolejne posunięcia. Wieża i Goniec Czarnych oczyściły przedpole.

Zbliżał się finał. Porandojin mieli nad nami dwukrotną przewagę i zamierzali to wykorzystać. Pojedynek Wież stanowił przygrywkę. Od losu tego starcia zależało wiele, przede wszystkim na psychologicznej płaszczyźnie rozgrywki. Wygrana Kanjiro motywowałaby nas do walki, pięciu na trzech nie było jeszcze tak tragicznym bilansem, zważywszy klasę wojowników. Bywało, że roztropna taktyka i poświęcenie ratowały arcymistrzów z większych opresji. Niemniej przegrana Białej Wieży oznaczałaby poważny problem. I stanęliśmy wobec takiego problemu...

Kanjiro z naginatą był straszliwym wojownikiem. Pamiętałem doskonale, jak wiele razy tłukł nas w dojo, niejednokrotnie upokarzając początkujących Chedoka. Mało kto mógł stawić mu czoło, tak też było i teraz. Ryk tłumów dodał mu skrzydeł. Zaatakował z furją, raz, drugi, trzeci, bez zbytecznych ozdobników, krótkimi pchnięciami i cięciami. Nie zadał rany, ale powalił przeciwnika na matę. Tak, jak zaplanowaliśmy. Dumny Kanjiro, widząc leżącego, zrobił to, co przewidziałem. Uniósł ręce w geście zwycięstwa i zatoczył młynka ciężką halabardą, by efektownie dobić ofiarę. Jego radość była jednak przedwczesna, leżący na ziemi zawodnik nie wypuścił swojej włóczni z ręki i teraz ciął jej cienkim ostrzem po odsłoniętych nogach. Naginata jak żywa wyrwała się z rąk oszołomionego Kanjiro i poszybowała ku stojącym na sąsiednich polach Czarnym. Nikt się nie uchylił. Zanim zakrzywione ostrze raniło w locie rękę Gońca, pojedynek dobiegł końca.

Jednakże to nie utrata Wieży była w tej sytuacji najgorsza. Raniono zawodnika niebiorącego udziału w starciu. To zasługiwało na karę, którą było prócz zastąpienia rannego innym Chedoka, przywrócenie do gry dodatkowego Piona bądź figury z wyłączeniem Króla i Hetmana, z czego Nowaka skwapliwie skorzystał, wprowadzając na Szachownicę świeżego Konia i Gońca jako zadośćuczynienie przewinienia. Pan Ota nawet nie protestował, zasady rządzące Che-do były sprawiedliwe i proste.

Sytuacja stawała się ciekawa, bardzo ciekawa. W jednym momencie z przewagi kontrolowanej zrobiła się przewaga miażdżąca. Dodatkowy zawodnik w zasadzie przesądził o wyniku tej partii. Nie byłem w stanie, nawet z panią Sakura, osłonić Króla przed kolejnymi atakami Czarnych. W normalnej sytuacji arcy mistrz poddałby partię, ale dzisiaj sytuacja wcale nie była normalna.

- Koda - usłyszałem w implancie głos trenera. - Ota-san rozważa poddanie partii. Zostałeś już tylko ty. Nie dasz rady...

- Jest jeszcze pani Sakura - zaprotestowałem na tyle głośno, żeby usłyszała.

Nie zawiodłem się, odwróciła nieco głowę, słysząc swoje imię.

- Oszalałeś! - Sensei Oyagi krzyknął tak głośno, że omal nie ogłuchłem. - Pani Sakura to jedyne dziecko arcymistrza, pojawiła się na szachownicy, żeby dodać splendoru temu zwycięstwu swoim nazwiskiem. Nie możemy pozwolić, by zginęła.

- Rozumiem, nie możemy pozwolić, żeby zginęła! - odkrzyknąłem głośniejszym głosem; na szczęście spiker, zapowiadający następny ruch, dał mi sposobność mimowolnego, acz dokładnego poinformowania kobiety, o czym mówimy.

Zauważyłem, że sięga do implantu i coś mówi. Nie słyszałem słów, ale doskonale zdawałem sobie sprawę, co oznaczają. Tak jak sztylet, który pojawił się w jej dłoni. Obserwowałem ją kątem oka, udając, że skupiam uwagę na ruchu wykonywanym przez przeciwnika. Nowaka nie atakował od razu, rozstawiał swoje siły tak, by osaczyć Yamadę i upokorzyć nas matem.

W implancie coś zagrzytało. Usłyszałem stłumione krzyki, jakies trudne do sprecyzowania dźwięki. Wreszcie dotarł do mnie czysty głos. Poznałem go od razu.

- Słyszysz mnie, Koda? - zapytał pan Ota.

- Tak, mistrzu - odpowiedziałem.

- To dobrze. Rozkazuję ci, powstrzymaj moją córkę.

- Nie - odparłem krótko i dobitnie.

- Co znaczy: „nie”? - Zaskoczony takim obrotem sprawy arcymistrz nie wiedział przez chwilę, jak zareagować. - Partia jest przegrana, straciłem wszystko... Ona musi przeżyć...

- Nie musi! - rzuciłem cicho. - Inni nie musieli, to i ona może zginąć, przynajmniej sama zadecyduje o swoim losie.

- O czym ty mówisz, robaku?! - Pan Ota powoli wracał do siebie. - Śmiesz mi się przeciwstawiać?! Wiesz, kim ja jestem?!

- Tak, ale ty nie wiesz, z kim rozmawiasz - odparłem spokojnie, chociaż wewnętrznie aż kipiałem.

Pani Sakura nadal krzyczała coś do implantu, ale roztrzęsiony i zajęty rozmową ze mną sensei Ota nie mógł odpowiedzieć. Ze względu na przepisy bezpieczeństwa i możliwość podsłuchu, każdy kanał łączności

był odizolowany. Skoro ja zająłem łącze, nikt inny nie mógł na nie wejść. To także stanowiło część planu. Ruszyłem ku dziewczynie, ostentacyjnie wyciągając ręce. Zauważyła to, krzyknęła coś jeszcze, odsunęła dłoń od implantu i padła na kolana.

- No... - powiedział pan Ota. Głupiec, nadal nie rozumiał, o co chodzi. - Pospiesz się,

Koda!

Yamada-san patrzył na wszystko ze stoickim spokojem. Nie mógł nic zrobić, opuszczenie miejsca na Szachownicy zostałoby potraktowane jak dezercja z pola walki i ukarane dożywotnią dyskwalifikacją.

- Wiesz, jak to jest, kiedy patrzysz na śmierć swojego dziecka i nie możesz nic zrobić, by je uratować? - zapytałem, zbliżając się do dziewczyny, która podniosła na mnie wzrok i zbliżyła sztylet do prawej strony brzucha.

- O czym ty mówisz, Koda?! Ratuj ją! - ryknął pan Ota, aż się skrzywiłem.

- Nie nazywam się Koda. - Zatrzymałem się na chwilę. - Moje prawdziwe nazwisko to Tymura. Jestem Porandojin, jak i oni. - Wskazałem głową na Czarnych.

- Zdrajca! Sprzedałeś mnie tym podludziom, by zdobyć tron!

- W dupie mam twój tron. - Roześmiałem się. - Obaj wiemy, że Rada uczyni wszystko, by nieczysty rasowo arcy mistrz nie został Cesarzem. Ale to już kłopot arcy mistrza Nowaki. Powiedzmy, że było nam po drodze. On chciał wygrać Ligę i upokorzyć Nippon, a ja musiałem dostać ciebie, arcy mistrza arcy mistrzów. Stary pederasta tylko podniósł stawkę tej partii, umierając w porę...

Stałem o kilka kroków od linii dzielącej pola, po jej przekroczeniu zostanę automatycznie wykluczony z gry. Potrzebowałem jeszcze kilku chwil...

- Mnie? Dlaczego mnie...? - zapytał dziwnym tonem.

- Żebyś poczuł to, co ja czułem, gdy zwycięzcy Che-doka wybrali sobie kobietę na noc po zdobyciu Pucharu Kontynentalnego wiele lat temu. Moją kobietę, moją ukochaną żonę Yukiko. Żebyś widział, jak krew z

twojej krwi barwi matę, jak owoc twojego życia zamienia się w martwą tkankę... - Ruszyłem ku granicy między czernią i bielą. - Tak, Takashigami Ota, ty i twoi pijani kompani zabiliście moje trzy córeczki, żeby nie przeszkadzały wam w zabawie... Popełniście jednak błąd, pozostawiając przy życiu tego rozpaczającego młodzieńca, którego związaliście i powiesiliście za nogi, by widział dokładnie, co robicie. Bawił was mój ból... moje cierpienie... moja bezsilność... Tak bardzo chciałem potem umrzeć. Nie widziałem dalszego sensu życia, ale mój przyjaciel i nauczyciel, pan Nowaka, pomógł mi znaleźć cel. Wy tłumaczył... zaprowadził do pewnych ludzi...

Mówiąc te słowa przekroczyłem linię pola. Ledwie moja stopa dotknęła czarnej powierzchni maty, pani Sakura wbiła ostrze sztyletu w swój brzuch. Miała w sobie ducha bushi, chociaż była tylko kobietą. Wybrała śmierć wojownika, miast, jak każe zwyczaj, poderznąć sobie gardło. W implancie usłyszałem przejmujący okrzyk bólu. Wyjąłem miecz z pochwy, dziewczyna odwróciła do mnie wykrzywioną cierpieniem twarz, słysząc szorowanie metalu wysuwanej klingi. Uśmiechnęła się tylko na sekundę, wyraźnie widziałem cień uśmiechu pojawiający się na jej twarzy. Potem ból zawładnął nią ponownie. Nie zdołała już obrócić ostrza w ranie i podciągnąć go wyżej. Wypuściła obciągniętą skórą rekina rękojeść. Patrzyłem na nią i dalej mówiłem:

- ...Parę lat później upozorowałem własną śmierć i zająłem miejsce człowieka, który z całą rodziną od dwóch pokoleń mieszkał w Warushawa-City. Znasz tę historię... Uprowadzony, rodzina ginie w zamachu, uwolniony z braku perspektyw na uzyskanie okupu. Uwierzono w moją wersję zdarzeń. Znajomości pana Nowaki w urzędach i szpitalach pozwoliły ukryć prawdziwą tożsamość cudem ocalonego chłopaka. Potem wyemigrowałem do „ojczyzny” i wstąpiłem do szkoły Che-do twojego klanu. Jako członek klasy średniej nie musiałem odbywać całego rytuału przeznaczonego dla biedoty, mogłem nawet mieszkać we własnym domu poza szkołą. Po roku szkolenia miałem już styczność z twoimi mistrzami. Usługiwałem im i... kolejno eliminowałem. Jednego po drugim... Aż na liście został tylko jeden

człowiek spośród morderców... Wiesz, jak to jest, gdy podajesz wodę albo obmywasz ciało człowieka, który na twoich oczach zamordował najbliższe ci osoby? Nie wiesz... Osiem lat trwało, zanim zdołałem dostać się w pobliże mistrza Ota. Ty w tym czasie miałeś już tylu wrogów, że nie wychodziłeś z pałacu bez osobistego pola ochronnego i stada goryli. Dlatego postanowiłem ukarać cię w jeden jedyny dostępny sposób. Pan Nowaka, mój prawdziwy mentor i przyjaciel, załatwił mi w Porando warunkowanie. W tym jesteśmy od was lepsi; choć mianowaliście się pępkiem świata, to technologicznie kolonie wyprzedzają całe to cesarskie bagno. Tak stałem się twoim mistrzem, dzięki bioinżynierii. Mogłem od razu być najlepszy, ale cierpliwie czekałem, obserwowałem... aż znalazłem słabe punkty każdego człowieka w klanie Takashigami. Pan Nowaka zmusił cię swoim ślubowaniem do przyjęcia jego warunków. Obiecałeś odebrać sobie życie, wiedząc, że córeczka w razie czego poprowadzi dalej korporację, ale co za pech... jej już nie ma.

Mówiłem to, stojąc przed wygiętą w pałąk dziewczyną, spora kałuża krwi otaczała już jej nogi, a spazmatyczne drgawki świadczyły o tym, że dawno przekroczyła granicę możliwego do wytrzymania bólu. Pochyliłem się i odgarnąłem włosy z jej zimnego jak lód karku. Nienaturalnie jasna, gładka jak aksamit skóra kontrastowała z czernią włosów i fioletem kimona.

- Co za ironia losu - powiedziałem. - Ona będzie mi wdzięczna za to, co zrobię...

W implancie słyszałem tylko nierówny oddech człowieka, który przed chwilą był następcą tronu, a teraz tylko kandydatem na trupa.

-Zginiesz za to, Koda...! - syknął wściekle, gdy głowa pani Sakura toczyła się po białym kwadracie jej pola, znacząc matę szkarłatnymi plamami, a ja ocierałem klingę z krwi. - Zanim odbiorę sobie życie, zadbam, byś pożałował, że się urodziłeś.

- Pożałowałem tego dwanaście lat temu. - Spokojnie ukląknęłam obok pozbawionego głowy ciała. - Teraz, gdy załatwiliśmy nasze porachunki, mogę spokojnie odejść.

Skinąłem na Yamada-san. Wiedział, że jest już po walce. Czego jak czego, ale takich prawd weteranowi Szachownicy nikt nie musiał tłumaczyć. Pokłonił się przeciwnikom i ruszył w moim kierunku.

- Nie wywiniesz się tak łatwo, Koda! - krzyknął Ota.

- Tymura, baranie - odparłem, zdejmując górę kimona i odsłaniając tors. Odłożyłem katanę i sztylety z dai-sho Kagero. Nie chciałem odejść ze świata za pomocą tej broni. Wyjąłem z ręki pani Sakura jej wakizashi i otarłem go starannie jedwabną chustą z krwi. Spojrzałem na srebrzystą bransoletę opinającą mój nadgarstek. Z chwilą, gdy ukryty w niej odbiornik przestanie odbierać oznaki życia, ładunki umieszczone w moim domu zamienią go w kupę dymiącego gruzu, grzebiąc wszelkie dowody istnienia Noruberuto Tymury. Od czasu, gdy odzyskałem depozyt Isu, nikt nie miał pojęcia, kim naprawdę był spoczywający od lat w studni na slumsowych przedmieściach Warushawy Ryuichi Koda. Wyrwałem z ucha implant, by ryki oszalałego arcyministra nie psuły mi ostatnich chwil życia, i spojrzałem na poważną twarz Króla. Skinąłem powoli głową, unosząc miecz do asysty...

- Cóż za niesamowite zakończenie tegorocznych rozgrywek Ligi! - krzyczał do mikrofonów sprawozdawca Nikkei Tokyoramą Che-do-Holo. - Tak wielkiego poświęcenia i tak dramatycznej walki nie widzieliśmy jeszcze nigdy. Spójrzcie państwo, oto najwspanialszy przykład wierności ideałom Szachownicy. Wojownicy klanu Ota woleli śmierć z własnej ręki niż dyshonor i poddanie się wrogowi. Myślę, że narodziła się właśnie nowa legenda Tokyoramy... Ryuichi Koda, wzór wierności. To największy zawodnik Szachownicy, bez wątpienia. Wystąpił tylko dwa razy, walczył zaledwie raz, ale nie zapomnimy go nigdy...

Ostatni zjazd przed Litwą



Powiadają, że na transkontynentalnej ruch nigdy nie zamiera. W najodleglejszym zajeździe strefy podzwrotnikowej można wysłuchać legend, jakie krążą na ten temat. I obojętnie, czy mówią ci, którzy nigdy nie wytknęli nosa poza tropiki, czy też kierowcy, właśnie wracający zza Uralu - klimat tych opowieści jest zawsze taki sam. Siądź blisko skośnookich truckerów, a usłyszysz, że asfaltobeton na TC1 jest gładzy niż skóra ukochanej kobiety. Dowiesz się, jakie uczucia towarzyszą znikaniu w odwiecznym mroku ogromnych wydrążonych pod dnem cieśniny tuneli. Jak wysokie są wiadukty przecinające niebosiężne pasma gór. Poznasz sekrety cudów elektroniki, sprawiających, że stusześdziesięcotonowe kolosy mkną z zawrotnymi prędkościami w tłoku, jakiego nie widziano w największym z miast Ery Prekolonizacyjnej. Postaw któremuś z truckerów piwo, a zdradzi ci wszystkie tajemnice autostrady łączącej trzy kontynenty. Jak choćby tę, że żaden z kierowców, po raz pierwszy pokonujących Cieśninę Gibraltarską, za nic nie zdoła opanować uczucia paraliżującej paniki. W tym, co mówią, tkwi więcej niż ziarno prawdy. Dlatego warto wznieść z nimi toast za zapomnianego geniusza z odległego kraju, który stworzył podwaliny trasy łączącej najdalsze zakątki trzech kontynentów.

Kiedyś dziwiłem się tym opowieściom. W Afryce Środkowej, tysiące kilometrów od naprawdę wielkich aglomeracji, wśród niekończących się odkrywek, hut i rafinerii, tam, gdzie szutrowe drogi mają ledwie po dwa pasy ruchu, rzadko widuje się prawdziwe korki. Na równinach nadal

liczy się tylko refleks kierowcy i siła jego mięśni. Mało która firma montuje urządzenia nawigacyjne w wozach pozbawionych certyfikatu transkontynentalnego. Nie ma potrzeby inwestowania w tak drogi sprzęt, skoro wozy nie będą musiały pokonywać wielkich odległości. Pozbawione czujników koła weteranów sawanny nie zetkną się nigdy z naszpikowanym elektroniką asfaltobetonem. Po ich szybach nigdy nie spłynie topniejący płatek śniegu. Ich los został przypieczętowany w chwili, gdy opuszczały montownie General Motors of Africa na terytoriach dawnej Ugandy i Zairu. Tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy niemal identycznych ciężarówek przewożą dzień w dzień, noc w noc kontenery z lokalnymi produktami do najbliższej stacji przeładunkowej i wracają do fabryk po następny ładunek. I trwać to będzie nieprzerwanie aż po ostatni suw tłoka w zdezelowanym silniku.

Dopiero po drugiej stronie ramp przeładunkowych autoportów Kin Shao-sy czy Hindilusaki zaczyna się inny świat. Pięciopasmowa autostrada nawet na peryferiach cywilizacji tętni życiem, połykając niekończące się rzędy ogromnych ciężarówek. Jest ich mrowie, z każdym stopniem szerokości geograficznej zbliżających je do granicy kontynentu więcej i więcej. Pojawiają się też dodatkowe pasy ruchu: poza strefą podzwrotnikową jest już siedem, za Casablanką osiem, ale natężenie ruchu wcale nie słabnie. Wreszcie, u stóp Melilli, rozpedzone wozy znikają w mrocznych tunelach wiodących do Europy.

Nic jednak nie może przygotować człowieka na widok prawdziwej rzeki pojazdów, jaka wylewa się na europejskim odcinku TC1. W miejscu, gdzie łączą się trzy główne arterie komunikacyjne, wiodące z rozgrzanego serca Czarnego Łądu. Marokanka, Libijka i Sudanka spotykają się tuż za wylotami Tuneli Gibraltarskich, tworząc najszerszą i najbardziej ruchliwą szosę w dziejach cywilizacji. Trzydzieści pasów ruchu wiedzie na wschód. Trzydzieści znika w mrocznych paszczach wylotów tuneli prowadzących do Afryki. Po każdym z nich mkną z coraz większą prędkością sterowane elektronicznie sznury masywnych wozów, identycznych na pierwszy rzut oka, a różniących się niewielkim, wyświetlanym na plandekranach logo.

Na żółtodziobów obraz ten działa paralizująco - wiem, bo sam kiedyś doświadczyłem tego uczucia, nie ja pierwszy i nie ostatni. Teraz, za każdym razem gdy przekraczam granice kontynentów, czuję nie strach, lecz podniecenie. Oto miejsce próby rasowego kierowcy. Tu można poczuć swoją wartość. Rację mają ci, którzy mówią, że wynurzenie się z Tuneli Heraklesa to jakby poród na nowo. Wjeżdżając w ciemność po afrykańskiej stronie człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak długo będzie tkwił w mroku. Godzina w tunelu, z milionami ton skał i wody nad głową, sprawia jednak, że w końcu każdy poczuje się nieswojo. Ledwie to zaakceptujesz, nagle, w kilka sekund zalewa cię blask słońca i widzisz przed sobą łagodny podjazd prowadzący do węzła drogowego oraz tysiące pojazdów podobnych do twojego. Ogromne ciągniki objuczone zestawami kontenerów mkną ku szczytowi, coraz bardziej zbliżając się do siebie, aby uformować ciasny szyk na trzydziestopasmowej arterii wiodącej hen na kraniec cywilizowanego świata.

Sześćdziesiąt kilometrów dalej, za Węzłem Gibraltarskim, autostrada się rozdziela. Dwadzieścia pasów formuje północną nitkę zwaną Sybiraczką, a dziesięć odbija na prawo, ku Bałkanom. Południową trasę zwą Ziarnistym Szlakiem, po niej przeważnie poruszają się smukłe drobnicowce. Od czasu gdy przez Świętą Wojnę zamknięto Mosty Sueskie to jedyna szybka trasa dla przewozu zboża z żyznych równin centralnej Azji. Ziemi, z której moi przodkowie niespełna wiek temu przybyli pod pałace słońce równika.

Ja tym razem pozostałem na północnym szlaku. Odbiorcy towaru, który teoretycznie przewożę, mieszkają daleko za Uralem. Za granicą EUunii, nawet za FedeRosją. Przynajmniej tak głoszą manifesty przewozowe każdego z czterech kontenerów, jakie mam na naczepie. O tym, gdzie naprawdę trafi sprzęt, który powinien wypełniać ich wnętrza, zapewne nigdy się nie dowiem. Moje zadanie polega na dostarczeniu naczepy pod Moskwę, gdzie w zajeździe Szeremietiewo 66 powinienem rozprostować kości, coś przekąsić i po dwóch godzinach (nie prędzej!) zgłosić kradzież ładunku. Prosty deal, nie pierwszyzna. Sto sześćdziesiąt ton taniej elektroniki wprost z zairskich montowni znajdzie szczęśliwych

nabywców gdzieś w Chińskich Protektoratach Równikowych. Wysoko ubezpieczony producent dostanie swoje odszkodowanie, zaś ja po kilku godzinach maglowania zaloguję się do otwartego terminala, sprawdzę, czy ktoś nie ma ładunku powrotnego, i jak szczęście dopisze, wracając do Kapsztadu przyrobę bez wiedzy zleceniodawców trochę grosza.

- Tygrysku! - napomniała mnie Devi, ledwie przestałem marzyć o dodatkowych profitach.

Zatopiony w myślach, przestałem na nią zwracać uwagę, a tutaj, na równinach w EUnijnej strefie przygranicznej, nie było na co patrzeć za oknami. O tej porze roku nawet śnieg nie padał. Zresztą, choćby i było co podziwiać, to i tak nic by nie zobaczyła. Jechaliśmy teraz pasem numer osiem, w samym środku istnej rzeki pojazdów, i jedyną rzeczą, na której moja młoda towarzyszka mogła zaczepić oko, był plandekran na naczepie wozu firmy produkującej filmy erotyczne... Nie musiałem się specjalnie domyślać, co chodziło po głowie mej pasażerce. Widziałem to aż za dokładnie na trójwymiarowym wyświetlaczu oddalonym od zderzaka naszego ChiMacka o ledwie kilka metrów. I nie różniło się to zbyt od tego, co przeżywaliliśmy w ostatnich trzech dniach już wiele razy. Młodość musi się wyszumieć, powiadają. A ja... Cóż, po prostu korzystałem z dobrodziejstw tej maksymy.

- Sekundkę - odpowiedziałem, wracając do rzeczywistości. - Tatusz zrobi diagnostykę systemów i zaraz zajmie się tobą.

- Diagnostyka... - Wydęła wargi jak mała dziewczynka. Lubiała, gdy traktowałem ją w ten sposób. Jak niegrzeczną dziewczynkę. - Akurat...

To właściwie nie była wymówka. Ktoś inny pewnie włączyłby autopilota na pełen zakres i zaciągnął rozochoczoną dziewczynę do tylnej części kabiny, ale kierowca z moim doświadczeniem miał trochę więcej rozsądku. Może i komputery sterowały wszystkimi wozami. Może i były w stanie tak kierować ruchem, żeby nie dochodziło do kolizji. Może i miałem najnowocześniejszy system czujników zintegrowanych z trzema systemami nawigacji równocześnie, ale te wszystkie twierdzenia miały tylko jeden wspólny mianownik - słowo „może”. Ja wiedziałem swoje. Raz już darowano mi życie na drodze. A kiedy się żyje na kredyt,

docenia się wartość każdej chwili. Wołałem sprawdzić system przed włączeniem, zwłaszcza że zajmowało to zaledwie pięć minut, a zapowiadało się, iż siądę za kółkiem dopiero w okolicach granicy.

- To tylko chwilka... - zacząłem, widząc, że najwyraźniej tym razem nie zamierza czekać.

Właśnie odpinała pas, kiedy ekran komunikatora satelitarnego zamrugał i pojawiła się na nim twarz Ediego, zwanego przez wszystkich, którzy go znali, Pająkiem. Białasa o niebieskich oczach i zbyt trudnym do wymówienia dla Nowoafrykanera nazwisku. Krótko mówiąc, mojego współnika w interesach. Odwróciłem monitor tak, by nie widział tej części ciała, którą właśnie Devi mnie wabiła. Chyba trochę za późno.

- Spław tę sikse - powiedziały bezgłośnie usta na ekranie, czemu towarzyszył charakterystyczny ruch głowy.

- Mam pomysł, kotko... - odezwałem się pojednawczo, odrzucając spódniczkę i koronkowe majteczki, które wylądowały właśnie na obudowie komunikatora. - Nie ubieraj się. Skocz na tył, weź prysznic i zagrzej łóżeczko. Tatuś musi pogadać z kolegą o biznesie, ale będzie w tobie ASAP, OK?

-Nie! - Wydeła wargi po raz kolejny, ale posłusznie odwróciła fotel na tył kabiny i zniknęła za zasłonką prowadzącą do przedziału noclegowego. Zdążyłem ją jedynie klepnąć w krągły tyłeczek. Zareagowała prawidłowo, mrucząc jak kocica w samym środku marca.

- Co jest? - zapytałem Ediego.

- Zamknij ją.

Widząc jego oczy, zrozumiałem, że coś jest nie tak. Zablokowałem drzwi, żeby nie mogła ich otworzyć od wewnątrz. Teraz nas nawet nie słyszała. Przedział osobowy był zabezpieczony dźwiękochłonie, choć w zupełnie innym celu. Chodziło raczej o to, żeby odgłosy nie wydostawały się na zewnątrz.

- Zrobione - potwierdziłem, choć musiał widzieć, jak zamykam przejście, bo miał przełączniki w zasięgu kamery. - Co się dzieje?

- Gdzie dokładnie jesteś? - odpowiedział pytaniem na pytanie Pająk.

- Zbliżam się do strefy przygranicznej - zameldowałem zdziwiony

takim obrotem rzeczy. Edi, prócz tego, że zajmował się organizowaniem przerzutów towaru, był geniuszem komputerowym. Zawsze włamywał się do sieci satelitarnego nadzoru ruchu i to na ogół on potrafił dokładniej powiedzieć, gdzie jestem. - Mam jakieś sześćset kilometrów do granicy FedeRosji. Siadł mi transponder, czy co?

- Nie jestem u siebie. - Ton jego głosu natychmiast stał mi uśmiech z twarzy.

- Co to znaczy: nie jestem u siebie?

- To znaczy, że musiałem się zrywać z Sieci. - Tak określał swoje mieszkanie. Faktycznie siedział tam jak tłusty pająk w sercu wirtualnej pajęczyny. - Za jakieś pół godziny będę w zapasowej melinie. Skorzystałem z publicznego wideofonu, żeby się z tobą skontaktować. Ale spoko, możemy mówić otwarcie, skrambluję sygnał.

- Co się dzieje? - powtórzyłem pytanie, wpadając mu w słowo. Pająk poza Siecią i do tego wyraźnie zdenerwowany. To z pewnością nie wróżyło nic dobrego.

- Godzinę temu zwinęli Verhoma.

- Tego palanta, który nagrał nam robotę?

- Tego samego - potwierdził spokojnie, choć równie dobrze jak ja wiedział, że zwiniecie jakiegokolwiek innego Verhoma gównem by nas obchodziło.

- I co z tego? - Wzruszyłem ramionami. - Ten dupek miał nagrabortone chyba u wszystkich.

To akurat była prawda. Mister Rolls & Dres, jak go nazywano w mojej dzielnicy Nowego Bombaju, był klasycznym przekrętasem. Nieźle ustawionym przekrętasem. Opłacał lokalne gliny, celników z najbliższych terminali i dymał ostatnią Miss AfroChina. Starszą siostrę mojej gorącej kotki, jeśli chodzi o ścisłość. Zresztą chyba obie je swego czasu posuwał, ale go to dzisiaj obchodzi...

- Federacjści go zdjęli. - Edi rozejrzał się, ktoś pewnie przechodził obok automatu, z którego dzwonił.

- A, to poważniejsza sprawa - przyznałem. Pekinńczyki rzadko wkraczały do akcji, chyba że chodziło o jakieś grubsze afery. - Myślisz,

że to może mieć związek z naszym kontraktem?

- Nie wiem. Jak tylko usłyszałem na częstotliwości policyjnej, że Federaści blokują Mandela Suicide Alley, sięgnąłem do komputerów drogówki i nagrałem aresztowanie R&D z kamer nadzoru ruchu. Był tam SWAT i sporo pekińczyków. I zero mediów. Klasyczny kocioł z zaskoku.

No tak, cały Pająk, cały on. Nagrał tajną akcję agentów federalnych i pewnie sprzedał ją już którejś stacji telewizyjnej jako *exclusive* do wiadomości. Albo niedługo sprzeda.

- Ale co to ma wspólnego z nami? - zapytałem nieco zdezorientowany.
- Dlaczego robisz w gacie tylko z tego powodu, że zwinęli jakiegoś palanta z połączonym deklek od merca na szyi?

Edi jeszcze raz się rozejrzył.

- Bo przed chwilą taka sama ekipa zrobiła kipisz u „Krokodyla” Dunbara.

Dunbar skontaktował Edi ego z Verhornem, a mnie przy okazji zapoznał z Devi.

- To może znaczyć, że...

- Spierdalam, bo psy już tu węższą. Odezwę się ASAP - syknął Pająk i przerwał połączenie.

Zostałem sam na sam z niewesołymi myślami. Sprawdziłem pozycjoner. Do granicy EUropy zostało jeszcze pięćset siedemdziesiąt kilometrów. Jeśli zaordynuję zmianę pasa na trzynasty, czternasty, to minę terminale skanujące za niespełna trzy godziny i pekińczyki będą mnie mogły cmoknąć. Ruscy nadal nie honorują ich nakazów. Ale to rozwiązanie, choć kuszące, miało jeden minus. Wejście na pasy ekspresowe zostanie odnotowane w komputerach nadzoru autostrady. Nie zgłaszałem wcześniej potrzeby zmiany prędkości podróźnej. A skoro ją zmieniam, to coś jest nie tak. Potrzebne będzie rozsądne wytłumaczenie. Nie, nie warto się wychylać, każde odstępstwo od rutyny może być wychwycone przez jakiegoś nadgorliwego durnia i kontrola na granicy gotowa. Zwłaszcza tu, w EUunii, gdzie nawet czas na sikanie ma w jazdach określone limity.



Brzęczyk wewnętrznego komunikatora odzywał się rytmicznie od jakiegoś czasu. Nie zwracałem na niego uwagi podczas rozmowy, co było zrozumiałe, ale teraz nie sposób było go zignorować. Moja nadpobudliwa towarzyszka podróży chyba się nieźle wkurzyła.

Sięgnąłem do przełącznika, ale zatrzymałem palec na milimetry od stycznika. Pająk wybił mnie z rytmu na tyle, że odeszła mi ochota nawet na to, co dziewczyna na plandekranie robiła właśnie ustami swojemu partnerowi.

- Skarbie, jest problem. - Nie dałem dojść do słowa Devi. - To dotyczy twojej siostry!

Miałem nadzieję, że lubi ją choć trochę. Bądź co bądź to rodzina.

Edi odezwał się po kwadransie. W tym czasie zdołałem jakoś uspokoić zapłakaną Devi. Kit z aresztowaną siostrą poskutkował na tyle, że przynajmniej zapomniała o hormonach. Za to musiałem ją odwieść od rozpaczliwych prób dzwonienia do domu. Jeszcze tylko brakowało, żeby mi ściągnęła tym sposobem na kark federalnych. Zabrałem jej wideofon i kazałem się ogarnąć. Poszła posłusznie do przedziału, jak tylko odebrałem połączenie.

- Coś ty jej zrobił? - zapytał Pająk. Jak zwykle za późno przekręciłem monitor.

- Musiałem coś wymyślić, żeby założyła majtki - odparłem wymijająco, ale szybko uzupełniłem, żeby zakończyć ten temat: - Powiedziałem, że gliny zwinęły jej siostrę razem z tym tłustym debilem.

- A wiesz, że nawet nie skłamałeś - powiedział wyraźnie rozbawiony Edi. - Zgarnęli wszystkich z rezydencji. Nawet białą służbę.

- Czy już coś wiadomo? - Mnie nie było do śmiechu. Prowadziłem wóz ze stu sześćdziesięcioma tonami powietrza zamiast sprzętu wartego pięćdziesiąt baniek, a co dwadzieścia kilometrów byłem rejestrowany przez systemy skanujące. Fakt, że R&D nie wiedział, iż zamieniłem ciągniki jeszcze przed opuszczeniem AfriChin, wcale mnie nie uspokajał. Zawsze ktoś mógł namierzyć kontenery.

- Nie. Media nic nie wiedzą, gliny mają polecenie wspierać akcje pekińczyków.

Jakoś mnie te słowa nie pocieszyły.

- Zwinęli jeszcze kogoś z naszych?

-Nie. - Pająk zaprzeczył po kilku sekundach milczenia. - Mam już podgląd na Sieć, na garaż i na twoją chatę... Wszędzie spokój.

-Może to fałszywy alarm... - pomyślałem na głos. - Może zwinęli go za coś innego. Przewalał kilku ludzi co miesiąc.

-Chyba nie... Gdybyś mnie zapytał o zdanie, to raczej cisza przed burzą. ChNN właśnie podaje, że w Kapsztadzie służby specjalne udaremniły zamach terrorystyczny. Wśród zatrzymanych nie wymieniają naszego tłustego przyjaciela, ale mam na wizji tych samych krawaciarzy, którzy są na taśmie nagranej przed domem Yerhoma.

- R&D terrorystą? - Roześmiałem się. - Prędzej uwierzę w wiatropylne dziewice.

Gruby, cokolwiek o nim mówić, nie był islamista. Nawet nacjonalistą nie był, bo niby do jakiej nacji mógł się zaliczyć. Ojciec Bur pełną gębą, choć gdyby mnie ktoś zapytał, niespecjalnie biały. Matka Hinduska, i to z niższej kasty...

- Ktoś tu coś ściemnia - podsumowałem na głos te przemyślenia.

- Błądź i jej mać! - Pająk zaklął po swojemu i spoglądał przez chwilę na niewidoczny w komunikatorze monitor po prawej. - Pekińczyki w dupy kopane!!! Właśnie robią kocioł wokół Sieci.

Darł się chyba ze dwie minuty, po części w rodzimym, dość dźwięcznym j ęzyku, ale wcale mu się nie dziwiłem. Sieć była jego sanktuarium. Nawet mnie tam nie tolerował. Wolał spotykać się na neutralnym gruncie. A teraz wpieprzyło mu się tam z buciarami całe stado obcych ludzi. Żeby tam ludzi... Gliniarzy, i to federalnych!

Czekałem spokojnie, aż zamilknie.

- Pewnie „Krokodyl” pękł - powiedziałem ostrożnie, nie chciałem go wkurzać bardziej.

- Każdy by pękł. - Głos mu się załamał. - Tam, gdzie gość trafił, nie ma mocnych. Ale to jego problem. Skoro Federaści weszli do Sieci, to

znaczy, że na pewno chodzi im o nas.

- Na to wygląda... - Po raz pierwszy poczułem, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

Jeśli weszli do siedziby Pająka, kwestią czasu będzie ustalenie numerów kontenerów. Dbaliśmy o szczegóły, dobrze zacieraliśmy za sobą ślady, właśnie ze względu na takie okoliczności. Podmieniliśmy ciągnik podstawiony przez R&D na wynajętą w wielkiej firmie przewozowej luksusową brykę. Kwity od grubasa też dawno spaliłem. Wyjechałem z AfriChin pod zmajstrowaną przez Pająka przykrywką i z fałszywymi numerami. To była moja polisa ubezpieczeniowa na wypadek ewentualnej wyspy albo podpuchy. Przypadkowa kontrola nie mogła mnie wyśledzić, ale tutaj wchodziły w grę służby specjalne. A one miały pełny dostęp do globalnego drogowego systemu skaningowego, a tym samym wszystkich chipów. Zwłaszcza tych, które tkwią w jądrze każdego systemu sterowania wozem, a które umiemy zablokować na poziomie dostępu zwykłych łapsów. To z kolei oznaczało, iż są w stanie prześledzić drogę każdego wozu od wjechania na teren międzykontynentalnej aż po punkt docelowy. Jeśli w trakcie przesłuchań ustalą faktyczne numery kontenerów, co jest dość prawdopodobne, zważywszy dotychczasowe postępy w śledztwie, to system wypłuje w parę sekund całą historię i trasę mojego przejazdu.

Pająk zaczął coś pisać, coraz skłádniej bębniąc palcami po klawiaturze. Wkurzenie powoli mu mijało. Znowu stawał się chłodno kalkulującym profesjonalistą. Podzieliłem się z nim moimi przemyśleniami. Kiwał głową, nie przestając pisać.

- Chyba jeszcze nie wszystko stracone - powiedział po chwili. - Mam dostęp do systemu nadzoru autostrady. Nie pytaj, jak się tam dostałem, po prostu mam. Zalogowałem się na bramki EUnijne. Jak na razie nie ma w ich serwerach żadnych poleceń sprawdzenia twoich numerów. Nie szukają nawet oryginalnego ciągnika.

- To dobry znak. - Nie powiem, żebym się nie ucieszył, słysząc te słowa. - Ale to może się w każdej chwili zmienić.

- Dokładnie. Dlatego mam plan. Za chwilę powinnięś zobaczyć

tablice informacyjne nad autostradą.

Miał rację, kilkanaście sekund później pojawiły się pomiędzy hologramami reklamowymi informacje o najbliższym rejonie postojowym.

- Widzisz je?

- Tak. Zajebicie wielkie napisy, trudno ich nie zauważyć.

The Deus - głosił kolorowy napis albo coś w tym stylu, ciężko było się zorientować we wszystkich tych zawijasach. Na szczęście dopisek był już czytelniejszy: *Ostatni zajazd przed Litwą*, cokolwiek to miało znaczyć, do zjazdu zostało mi 50 kilometrów. Niecały kwadrans i co najmniej dwie bramki.

- Litwa to makroregion graniczący z FedeRosją. - Edi zwykł podawać fakty dotyczące miejsc jak mój niegdysiejszy belfer od geografii. Beznamiętnie, ale treściwie. - Największy port przeładunkowy w tej części EUropy. Posłuchaj mnie teraz uważnie, zgłoś dyspozycję postoju w tym zajeździe. Musisz po prostu odpocząć.

- Się robi. - Wpisałem odpowiednie polecenie i komputer nadzoru ruchu natychmiast zmodyfikował zapisy w autopilocie.

Kilkanaście sekund później jechałem już po siódmym pasie. Wóz nieznacznie zwolnił.

- Podchodzę do parkowania - poinformowałem.

-Dobra. - Pająk rozkręcał się, takiego go lubiłem. - Teraz najważniejsze. Przejmij kierownicę na pierwszym pasie i wyłącz całkowicie autopilota za ostatnią bramką na ślimaku. Przejeźdź przez stację paliwową. Albo jeszcze lepiej, uzupełnij zapas wodoru, żeby nikt nie nabrał podejrzeń. Na stacji jest jasno, więc przygaś plandekrany na tyle, ile możesz, żeby nie rzucały się w oczy, kiedy skierujesz się na parking dla lokalnego ruchu.

- Dla lokalnego? - Nie łapałem, do czego zmierzał.

- Nie pytaj. Zrobisz, co ci powiem, a wykpimy się z tej sytuacji. - Spojrzał prosto w kamerę, w jego oczach nie było już gniewu.

Posłuchałem go, jak zawsze. Choć to, co powiedział później, było dość dziwne.

To był ogromny parking z wieloma barami, hotelami i klubami dla kierowców. Jak to przed granicą. Wykonałem polecenia Pająka co do joty. Przymknąłem nadal rozryczaną Devi w przedziale sypialnym, potem zjechałem na oddalony plac. Stało tam kilkadziesiąt wyglądających dość obskurnie wozów. Niektóre nie miały nawet trójwymiarowych znaków firmowych na burtach, nie mówiąc już o plandekranach. Toczyłem się wolno, wypatrując okazji. Wreszcie na coś trafiłem. Było lepiej, niż sądził Pająk.

Zaparkowałem obok stusześcdziesięcotonowego starego chimacka z całkowicie wygaszonym oznakowaniem. Nawet tablice rejestracyjne nie świeciły. Jego kierowca, chudy jak szczapa mężczyzna o włosach jasnych niczym kłosa zboża, krzątał się obok podniesionej maski, otoczony kilkoma zestawami serwisującymi. Na pierwszy rzut oka było widać, że to złom nie wart złamanego grosza. Facet nie zwrócił na mnie uwagi. Problem, z którym się borykał, zaprzętał go całkowicie.

- Się masz - zagałem, zeskakując na parujący po świeżym deszczu asfalt.

Spojrzał na mnie, skinął głową, ale nie odpowiedział. Przeciągnąłem się, żeby rozprostować kości - fotel w tej klasy wozach ma nawet programy automasujące, ale nic tak nie odświeża po jeździe jak parę kroków po twardej ziemi.

- Jakiś problem? - Podszedłem bliżej.

- Nicz, szczył bym szobie nie poradził. - Chyba seplenił, a może po prostu kaleczył panangielski na tutej szą modłę.

Zajrzał mu przez ramię. Diagnostował właśnie komputer pokładowy.

- Siadło zasilanie - bardziej stwierdziłem, niż zapytałem. - W moim starym wozie też kiedyś siadło.

- Znasz sze na tym? - zaciekał się.

- Nie bardzo - przyznałem. Zgodnie z prawdą, nawiasem mówiąc. Rozpoznawałem objawy, ale nie miałem pojęcia, jak je usunąć.

Popatrzył na mnie z wyraźną dezaprobatą, jakby chciał powiedzieć, po co mu w takim razie przeszkadzam, i wrócił do sprawdzania odczytów. Po chwili wyrwał wszystkie wtyczki z gniazdek interfejsu i zaklął siarczyście. W języku, którego ni w ząb nie rozumiałem.

- Jaki masz soft serwisowy? - zapytałem, nadal gapiąc się pod maskę.

- Red Hata Trucker Edition 2050, bo czo? - Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Nie, nic. - Wzruszyłem ramionami. - Ale to chyba nie jest w pełni kompatybilny system z procesorami chi macka?

- Nie usz tępuje w niczym płatnym - mruknął z wyraźną złością, i tu go miałem.

- Ja mam Engine Commandera, wersja 56 - powiedziałem tonem dumnego właściciela najdoskonalszego programu skanującego.

- To sze ciesz! - warknął rozeźlony i wyciągnął z kieszeni pilota do maski.

- Bez urazy, nie powiedziałem tego, by się chwalić. - Rozłożyłem ręce w przyjaznym geście. - Mogę ci pomóc, przyjacielu.

Popatrzył na mnie, wyraźnie zdziwiony.

- Aleja nie mam kaszy... - wymamrotał.

- Spoko. - Poklepałem go po klejącym się od smaru kombinezonie. - Znasz chyba takie słowo jak solidarność.

Ten błysk w jego oku niespecjalnie mi się spodobał.

- Sznam - odparł ostrożnie i splunął. - Nawet lepiej, nisz czy szię wydaje.

- Wiesz, jak jest. - Kiwnąłem głową, udając, że nie widzę jego rozdrażnienia. -Zawodowa solidarność. Ja kierowca, ty kierowca. Przecież nie zostawiłbyś innego szofera na pastwę losu.

- Ale to kosztuje... - próbował oponować, choć raczej niechętnie. - I wejdzie w rejesztr.

- Ja nie mam limitów użycia. - Roześmiałem się. - Kumpel zna się na kompach, zdjął ograniczniki i nie muszę płacić za każde zewnętrzne użycie.

Zmrużył oczy, zaskoczony moimi słowami. Widziałem, że perspektywa

skorzystania z najnowocześniejszego diagnostyzatora kusiła go. Każdego by skusiła, zwłaszcza tak biednego szoferaka jak on.

- Ale... - zaczął. I zaraz zmienił zdanie: - Będę wdzięczny sza kaszdą pomocz.

- Nie ma sprawy. - Odwróciłem się i otworzyłem schowek za przednim kołem. Pająkowaty kształt robota wynurzył się z ciemności i stanął na asfalcie. Skierowałem go pilotem do otwartej maski wozu.

- Samoobsługowy - szepnąłem, gdy wszystkie ramiona diagnostyczne przyłgnęły do gniazd.

Trwało to dosłownie minutę. Automat zwinął nagle czujniki i ramiona wycofały się bezszelestnie. Spojrzeliśmy jednocześnie na ekran czytnika. Miejscowy najwyraźniej nie znał chińskiego, ale już sam kolor nagłówka komunikatu musiał mu powiedzieć, że naprawa się nie powiodła.

- By to chu . dy murzyn... - Splunął ze złością wprost pod mój zderzak.

- Nieźle musiało się popierdolić. - Oderwałem folię wydruku z drukarki. Nie wziął go jednak ode mnie.

- I tak bym tych krzaków nie przeczytał - powiedział i wyjął z kieszeni pilota.

Opuścił maskę. Nie zamknęła się równo, metal zgrzytnął o metal, wywołując kolejny potok dźwięcznych przekleństw.

- To nie soft - przetłumaczyłem najlepiej jak mogłem dane z wydruku.

- Masz sygnalizowane już od tygodnia uszkodzenie mechaniczne w układzie elektrycznym. To się nadaje tylko na warsztat.

- Nie będzie mnie uczył jakisz czip, jak mam prowadzić! - fuknął.

Uniosłem ręce w przepraszającym geście i cofnąłem się. Nie chcąc wchodzić w drogę wyraźnie rozwścieczonemu koledze po fachu, zająłem się ładowaniem robota diagnostycznego do schowka. Robiąc to, zobaczyłem, że facet wyciąga z kieszeni wideofon i czeka na połączenie.

- Nicz sz tego - zameldował komuś po drugiej stronie. - Nie da szie naprawicz besz dosztpu do warsztatu... Tak, tak rozumiem... Jesztem na parkingu, wósz mosze tu szpokojnie sztach nawet trzy dni. Dobsze, szefie, poczekam na holownik.

Schowałem się głębiej w cień rzucany przez kabinę, to była wręcz wymarzona sytuacja. Nawet lepsza od tej, której mi życzył Edi.

- Dziękuję, kolego.

Odwrociłem się i raz jeszcze rozłożyłem bezradnie ręce.

- Nie ma za co - odpowiedziałem. - I tak nie udało się naprawić.

- Sza chęci - dodał szybko. - Tutaj to więcej sznaczy, niż myślisz.

- Nie ma sprawy. - Zająłem się domykaniem schowka.

Usłyszałem szybkie kroki, cień tamtego przemknął po asfalcie obok maski mojej ciężarówki i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Jeszcze przez chwilę dochodził mnie jego chrapliwy oddech, potem padło jakieś przekleństwo, gdy potknął się o niewidoczny w ciemności krawężnik.

Zamontowałem słuchawkę w uchu i rozejrzałem się po parkingu. Cisza i spokój. W oddali, w żółtym blasku lamp sodowych widziałem jak na dłoni malutką sylwetkę kierowcy zepsutego pojazdu. Zmierzał zdecydowanie do najbliższego hotelu. I dobrze... Wspiąłem się do kabiny, żeby wypuścić Devi. Pocałowałem ją na przeprosiny, tak jak chciała, choć zajęło to trochę czasu, i wróciłem do ciągnika.

Wywołałem Pająka. Zgłosił się niemal natychmiast i zapytał, czemu tak długo się nie odzywałem. Zreferowałem mu przebieg ostatnich minut, oczywiście bez szczegółów dotyczących Devi.

- Znakomicie! - Ucieszył się. - Wygląda na to, że uniknęliśmy najtrudniejszego.

Nie mogłem nie przyznać mu racji. Jego plan opierał się na czystej hakerce. Miałem zaparkować obok któregoś z podobnie wyglądających wozów i po sprawdzeniu, że kierowcy nie ma w pobliżu, podłączyć się do jednego z zewnętrznych gniazd kontrolnych umieszczonych w środkowej części ramy. Potem musiałbym sprzęgnąć robota diagnostycznego z moim kompem pokładowym i dać pełen dostęp do niego Pająkowi. Ten narcystyczny białas twierdził, że jest w stanie dokonać zamiany matryc obu wozów w czasie krótszym niż jeden satelitarny cykl skanujący.

Może nie zabrzmiało to wystarczająco groźnie, ale dla mnie, laika, była to czarna magia. Skopiować i wykasować zawartość pamięci tamtej

maszyny i przesłać ją do komputera mojego wozu, dokonując jednocześnie takiej samej operacji w drugą stronę. I to w sześć sekund. Trzeba być geniuszem. I to geniuszem dysponującym niezłą technologią. Zwłaszcza taką, która pozwala na namierzenie i synchronizację z cyklem skaningowym właściwego satelity. Ułamek sekundy opóźnienia i wszystkie siły policyjne z całego rejonu na karku.

Miałem jednak szczęście. Znalazłem uszkodzony pojazd, a jego kierowca pozwolił mi dobrowolnie na skopiowanie swojego systemu. Całego systemu, łącznie z firewallami, które podczas diagnostyki musiały być zdezaktywowane, a to właśnie pokonanie tych zabezpieczeń stawiało całą operację pod znakiem zapytania. Robot Pająka prócz standardowych funkcji naprawczych miał naprawdę sporo ciekawych usprawnień. Dzięki niemu mogliśmy teraz na spokojnie implantować wszystkie dane do jednostki centralnej mojego chimacka, i to bez włąmywania. To znaczy, on mógł, bo ja byłem tylko bezwolnym obserwatorem. Moje zadanie polegało na wczolgnięciu się pod obie maszyny i podłączeniu kabli. Potem jak gdyby nigdy nic wróciłem do wozu i czekałem.

- Gotowe - wyszeptał mi w ucho, kiedy światło w kabinie wozu znów rozbłysło. - Kupiliśmy przynajmniej parę godzin na zatarcie śladów. Zapoznaj się dokładnie z tym systemem.

- Jest archaiczny - mruknąłem ledwie na ekranie pojawiły się odczyty - i do tego napisany w jakimś barbarzyńskim języku.

- Tłumaczenie załatwimy na bieżąco - uspokoił mnie. - Zresztą potrafisz prowadzić wóz bez wspomagania, a podstawowe funkcje jazdy są identyczne w każdym systemie. Jeśli ktoś zapyta, dlaczego jedziesz na ręcznym, oficjalnie zgłosisz uszkodzenie autopilota. Ja go po prostu zdalnie odłączę, a po przejechaniu posterunków znowu aktywuję. Update twoich danych do systemu nie zajmie więcej niż dwie minuty, możesz odpalać silniki.

- Zaraz... - Zatrzymałem się na stopniach kabiny. - A co z Devi?

- Szlag! - Pająk pocierał nerwowo dłońmi o skronie. - W tym zamieszaniu zupełnie o niej zapomniałem.

- Mogę ją zabrać ze sobą... - zaproponowałem.

- Nie, to nie wchodzi w grę! - zaprotestował gwałtownie. - Nie wyczaruję dla niej zapasowej karty ID w dwie minuty, a pod swoim nazwiskiem nie może przejść przez żadne skanery. Zostaw ją gdzieś na terenie zajazdu. W końcu twoja wyprawa potrwa góra dwie, trzy godziny.

- Racja - przytaknąłem.

Plan wydawał się diabelnie prosty i wręcz doskonały. Jak każdy wymyślony przez Pajaka.

Devi wciąż była zszokowana aresztowaniem siostry. Wyjaśniłem jej, że muszę ukryć towar R&D, za który go zwinięto, a jeśli mi się to uda, siostrzyczka pewnie szybko wyjdzie z ciupy, bo nie będzie dowodów. Musiałem oddać jej wideofon. Choć twierdziła, że nie jest na tyle głupia, żeby dzwonić do domu, nie do końca jej ufałem.

Dałem jej jedną z lewych kart kredytowych, na której miałem trochę zaskórniaków, i kazałem zaczekać w pobliskim barze na mój powrót.

- I żadnych napalonych driverow - ostrzegłem, otwierając drzwi szoferki. - Tatuś od razu pozna, że ktoś majstrował przy twojej dziurce.

Plan był prosty. Odjeżdżam na tyle daleko od autostrady, żeby wyjść z zasięgu czujników nadzoru ruchu. Znajduję jakieś ustronne miejsce. Złomowisko, parking, cokolwiek. Odłączam naczepę, rozpieprzam jednostki centralne kontenerów i spokojnie wracam na autostradę. Jeśli po ponownym wejściu w zasięg Pajak zamelduje, że wszystko jest w porządku, jadę na zapasowych lewych papierach do granicy Federacji i dalej do naszego azylu. Jeśli pekińczyki mnie namierzą, zostawiam wóz w Strefie, łapię stopa albo inną okazję i zapyłam prosto na Syberię, a potem Mostami i Tunelami Beringa przedostaję się na Alaskę. Kasy mieliśmy z Pajakiem wystarczająco dużo na rozpoczęcie nowego życia gdzieś w hiszpańskojęzycznej strefie Stanów Zjednoczonych Obu Ameryk. Albo na gorących wyspach Karaibów...

Pajak mówił, że nie powinno być problemów, i rzeczywiście nie było.

Zjazdu nie pilnowali ludzie. Automat połknął moją lewą kartę personalną i wrota tunelu wyjazdowego otworzyły się bezszelestnie. Partner spisał się na medal. Po drugiej stronie przywitał mnie migoczący napis:

WITAMYW PRZYGRANICZNEJ STREFIE ZDEMILITARYZOWANEJ PRZYMORZE

Parsknąłem śmiechem. Wynikałoby z tego, że autostrada jest obiektem militarnym.

Po niecałej godzinie jazdy opustoszałą, zaledwie dwupasmową szosą - ten, kto dbał o stan nawierzchni, zostałyby rozstrzelany w każdym z protektoratów nowo-afrykańskich, tam nawet szutrówki były równiejsze od tej trasy - zacząłem tracić kontakt z Pajakiem. To był wyraźny ślad, że tu nie sięgały już systemy komunikacyjne i skaningowe Zarządu Dróg Międzykontynentalnych. Chwilę później dostrzegłem opustoszały parking przy na wpół zawalonym wiadukcie. Tutaj nawet mój satelitarny wideofon nie miał zasięgu. Znalazłem więc miejsce spełniające nasze wymagania. Kiedyś musiał to być drogowy port przeładunkowy dla sporego miasta. Sądząc ze stanu urządzeń, już nieistniejącego...

Na ogromnym betonowym placu wciąż stało kilkadziesiąt wozów i naczepek w różnym stanie rozkładu. Świtało, kiedy skręcałem między wraki i wolno toczyłem się w kierunku największego ich skupiska. Na kolanach położyłem obrzyna stanowiącego standardowe wyposażenie antypirackie w AfroChinach. Dopiero teraz dotarło do mnie, że zjeżdżając z bronią do Strefy Zdemilitaryzowanej zapewne złamałem tutejsze prawo.

Zatrzymałem wóz w takim miejscu, by był niewidoczny ze znikającej za drzewami trasy. Zeskoczyłem na popękany beton i podszedłem do tablicy rozdzielczej naczepy. Wprowadzenie kodu trwało sekundy. Wielkie hydrauliczne podpory wysunęły się z podwozia i z głuchym hukiem opadły na nawierzchnię. Ramiona dźwigarki uniosły z przegubu

platformę obciążoną czterema kontenerami. Pozostało tylko zniszczyć wszystkie identyfikatory. A to wymagało raptem jednego naciśnięcia klawisza.

Właściwie mógłbym się już stąd zabierać, zwłaszcza że z każdą godziną szanse na wpadkę rosły. Jednakże zwyciężyło poczucie obowiązku. Nowiutkie plandekrany naczepy kontrastowały z pozostałymi wrakami. Poza tym były dość drogie i wydało mi się marnotrawstwem zostawianie ich tutaj. Ileż to roboty, jeden wyłącznik, kilka zacze­pów... A kontenery grubego niejedno już widziały i wiele więcej przeszły. Zawsze takie wybieraliśmy do przemytu, najmniej się rzucały w oczy.

Raz jeszcze rozejrzałem się po okolicy, ale nie zauważyłem jakiegokolwiek ruchu. Po latach spędzonych w nowoafrykańskiej aglomeracji ta cisza, ten spokój wydawały mi się wręcz nierealne. Wsiadłem do kabiny i przejechałem ciągnikiem parę metrów.

Wypuściłem robota diagnostycznego z jego leża - po cholere się męczyć, skoro maszyna może wykonać całą akrobatyczną robotę - i podszedłem do tablicy rozdzielczej, żeby wyłączyć zasilanie hologramów. Z nawyku omiotłem wzrokiem wszystkie przyrządy. Sprawdź trzy razy to, co sprawdzasz raz. Cholerne przyzwyczajenie... Moją uwagę przykuł wskaźnik nacisku na łapy nośne. Wskazywał ponad sto sześćdziesiąt ton! Mechanicznie sięgnąłem do przełącznika zwalniającego balast, gdy uświadomiłem sobie, że przecież nie miałem żadnego obciążenia. Wóz był pusty, o to w tym przekręcie chodziło. A skoro tak, to dlaczego wskaźniki pokazują, że kontenery są pełne?

Wstukałem kod raz jeszcze i sprawdziłem systemy. Wszystko się zgadzało. Sprawdziłem podziałki na siłownikach, wskazywały to samo, kontenery były najwyraźniej pełne.

- O co tu chodzi? - pomyślałem na głos i przeszedłem na tył naczepy.

Pająkowaty robot diagnostyczny człapał za mną, czekając na rozkazy, ale na razie nie myślałem o nim. Z tego miejsca miałem całkiem dobry widok na sporą część placu. Wszędzie panowała cisza i bezruch. Nagle, daleko na skraju lasu coś się poruszyło. Jedna... dwie... wiele krępych, szarych sylwetek. Przypadłem do ściany kontenera i nerwowo

ściągnąłem broń z ramienia. Do wozu miałem zaledwie kilka kroków, tamci byli chyba o kilometr. Ale biegli szybko, tyle że nie prosto na mnie. Skupiłem wzrok na filigranowych sylwetkach, które raptem rozpierchły się we wszystkie strony.

- O ja pierdołę! - jęknąłem. - Zwierzęta? Tu są żywe dzikie zwierzęta?!

Tego to nawet na zadupiach kopalń Rwandy nie dało się zobaczyć. Rogate czworonogi nieznanego mi gatunku znikwały właśnie w podskokach za spaloną, na wpół zdemontowaną ciężarówką stojącą na skraju parkingu.

Gdzie ja trafiłem? Serce EUropy, najbardziej zurbanizowanego ze wszystkich kontynentów, a tu dzikie zwierzęta biegają. Nikt mi nie uwierzy, kiedy to opowiem.

Raz jeszcze sprawdziłem, czy nikogo nie ma w zasięgu wzroku, i zabrałem się za zrywanie plomb. Teraz i tak nie miało znaczenia, czy zerwę je sam, czy ktoś z miejscowych to zrobi, o ile są tu jacyś miejscowi. Elektroniczne zabezpieczenia zamków pozostawiłem maszynie Pająka - wystarczyła minuta i już mogłem wcisnąć przycisk zwalniający klapę luku ładunkowego.

To, co zobaczyłem wewnątrz, sprawiło, że stanąłem z otwartymi ustami. Kontener był wypełniony lśniąca nowością skrzyniami, pudłami i pojemnikami, na których widniały krwiste emblematy United Arms of Africa. Broń! Wiozłem przez pół świata sto sześćdziesiąt ton najnowocześniejszej broni! Nic dziwnego, że federaści siedli na grubego...

- I po co ci to, brudasie, było? - doszły mnie z tyłu słowa wypowiedziane czystym panangielskim.

Brudasie? Nie zdążyłem się odwrócić, a ktoś wykręcił mi rękę, inny odebrał obrzyna. Wciąż nie widząc swoich prześladowców, poczułem, że mnie przeszukują. Jedno szarpnięcie mocnych rąk i już stałem twarzą w twarz z postawnym mężczyzną nie pierwszej młodości o charakterystycznej fizjonomii - z kwadratową szczęką, złamanym nosem i siwymi włosami przyciętymi „na żołdaka”.

Jak mnie te skurwiele podeszły? Musieli siedzieć gdzieś w tym złomie!

- Miałeś, frajerze, odstawić naczepę i spierdalać - stwierdził wojak z bezpiecznej odległości. Zbytek ostrożności, dwa draby stały dosłownie o krok, mierząc do mnie z porzdewiałych rewolwerów. - Tak czy nie?

Zaskoczony, skinąłem głową.

- To po kiego pakowałeś łapy do naszych kontenerów? - Wyciągnął papierosa z pomiętej papierowej paczki. Najwyraźniej zamierzał go zapalić.

- Nie rozumiem... - wyszeptałem.

Zgodnie z prawdą, bo nic a nic z tego nie rozumiałem. Czemu ten facet uważa, że mój ładunek należy do niego? Uśmiechnął się, prawie życzliwie, i wskazał kontenery.

- Wiesz, co tam jest? - zapytał.

- Mniej więcej. - Trudno było zaprzeczyć w tej sytuacji.

- I to jest twój problem - powiedział i rzeczywiście zapalił papierosa. Do tej pory coś takiego widziałem tylko na filmach. Chyba zauważył moje nadmierne zainteresowanie tym, co robi, bo pytająco podniósł lewą brew. Wyjął papierosa z ust i uśmiechnął się z politowaniem. - Tego też już u was zakazali?

- Dobre dwadzieścia lat temu. Nikotyna co roku zabijała...

- Ludzie też zabijają, a są od nikotynej bezwzględniejsi, i co? - przerwał mi w pół zdania. - Jakoś nikt nikomu nie zabrania żyć, pod warunkiem, że ten drugi nie jest Polakiem. Zresztą, nieważne. Zobaczyłeś coś, czego nie powinieneś być widzieć. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła...

Chociaż mówił to całkowicie spokojnym tonem, zadrżały mi nogi. U nas też likwiduje się przypadkowych świadków... i to nie tylko na filmach.

- Nie sypnę, daję słowo, że nie sypnę! - wyrzuciłem z siebie szybko. - Nie obchodzi mnie, co zrobicie z tą bronią. I tak szuka jej cały wydział federastów, mnie przy okazji też, więc...

- Nikt ciebie nie szuka. - Facet zarechotał, a pozostali, na których dopiero teraz zwróciłem uwagę, wraz z nim.

Było ich już co najmniej kilkunastu, ubranych w maskujące stroje, niektórzy dzierżyli prymitywną broń palną. Zapewne pamiętającą

jeszcze dwudziesty wiek.

- Żyjesz w świecie pozorów, kolego - tłumaczył siwy. - Ta broń miała trafić do nas, ty miałeś o niej nie wiedzieć. Rozumiesz?

Wyraz mojej twarzy jeszcze bardziej rozweselił otaczających mnie coraz ciaśniejszym kręgiem ludzi, nie na tyle jednak, by opuścili lufy rewolwerów wymierzonych w moją głowę.

- Byłeś pionkiem w wielkiej grze, koleś - ciągnął ich prowodyr.

- O czym wy, do kurwy nędzy, mówicie?! - jęknąłem; ciekawość wzięła górę nad uczuciem strachu w obliczu niechybnej śmierci.

Jakby jeszcze im było mało tajemnic, jakiś człowiek w śmiesznym hełmie z siatką maskującą podbiegł do siwego i zameldował się przepisowo jak żołnierz na dwuwymiarowym filmie.

- Panie majorze, melduję, że... - zawahał się na mój widok, zbliżył do przełożonego i szepnął mu coś na ucho.

Mój rozmówca spojrział w górę, skrzywił się, jakby go coś zabolalo, i wykonał kilka szybkich gestów, najwyraźniej zrozumiałych dla jego ludzi, bo zgromadzeni wokół zareagowali natychmiast. Część zniknęła w złomie, inni kryjąc się, pobiegli ku pobliskiej ścianie lasu. Tych paru, którzy pozostali, zajęło się maskowaniem naczepy. Podłączyli dość archaicznie wyglądający palmtop do gniazda plandekranu i po kilku sekundach zamiast znaku lokalnej korporacji transportowej na burtach naczepy pojawiły się ogromne plamy rdzy i brudu. Mogłem iść o zakład, że teraz nikt by nie zdołał odróżnić mojego nowiutkiego wozu od pozostałych wraków. Jeżeli to faktycznie były wraki...

Mężczyzna zwany majorem skinął tymczasem na goryli, a ci opuścili wreszcie broń, choć jej nie schowali. Ujęli mnie pod ramiona i zaprowadzili do szoferki.

-Wgraj to do jednostki centralnej - polecił major, wręczając mi niewielki dysk żelowy.

- Co to... - chciałem zapytać, ale nie dał mi skończyć i nieomal wepchnął dysk do ręki.

- Rób, co mówię! Nie mamy czasu na pieprzenie o dupie Maryni! - Goryle znów we mnie celowali.

Nie miałem wyjścia. Wsunąłem dysk do czytnika i aktywowałem zgrzywanie danych. Trwało to chwilę, zbyt krótką jak na tradycyjne łamanie kodów. Wiem, bo parę lat zajmowałem się kradzieżami samochodów na przedmieściach Kapsztadu. Dobrze zabezpieczony wóz, a nad tym ciągnikiem popracowaliśmy wcześniej z Pajakiem, potrafił bronić się przed włamaniem do centralnej jednostki sterującej nawet kwadrans. Oni pokonali wszystkie zabezpieczenia w ciągu niespełna trzech minut... Jak? Na bogów, jak? Patrząc na muzealny złom, z którego korzystali, nie chciało się wierzyć, że ich sprzęt przechytrzy robota diagnostycznego drugiej generacji. A jednak... Zasilanie siadło natychmiast i w jednej chwili znaleźliśmy się w półmroku. Pokryte polimerami szyby antyodblaskowe powoli ciemniały. Światło dochodziło tylko spoza otwartych drzwi, w których stał major. Popatrzył na zegarek.

- Szlag! - syknął. - Mam nadzieję, że zdążyliśmy...

- Co znaczy: zdążyliśmy? - spytałem.

- Powiedzmy, że nie wszystko, co ci do tej pory mówiono, jest prawdą - odparł wymijająco, zniżając głos do scenicznego szeptu. - Dobry jesteś z historii?

Gest oznaczający „o tyle, o ile” chyba mi nie wyszedł. Zaryzykowałem odpowiedź, chociaż na dźwięk jego słów poczułem w gardle suchość Sahary.

- Trochę...

- Ile to jest „trochę”? - Facet beznamiętnym tonem kontynuował przesłuchanie.

- A jakie to ma znaczenie w tej sytuacji? - Poszło lepiej niż myślałem, choć musiałem odchrząknąć. - Rekolonizacja i te sprawy...

- Rekolonizacja... - Uśmiechnął się ponuro. - Co ty wiesz o Rekolonizacji? To dla ciebie puste hasło, prawda? Święto. Po prostu data w kalendarzu.

- W szkole mnie tego nie uczyli - przyznałem.

- Fakt. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Zapomniałem, że w dwa tysiące dwudziestym szóstym przestano uczyć historii w szkołach

powszechnych. Teraz wiedzę o zdarzeniach sprzed lat czerpie się z ilustrowanych tabloidów albo trójwymiarowych filmów. Głównie sensacyjnej pulpy.

- To źle? - Nie bardzo rozumiałem, do czego zmierza.

- Żartujesz chyba. - Spojrzał mi prosto w oczy.

Wzruszyłem ramionami - bynajmniej nie żartowałem, gównu mnie obchodziła jakaś tam historia. Liczyło się życie, tu i teraz.

- Wcale nie. Na Bliskim Wschodzie - nie unikałem jego wzroku - w szkołach religijnych nauczali historii do dwa tysiące czterdziestego. A dzisiaj nie został tam kamień na kamieniu...

- Kolejne rewelacyjne odkrycie wszechwiedzącego kanału Discovery? - Pokręcił głową i rzucił niedopałek na podłogę wozu.

Chciałem zaprotestować przeciwko takiej profanacji, ale szturchnięcie łufą w żebra skłoniło mnie do milczenia.

Siwy nadstawił ucha. W oddali rozległ się odgłos przypominający pomruk gromu, tyle że znacznie dłuższy. Po chwili doszedł nas ponownie, tym razem ze znacznie bliższej odległości. Trzeci wprawił w drżenie wszystkie nieprzymocowane przedmioty w szoferce. Major wcisnął się do kabiny. Położywszy palec na ustach nakazał milczenie. Siedzieliśmy, gapiąc się w granatowy owal szyberdachu. Nagle zrobiło się ciemno, zauważyłem, że po betonie obok wozu przesuwają się cienie. Coś nad nami zawisło. Coś dużego. Goryle nerwowo mierzyli w podsufitkę, ich dowódca przygryzał tylko wargę. Cztery gromy niemal rozerwał mi uszy. Na zewnątrz podniosła się chmura pyłu, ale szybko została wciągnięta przez dziesiątki niewielkich wirów, które powoli słabły i rozpyływały się w powietrzu.

- Blisko było - szepnął jeden z goryli.

Major tylko skinął głową.

- To jeszcze nie koniec. - Odwrócił się do mnie.

- Co to było? - zapytałem.

- Latająca forteca - udzielił lakonicznej odpowiedzi. - W pełni zrobotyzowane jednostki patrolujące zdemilitaryzowaną strefę nadgraniczną. Oficjalnie pilnują granicy, ale tak naprawdę są tutaj tylko

po to, żeby nie strzeliło nam do głowy nic głupiego. Reagują na każdą transmisję ze strefy. Na każdy ślad promieniowania elektromagnetycznego odbiegającego od normy. To dlatego nie ma tu zasięgu sieci komunikacyjnych. Znajdujesz się w strefie kompletnej elektronicznej ciszy. Jeśli chcesz uziemić przeciwnika, zabierz mu możliwość porozumiewania się na odległość. Tego uczyli nas w akademii wojskowej... Czujniki najbliższej stacji pomiarowej zarejestrowały zbyt długi postój twojej ciężarówki poza bazą, co tutaj jest niedozwolone. Dlatego wysłano tę jednostkę na patrol. Na szczęście przezorny zawsze ubezpieczony. Podstawiliśmy na drodze parę kilometrów stąd wóz imitujący twój sygnał, dlatego musiałem zdezaktywować twoje komputery. Żeby zmylić trop. Forteca właśnie namierza uprowadzony kontener z gorzałką. Mamy parę minut, zanim wyeliminuje cel i wróci do trybu wyczekiwania.

- Co znaczy: wyeliminuje?

- No, namierzy i zniszczy, a co myślałeś?

- Mam nadzieję, że... - zacząłem niepewnie.

- ...że nikt przy tym nie zginie? - zwerbalizował bez ogródek to, co mnie w głębi duszy niepokoiło.

Skinąłem głową.

- Te maszyny są budowane po to, by niszczyć i zabijać - odpowiedział wymijająco.

- Posłałeś swoich ludzi na pewną śmierć?

- Moi ludzie wiedzą, co to służba, posłuszeństwo, wierność - rzucił oschle. - To byli żołnierze.

Byli. .. On już ich skreślił. Co za człowiek!

- Ale wracając do naszych baranów... - Major zmienił temat. - Pogadajmy lepiej o tobie.

Mogliśmy pogadać, skoro chciał. Zważywszy na okoliczności odmowa nie była zresztą możliwa. Poza tym wołę, jak się o mnie mówi w czasie teraźniejszym.

- Wspominałeś o Rekolonizacji. A wiesz, co ten termin tak naprawdę znaczy? - drażył.

- Noo... Zaludnienie i rekultywację opuszczonej Afryki.

- A dlaczego ją ponownie zaludniono? - pytał dalej. - I kiedy?

To akurat wiedziałem. Każdy to wiedział. Opijaliśmy to wiele razy.

- W dwa tysiące dwudziestym - wyrecytowałem - Chiny i Indie uzyskały mandat ONZ zezwalający na rekultywację niezamieszkaných terenów Afryki i prawa do wydobywania wszystkich surowców mineralnych.

- Gówno prawda! - Rzucił to takim tonem, że mi skóra na plecach ścierpła. Niżej też. - Opowiem ci, jak było w rzeczywistości. Ta wiedza pewnie do niczego ci się nie przyda, ale może zrozumiesz, co my tu dziś robimy...

Zeskoczył na oczyszczony z pyłu beton i oparłszy się plecami o błotnik, sięgnął do kieszeni po papierosy - odmówiłem rzecz jasna - zapalił jednego i zaczął mówić:

- Żeby dotrzeć do sedna sprawy, musielibyśmy cofnąć się o kilkadziesiąt lat. Jeszcze do wieku dwudziestego. Do czasów, gdy Afryka wciąż tętniła życiem... Nie rób takiej zdumionej miny. Osiemdziesiąt lat temu to był rzadko, bo rzadko, ale zaludniony kontynent. Słyszałeś o wirusie HIV? Na pewno słyszałeś. Może nawet gdzieś go złapałeś, raz albo drugi, jeśli nie byłeś ostrożny.

Wtedy nie było na niego lekarstwa. To znaczy było, ale zarezerwowane tylko dla najbogatszych. Afryka cierpiała od AIDS najbardziej, a mimo to nikt się nie kwapił, by przyjść mieszkającym tam ludziom z pomocą. Nikomu nie zależało. Trzy tysiące ofiar WTC to tragedia na skalę światową, telewizja żywi się nią do dzisiaj, a tam miliony marły rokrocznie z dala od obiektywów kamer. I nikogo to nie obchodziło. Już na przełomie tysiącleci mówiono, że prawie trzydzieści procent populacji nosi w sobie wirusa. Oficjalnie rzecz jasna, bo w rzeczywistości tylko co trzeci mieszkaniec kontynentu był wtedy wolny od HIV, co nie znaczy zdrowy... - Przerwał na moment. - Nie wierzysz mi, to jasne, myślisz, że to tylko kolejna spiskowa teoria dziejów wyznawana przez porypaną bandę odszczepieńców?

Skinąłem głową, trochę bezwiednie, zaskoczony rozmiarem bredni,

jakimi mnie karmił, i zaraz nerwowo zaprzeczyłem. Chyba niczego nie zauważył, ale musiałem się na przyszłość pilnować, żeby nie podpaść. Niech gada, niech mówi, co chce - byle nie wydał na mnie wyroku.

- Po co komu śmierć całych narodów? Kto może być aż tak okrutny? Tak sobie pewnie myślisz... No to ci powiem. Władcy cywilizowanego świata przygotowywali w ten sposób wentyl bezpieczeństwa pod nieuchronny konflikt z azjatyckimi molochami. Głównie z Chinami. Od dwa tysiące dziesiątego przestały tam obowiązywać restrykcyjne przepisy ograniczające przyrost naturalny. Europa od stu lat powoli wymierała, Azja wręcz przeciwnie, kipiała demograficznie. Ekspansja żółtej rasy, a przy okazji i waszej, była nieunikniona. I wkrótce doszło do wojny. Najpierw o Bliski Wschód. O ropę. Potem weszliśmy z misją pokojową do Pakistanu, szykował się niezły Armagedon. Ale nagle wszystko ucichło... Staliśmy się sprzymierzeńcami w walce z partyzantkami separatystycznymi i terrorystami. Mój ojciec walczył tam od początku, ja przez ponad dziesięć lat od podpisania Traktatu Bengalskiego, na mocy którego oddano dwie trzecie totalnie wyludnionej już Afryki pod zarząd Chin i Indii. Bogactwa naturalne, żyzne ziemie, co kto chce. Byle dalej od białych.

Podczas tej opowieści wypalił papierosa prawie do filtra i od razu odpalił od niego kolejnego. Ja w tym czasie stałem i patrzyłem pod nogi, zastanawiając się, po co mi to wszystko mówi. W tanich filmach szwarczarakter opowiada o swoich planach ofierze, by wiedziała, co traci i dlaczego przegrała. W tanich filmach bohater zawsze pokonuje oprawcę, lecz ja nie grałem w filmie, przed sobą zaś miałem najprawdziwszego szaleńca.

- To była perfekcyjnie zaplanowana, długofalowa operacja - ciągnął major. - Część tego planu znasz. EUropa, podówczas jeszcze USA i odradzające się Imperium Rosyjskie zawarły w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku tajny pakt, na mocy którego z pełną świadomością dopuściły do wyginięcia całych narodów. A zrobiły to z prozaicznego powodu: by uniknąć wojny o przestrzeń życiową na swoim terytorium. Po Bengalu przeludnienie w Azji skończyło się z dnia

na dzień. Żywna Afryka mogła wyżywić kolejny miliard Hindusów i tyle samo Chińczyków. Miała olbrzymie pokłady niewykorzystanych surowców. W zamian za traktaty pokojowe oddano wam we władanie dwie trzecie tego kontynentu... Ale to tylko jedna strona medalu. Drugą, kto wie czy nie ważniejszą, był ostateczny koniec państw narodowych. Powstały nowe imperia. Amerykanie na mocy zawartego paktu zjednoczyli siłą swoje kontynenty, zdobywając na wyłączność pola naftowe Meksyku i bogactwa naturalne zadłużonego nad miarę interioru. EUropa zajęła to, co jej przypadło z rozbioru Afryki. Strefa buforowa rozpościerała się od Gibraltaru aż po Casablanca, Chartum, dawne Emiraty Arabskie i Iran. Zmiażdżony podczas trzech dekad wojen bliskowschodnich islam przestał praktycznie istnieć. Rosja, a właściwie już Federacja Rosyjska odzyskała większość ziem utraconych po rozpadzie Związku Sowieckiego i kontrolę nad centralną Azją, tworząc podwaliny pod nowe dynastyczne Imperium i krwawo dławiąc rebelie byłych republik.

Jeśli myślał, że powiedział coś ciekawego, to się mylił. Na Discovery często o tym mówili, choć tam przedstawiano te procesy w zupełnie innym świetle. Świat się po prostu konsolidował po erze wojen wyznaniowych. Zmierzał ku monolitycznym kulturom kontynentalnym. Zanikały granice, konflikty etniczne i rasowe. I od trzydziestu lat nie było żadnych wojen. No, prócz tego niedawnego incydentu nuklearnego na Bliskim Wschodzie. Ale ten wyjątek potwierdzał regułę.

- To wszystko już z grubsza wiedziałeś. Pewnych faktów nie da się ukryć, można je za to przedstawić tak, by wydawały się niegroźne, ba, zbawienne nawet. Można kłamać, mówiąc prawdę. I dlatego w tym miejscu moja opowieść zacznie się różnić od tego, co ci przez lata wpajano. Nie wszyscy godzili się na proces wielkiej asymilacji, ale to nie stanowiło problemu. Skoro poświęcono ludność całego kontynentu dla osiągnięcia kruchego status quo, to czym był los jednej czy nawet kilku nacji sprzeciwiających się polityce totalnej globalizacji. Megapaństwa potrzebowały miernych, ale wiernych obywateli. Proces ogłupiania mas,

jak już mówiłem, trwał przez całe dekady. Ograniczano programy nauczania, indoktrynowano przez odmóżdżającą rozrywkę, likwidowano krok po kroku przywileje biedniejszej części społeczeństwa. Szybko i bezwzględnie rozprawiano się z opornymi. Terroryzm stał się hasłem, które usprawiedliwiało każdą niegodziwość wobec własnych obywateli. Jesteś z nami albo przeciw nam! Proste hasło, które ludzie o pustych głowach szybko podchwycili. Staliśmy się mięsem armatnim powstającej na naszych oczach cywilizacji czy raczej systemu. Tak to sprytnie zorganizowano. To my walczyliśmy przez całe dziesięciolecia o wolność i wielkość EUropy na wszystkich frontach, a gdy przyszło wynagrodzić tę daninę krwi i potu, odpłacono nam tym... - Wskazał las wokoło. - Ale dzięki tobie, przyjacielu, to się już wkrótce zmieni...

Gdzieś znów się rozległ przeciągły huk gromu. Major schronił się w szoferce.

- Przywiozłeś nam nadzieję - powiedział.

- Ale skąd wiedzieliście...

- Pająk mówił, że jesteś kumaty gość - stary roześmiał się po raz pierwszy od dłuższej chwili - a zadajesz takie głupie pytania.

- Paj ąk? - Aż mi szczęka opadła.

- Tak, Pająk. Twój partner to nasz człowiek. Jeden z wielu, którzy pracują na rzecz Sprawy. To on zaplanował tę operację. Nie było żadnej wyspy, to tylko przykrywka, żeby zwabić cię poza teren kontrolowany.

Żebyś dostarczył nam narzędzi do zemsty za lata upokorzeń.

Pająk mnie wrobił?! Najlepszy kumpel, przyjaciel prawie! Szarpnąłem się, odpychając jednego z goryli. Drugi natychmiast osadził mnie na fotelu żelaznym chwytem za ramię. Nie słyszałem, czy się śmiali, bo wszystko zagłuszył zbliżający się huk silników pulsacyjnych nadlatującej fortecy.

- Nadal nie rozumiesz? - zapytał major, kiedy już zrobiło się cicho.

-Nie!

- Słyszałeś kiedyś o kraju zwanym Polską?

Pokręciłem głową. O ile pamięć mnie z nerwów nie zawodziła, w telewizji nigdy nie wspomniano takiej nazwy.

- Kiedy czterdzieści lat temu zakończyliśmy ostatnią kampanię przeciw muzułmanom - mówił spokojnie, wcale niezdziwiony moją ignorancją - pozwolono nam, tak jak to było ustalone, wrócić i osiedlić się na ziemiach, które należały przed wiekami do naszych przodków. Przyznano nam dożywotnio, „za zasługi”, prawo do bezpłatnych dostaw żywności, leków i używek, ale jednocześnie odebrano nadzieję na to, o co walczyliśmy. Mieliśmy wolność i samostanowienie, ale zakazano nam opuszczania strefy. Zabroniono posiadania broni. Tłumaczono to syndromem weteranów. Tym, że po dziesięcioleciach walki byliśmy skażeni zabijaniem. Afgańcy bis, generacja Rambo, jeśli ci to coś mówi... - zawiesił głos.

Nie mówiło, choć samo słowo Rambo zakołatało gdzieś tam w mózgowicy... Czy to nie ta słynna rosyjska sztuka walki?

- Historia lubi się powtarzać - ciągnął. - Dawno, dawno temu, Napoleon posłużył się Polakami w swojej walce, po czym zostawił ich na pastwę losu. Jeszcze wcześniej broniliśmy Wiednia przed turecką nawałą, powstrzymaliśmy hordy Tatarów idące na cywilizowaną Europę, za co nikt nam nawet nie podziękował. Można powiedzieć, jesteśmy przyzwyczajeni, że sprawy przybierają taki obrót. Instrukcja obsługi Polaka: wykorzystaj i wyrzuć. Śmieszne, prawda? Pozwolono nam zamieszkać tylko na ziemiach wyłączonych ze strefy wpływów nowoczesnej cywilizacji, żeby przypadkiem nacja urodzonych ambitnych wojowników nie próbowała upomnieć się o swoje. Z jednej strony mamy szczelny mur graniczny Federacji Rosji, z drugiej nie mniejsze zapory strzegące Europy. Pośrodku jest pas ziemi niczyjej, zwanej niegdyś Rzeczpospolitą, i ludzie niemający prawa do wyjazdu.

Znowu zamilkł, tym razem forteca nie zatrzymała się nad parkingiem, przeleciała bokiem, nad drogą. Widziałem jej opływowe kształty przez boczne okno szoferki. Miała w sobie coś z piękna polującego drapieżnika.

- I po problemie - ucieszył się major i zeskoczył na beton. Tym razem nie zapalił. Znowu zasygnalizował coś swoim ludziom.

Popychany lufami wysiadłem z szoferki. Jak się okazało, słusznie

podejrzałem, iż spora część złomu to kamuflaż. Ledwie forteca zdążyła zniknąć za horyzontem, a już rozpoczął się wyładunek broni. Kilkudziesięciu ludzi w drelichach przenosiło kontenery na małe pojazdy kołowe, z których zrzucano pordzewiałe blachy. W kolejce zobaczyłem też ciężarówkę, która dopiero co wyglądała jak spalony wrak. Niezli byli w tym kamuflowaniu.

- Miejsce, na którym teraz stoimy - powiedział major - to dawna strefa przeładunkowa miasta, które istniało tu przez tysiąc lat i, da Bóg, ponownie rozkwitnie. Miasto to nosiło nazwę Wrocław, Vratislavia, Breslau, zależnie od tego, kto władał tą okolicą. Dzisiaj to tylko nikomu nic niemówiące słowa, choć przez wieki tu właśnie było centrum europejskiej cywilizacji. Ale my wkrótce przywrócimy temu miejscu świetność! Jemu i setkom miejscowości startych z mapy. Dzięki tobie i temu... - Wskazał na przeładowywany sprzęt.

- Jak chcecie za pomocą paru ton hi-tekowego gówna podbić cały świat? - prychnąłem z pogardą. - Oni mają lasery satelitarne, fortece, broń nuklearną! W pięć minut będzie po tym waszym powstaniu.

- Twój świat to kolos na glinianych nogach. - Zapalił któregoś z rzędu papierosa. -Cała ta broń służy zastraszeniu przeciwników, ale daj mi choć jeden przykład jej użycia na własnym terytorium.

- To nie ma sensu... Jeśli wygracie, będziecie istnieć poza nawiasem kontynentalnej społeczności. Nawet tych przydziałów nie dostaniecie. Tylko ogromne zjednoczone gospodarki mogą zapewnić właściwy poziom życia.

- Szwajcarzy do dziś nie włączyli się do procesu integracji i niezle sobie radzą - zbił mój argument, spoglądając na mnie lekceważąco.

Żeby to ja jeszcze wiedział, gdzie leży ta Szwajcaria, o ile to nie jakaś tutejsza legenda albo mrzonka.

-Nie myśl, że jesteśmy szaleni - powiedział stary tonem mentora. - Planowaliśmy tę operację od lat. Wielu naszych pozostało po tamtej stronie muru, gdy wojna się skończyła, części udało się naturalizować. Oczywiście nie naprawdę. EUnijni macherzy myśleli, że masowe przesiedlenia załatwią sprawę. Z wieloma nacjami to się prawie udało,

ale nie z nami. My pamiętamy! Z parunastu milionów emigrantów spora grupka to ludzie nadal wierni Sprawie. To oni organizują dla nas dostawy zakazanego sprzętu, dostarczają dane, szpiegują swoich mocodawców. Pająk, na przykład, to syn jednego z moich podwładnych z czasów kampanii bliskowschodniej. Mogę ci to powiedzieć, bo i tak nie możesz już wrócić do swoich...

Zmroził mnie tym stwierdzeniem.

- Dlaczego?!

- Zginąłeś w tamtej ciężarówce. - Wskazał głową odległą ścianę lasu. - Według komputerów systemu socjalnego nie istniejesz.

- Mam lewe papiery i konto w... - Ugryzłem się w język.

-Wybacz, stary, ale nasza Sprawa jest kosztowna. - Major klepnął mnie w ramię. -Twoje konto, jak i wiele innych, należących do ludzi z przyładowanego półświatka, zostało właśnie oczyszczone z pieniędzy.

- Nie... - To wprost nie mieściło się w głowie. - Nie mogliście...

- Mogliśmy. Pająk, jak wiesz, jest w tym dobry.

Wiedziałem, że Pająk jest dobry w pokonywaniu zabezpieczeń. Kurewsko dobry i to odebrało mi chęć do dalszej rozmowy. Ale major dopiero się rozkręcał.

- W strefie mamy prawie trzysta tysięcy przeszkolonych w walce ludzi. Weteranów, którzy nadal są w pełni sprawni, i drugie tyle młodych, nieostrzelanych, ale znakomicie wyszkolonych. Broni, którą przywiozłeś, wystarczy może dla ośmiu tysięcy, ale uwierz mi, nie byłeś jedynym, który wykonał takie zadanie. Byłeś za to ostatnim kurierem. Teraz nie pozostaje już nic, jak tylko dać sygnał do rozpoczęcia powstania. I możesz mi wierzyć, że tym razem nie będzie to z góry skazana na przegraną romantyczna walka. To my odwalaliśmy przez lata brudną robotę dla możnych tego świata. Zabijaliśmy, podbijaliśmy, odbijaliśmy. Kraj po kraju, naród po narodzie. I zaczniemy zabijać znowu, ale dla odmiany tych, którzy nas zdradzili. Pewnie nie wiesz, ale takich stref jak nasza jest na świecie więcej. Jeśli tylko damy sygnał, za nami pójdą inni, ci, którzy gdzieś tam wciąż czekają na swoją szansę. Przebudzą się ci, których naturalizowano na siłę. Ślązacy, Baskowie, Walonowie,

Irlandczycy, Szkoci, Korsykanie, Bawarczycy, całe Bałkany. Nie wiesz nawet, ilu jest przeciwników tej rzeczywistości. I w EUropie, i poza nią.

Patrzyłem na tych ludzi z rosnącym przerażeniem. Właśnie zamierzali zburzyć istniejący porządek świata. A to oznaczało, że w ogniu przemian zginą miliony...

- A jeśli wam się nie uda? - zapytałem.

- Nie zadawałbyś takich pytań, gdybyś znał historię. - Siwy spojrzał na mnie i rozłożył ręce. - Podejmowaliśmy już jako naród podobne wyzwania. Często z opłakany skutkiem. To nie będzie pierwszy raz, ale tym razem naprawdę warto spróbować...

- Jesteście powaleni...

- Jesteśmy Polakami, przyjacielu, a to coś znaczy - poprawił mnie. - Sam należysz do prastarej rasy, która budowała wspaniałe miasta w czasach, gdy tutaj chodzono w skórach i palono ogniska przed jaskiniami. Spójrz, kim teraz jesteście? A świat mógłby być dziś wasz.

I gadaj tu z takim A na cholerę mi świat z tymi wszystkimi problemami, wojnami i całą resztą cywilizacyjnego gówna. Wielu dałoby się pokroić, żeby mieć żarcie i opiekę medyczną za darmo. Nie lepiej znać swoje miejsce w szeregu? Nie lepiej po prostu żyć między innymi? I kosić kasę, wykorzystując luki w przepisach? Chciałem to powiedzieć, oczywiście bez ostatniego wtrętu, ale powstrzymałem się, widząc ogień w jego oczach.

- Wybacz brak kultury - nagle zmienił temat. - Nie zapytałem nawet, jak ci na imię...

- Pająk wam nie powiedział? - zdziwiłem się z lekką ironią.

- Nie pytaaliśmy. Byłeś tylko narzędziem, jak wielu przed tobą. Miałeś porzucić naczepę i odjechać.

- Ojciec dał mi imię Namanamth. - Wzruszyłem ramionami.

- Namanamth... - Zatrzymał się i zmrużył oczy. - To chyba jakiś liczebnik w gondi...

Zaskoczył mnie, znał język moich przodków. Ale w końcu wspominał, że walczył z naszymi przez dziesięć lat... Pewnie był jednym z tych, którzy okupowali Maharasztrę i starli z powierzchni ziemi Tamilów.

Tak, to było więcej niż prawdopodobne.

- Fakt, to niezbyt typowe imię w moich okolicach, ale ojciec chciał uczcić fakt, że urodziłem się, kiedy miał...

- Czekaj! - przerwał mi. - Już wiem. Przypomniałem sobie. Pająk, cokolwiek o nim mówić, jest niezłym aparatem...

Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Imię jak imię... Major stanął tymczasem za mną i położywszy mi dłonie na ramionach, krzyknął do ludzi, którzy wciąż przenosili skrzynie:

- Bracia! Przyjaciele! Nie tak dawno zastanawialiście się, czy nasza misja ma sens. Zaraz przedstawię wam dowód na to, że tym razem opatrność czuwa nad nami. Poznacie naszego beżowego przyjaciela, prawda? To on przywiózł broń, która będzie kluczem do naszej wolności. Dowiedzcie się zatem, że imię jego, gdyby je dosłownie przetłumaczyć, brzmi Czterdzieści i Cztery!

Co znaczą te słowa, zrozumiałem dopiero wiele lat później. Kiedy nauczyłem się czytać po polsku.

Polowanie na jednorożca



Bazylikę Świętego Piotra przebudowywano wiele razy. Daleka była droga od wizji Bramantego, przez projekty Rafaela, aż do Michała Anioła, który na szkicach tego pierwszego oparł ostateczną wersję świątyni. Tę, znaną nam dzisiaj. Górująca nad Wiecznym Miastem nie tylko głosiła wśród pielgrzymów chwałę Pana, ale także powalała na kolana pięknem i majestatem tych, którym wydawało się, że w Boga nigdy nie uwierzą.

Podobne wrażenie odnosił pielgrzym spoglądający na symbolizujące czterech ewangelistów strzeliste, acz wciąż nieukończone, wieże barcelońskiej Sagrada Familia. Kościół ten jest tak odmienny od wyobrażenia klasycznej świątyni, że człowiek, wkraczając w jego mury, czuje się, jakby wstępował do zupełnie innego świata. Patrząc na niesamowite, obce wręcz kształty budowli, nawet ktoś dobrze obeznany ze sztuką architektury musi przyznać, że jego wiedza jest niczym, w porównaniu z geniuszem Gaudiego.

Nie brak na świecie mistycznych budowli sakralnych, od wieków urzekających pięknem, i nic w tym dziwnego: budowniczo wie katedr czynili wszystko, co w ich mocy, by dzieło było godne Boga. Mając w pamięci te cuda, trudno zrozumieć, czym kierowali się projektanci domu bożego stojącego w samym sercu Białegostoku. Betonowa bryła, przypominająca bardziej hipermarketowy parking aniżeli kościół, niewiele miała w sobie gotyckiej wyniosłości. Nie była też wzorem stylu modernistycznego, a już z pewnością nie wywierała należytego wrażenia na wiernych, którzy całkiem niedaleko mogli znaleźć zacisze do modłów w jednej z pereł europejskiej architektury sakralnej. Tyle że tamten

budynek zdobiły prawosławne krzyże.

Wnętrze betonowej świątyni też było surowe, białe jak oblicze śmierci, chłodne jak jej oddech, mimo że na dworze panował właśnie trudny do zniesienia upał. Drzwi zamknęły się za wchodzącym z głuchym łomotem, lecz nikt z obecnych nie odwrócił głowy.

Przebrzmiały już akordy organów, za chwilę miało rozpocząć się kazanie; kapłan wspinał się po stopniach niewysokiej ambony.

- Jedno jest królestwo w niebiesiech... - głośno powiedział ubrany od stóp do głów na biało mężczyzna o długich siwych włosach i przeraźliwie szczupłej twarzy, wchodząc między ostatnie rzędy pustych ławek. - Czyż nie tak mówi Biblia?

Wierni jak na komendę odwrócili głowy ku idącemu naważ przybyszowi. Otwierający Pismo Święte kapłan zamarł z uniesioną do błogosławieństwa ręką, patrząc z nieskrywanym zaskoczeniem na zbliżającą się do ambony postać. W kompletnej ciszy każde zderzenie podkutych obcasów z marmurem posadzki brzmiało w uszach zgromadzonych niczym uderzenie kowalskiego młota.

- Dlaczego zatem, miast wspólnie głosić chwałę Zbawiciela, rozłupujecie wciąż Królestwo Chrystusowe na kolejne, niewiele różniące się od siebie odłamki? - zapytał przybysz, a głos miał mocny, donośny, choć zarazem bardzo spokojny.

Zgromadzeni w świątyni widzieli go teraz lepiej. Orli, wydatny nos. Zrytą zmarszczkami wychudłą twarz. Pokryte dwudniowym, ale rzadkim zarostem zapadłe policzki. I oczy... Niesamowite, lśniące i tak niebieskie jak królestwo, o którym mówił. Mężczyzna zatrzymał się przy pierwszych ławach. Przyklęknął ostrożnie na jedno kolano i przeżegnał się zamasyście, pochylając głęboko głowę.

- Dla srebrników to czynicie, jak Judasz? - zadał kolejne pytanie, powstając z ironicznym uśmiechem na szerokich ustach. - A może dla chwili złudnej władzy?

- O kim... mowa? - wyjąkał zaskoczony proboszcz. W jego głosie dało się wyczuć niepewność i zbyt twardy jak na te strony akcent.

- O ludziach, którzy przybijają do wrót świątyni karteluski ze swoimi

prawami -odparł spokojnie nieznamomy. - O przepelnionych grzechem pychy slugach bozych buntujacych sie przeciw wladzy innych, nie mniej godnych pogardy kaplanow. O chciwych wyznawcach bozka mamony, opluwajacych w luksusy po sredku morza biedy. O falszywych autorytetach moralnych wyprowadzajacych swoimi postepkami wiernych ze swiatyni. O tych wszystkich, ktorzy zwu siebie protestantami, prawoslawnymi, katolikami, choc tak naprawde, jako dzieci tego samego Boga, zwac sie powinni jedynie chrzescijanami.

Mowiac to, nie spojrzal nawet na ambone, przygladal sie za to uwaznie siedzacych wokol niego ludziom. Wierni bali sie spojrzec mu prosto w twarz, ale gdy odwracal wzrok, niepokojacego starca sledzily dziesiatki par oczu. Czul te spojzenia na plecach. Palace, pelne luku, ale jeszcze nie nienawistne. Na chwile zapadla absolutna cisza.

-Dlaczego przeszkadza pan w odprawianiu nabozenstwa?! - Tym razem pytanie z ambony padlo ostrzejszym tonem. - Za kogo sie pan uwaza...?

Ktos zakasal w jednej z ostatnich law po prawej. Ktos inny natychmiast go uciszy l przeciaga lym sykniem.

-Wiesz, kim jestem. Wy tez wiecie... - Meczyszyna zatoczy l ko lo, rozlozonymi rekami wskazujac na lawy. - Choc nie chcecie w to jeszcze uwierzyc.

-Bluznisz! - krzyknal ksiazd, opierajac sie dloniami o rzezbiona balustrade. Otwarta Biblia popchnieta jego wydatnym brzuchem zsunela sie z podpory i szeszczac kartami, poleciala wprost w wyciagniete dlonie mezcyszyny w bieli.

- Ja bluznie? - Przybysz rozesmial sie i delikatnie wyprostowal zagiete strony.

- Nie masz prawa... - zaczal proboszcz, lecz nie dokonczy l.

Zatrzasniet a z hukiem Swieta Ksiega nie tyle zagluszy l jego slowa, ile wcisnel a mu je z powrotem do krtani. Gl os przybysza wydawal sie teraz niemal szeptem, ale nie bylo w ko sciele osoby, ktora by nie drgnela, gdy rozlegly sie wypowiedziane z wyraza na pogarda slowa:

- A jakie ty masz prawo do bycia pasterzem tej trzody, po tym, co stalo sie w Krzydlicach, Moragu, Piasecznie, Stalowej Woli? Czy twoje

owieczki wiedzą, dlaczego opuszczałeś tamte parafie nocą, po kryjomu, nierzadko w asyście ochrony...?

Nalana twarz kapłana spurpurowiała, zsiniała niemal, oczy wyrażały najpierw bezgraniczne przerażenie, ale po chwili górę wzięła nienawiść, kąciki ust zadrgały nerwowo. Mierz yli się wzrokiem. Kapłan i nieznanomy.

- Ty urbanowa, komunistyczna gnido... - wysyczał wreszcie ksiądz, a jego twarz pojaśniała. - Tak, już wszystko rozumiem. To on cię nasał! Najpierw kłamliwie opisał, a teraz...

- Ten, który mnie przysyła - odpowiedział spokojnie mężczyzna w bieli, przyciskając Biblię do piersi - nie ma nic wspólnego z wymienionym przez ciebie człowiekiem.

- Tak, tak... Już ja doskonale wiem, skąd przychodzisz i kto ci płaci! - Proboszcz tryumfalnie wskazał palcem smutno się uśmiechającego mężczyznę. - Ale mnie tak łatwo nie przestraszysz, komuchu! Solą w oku wam stoimy, bo ludzi nie dajemy ogłupiać i ograbiać w biały dzień!

- A propos ograbiania... - przerwał mu bezceremonialnie człowiek w bieli. - Ta starowinka, którą namaściłeś przedwczoraj, miała całkiem sporo oszczędności w szafie. Chyba jeszcze nie zdążyłeś ich wpłacić na to konto w City Banku, z którego finansujesz...

- Kłamca! Oszczerca! - wydarł się kapłan. Spojrzał błagalnie na swoich parafian, rozkładając ręce w papieskim geście. - A wy co tak siedzicie i patrzycie, kiedy waszego proboszcza prowokatorzy poniewierają?

Przybysz spojrział z rozbawieniem na ławki, w których paru mężczyzn zaczęło się nerwowo kręcić. Trzech właśnie wstawało, zachęcanych kolejnymi wezwaniami kapłana. Siwy wskazał palcem najbliższego z nich. Ubrany w wyświechtany śliwkowy garnitur, pamiętający zapewne wczesnego Gierka, był niższy od niego o głowę i znacznie grubszy.

- A kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem... - powiedział, patrząc prosto w zmrzużone, zimne oczy w kolorze stali. Na wysokim czole wskazanego mężczyzny, mimo chłodu panującego w świątyni, pojawiły się krople potu. Spływały szybko, niknąc gdzieś w krzaczastych brwiach. - Pobijesz mnie, Włodziu, jak tę kobiecinę w zeszyły piątek,

która nie mogła oddać pożyczonych na leki pieniędzy? Skatujesz mnie, jak ją za marne dwieście złotych? A może pogroźisz mi kozikiem, który wciąż nosisz w kieszeni? Tym samym, którym pociąłeś tak dokładnie twarz Jadźki od Sobolaków. Pamiętasz ją na pewno, może i minęło już trzydzieści lat od tamtej chwili, ale przecież to była twoja pierwsza poważna robota, panie... Wsiowy Gangster. Nie lubisz, kiedy chłopcy Rogala na ciebie tak mówią... Nie lubisz, ale musisz słuchać za każdym razem, kiedy idziesz po swoje srebrniki...

Mężczyzna w śliwkowym garniturze zatrzymał się, słysząc te słowa, potem spojrzał niepewnie na twarz kobiety, która siedziała obok niego. Wymalowane wszystkimi odcieniami fioletu, okrągłe z przerażenia czy mówiły same za siebie. Do tej pory Włodzimierz Praszka był dla ich właścicielki kochającym, może tylko nieco surowym mężem. Taksówkarzem z zamiłowania i zawodu. O jego dodatkowych zajęciach nie wiedziała, podobnie jak o wielu innych sprawach domorosłego egzekutora długów pobliskiego lombardu, ale o starym nożu noszonym podobno dla samoobrony musiała wiedzieć na pewno. Pociągnęła osłupiałego męża za rękaw, a on, z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, klapnął ociężale na tyłek, skupiając na sobie spojrzenia najbliższej siedzących.

- I ty, Brutusie, przeciwko mnie? - Palec przybysza powędrował ku następnemu obrońcy księdza.

Wskazany podchodził lekko pochylony z rękami wyciągniętymi jak do walki.

- Myślisz, Pawlik - siwy spokojnie patrzył mu prosto w oczy - że pójdziesz ci ze mną tak łatwo, jak z człowiekiem, którego potrafiłeś tamtej sylwestrowej nocy na drodze za Patykami? On nie mógł się bronić, kiedy ściągałeś go na pobocze. Miał złamany kręgosłup, był całkowicie sparaliżowany, ale mógł mówić... I mówił, ciągle mówił, prawda? Błagał, żebyś się ulitował, żebyś wezwał pomoc, żebyś nie pozwolił mu umrzeć... Wiesz, jak długo jeszcze konał po tym, jak odjechałeś, zepchnąwszy go do wypełnionego śniegiem rowu? Wiesz, co się potem stało z jego rodziną?

Pawlik, a właściwie Paweł, bo zdrobieniem nazywała go tylko żona i paru najbliższych kolegów, szedł nadal w kierunku mężczyzny w bieli, ale w jego postawie nie było już śladu agresji. Szedł jak automat, ręce opuścił, szczęka drgała mu spazmatycznie, oczy zaszyły mgłą. Nie wiedział, co stało się z ofiarą wypadku, nie chciał też wiedzieć, co stało się z rodziną. Pragnął zapomnieć, ale nawet lata picia na umór nie uwolniły go od wspomnień.

- Wmawiałeś sobie, kiedy dopadały cię koszmary, że ten człowiek przeżył - sceniczny szept siwego dotarł do najdalszych rzędów - ale dobrze wiesz, że nie miał najmniejszych szans. Utrata takiej ilości krwi, hipotermia. To był środek naprawdę mroźnej zimy... Ty też nie będziesz miał szans, Pawlik, kiedy staniesz przed obliczem Najwyższego Sędziego. Może gdybyś wtedy nie zabrał portfela, gdybyś nie ściągnął obrączki... Gdybyś choć przestał jeździć po pijaku...

Mężczyzna zwany Pawlikiem upadł na kolana o krok od swojej niedosłej ofiary. Płakał, bełkotał coś niezrozumiale, potem, nie wstając z kolan, rzucił się w stronę ławy. Usiłował chwytać siedzących najbliżej ludzi za nogi, ale oni po prostu się odsuwali.

Trzeci obrońca księdza sam grzecznie usiadł na miejscu, wszelako szmer w kościele narastał. Akustyka była naprawdę znakomita. Każde najciszej nawet wypowiedziane słowo z pewnością było słyszalne równie dobrze w ostatnim rzędzie, jak i tutaj, tuż pod amboną.

- Znam każdy wasz grzech i każde przewinienie - ciągnął siwowłosy, przechadzając się z wolna przed pierwszą ławą. - Mam adres twojej nowej kochanki, Jureczku... To już druga zaliczona sekretarka w tym roku, nieprawdaż? - Wskazany palcem nowobogacki zaśmiał się nerwowo i umilkł, widząc nienawistne spojrzenie eleganckiej żony. - O fagasie z niebieskim focusem, któremu już dwa razy rozorałaś podsufitkę obcasami, też wiem. - Nienawiść w oczach byłej miejscowej miss piękności natychmiast ustąpiła czystemu przerażeniu. - Siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt. - Szczupły chłopak w przydużej marynarce przełknął nerwowo ślinę, aż mu jabłko Adama zatańczyło na łabędziej szyi. - Tyle już ukradłeś z kasy osiedlowego sklepu, w którym pracujesz.

A właściciel nadal myśli, że to on ciebie wykorzystuje, nie płacąc za nadgodziny. A pan listonosz ma może nadzieję, że nikt nie wie, kto zlecał w lipcu włamanie na Antoniukowskiej ?

I znów tylko kilka kroków dzieliło mówiącego od ambony. Proboszcz stał jak skamieniały, przypominając jedną z naturalistycznych rzeźb zdobiących zazwyczaj stare kościoły. Zapewne wiedział już, że przegrał tę walkę, ale wciąż zastanawiał się, kim jest mężczyzna ubrany na białe. W przeciwieństwie do parafian, nawet przez myśl mu nie przeszło, że wiedza, jaką dysponował tajemniczy przybysz, mogła pochodzić z zaświatów.

- A wracając do naszego pasterza... - Szmer rozmów umilkły nagle, jak jęki umierającego, który właśnie dokonał żywota. - Pani Wieczorkowa, proszę zapytać syna po powrocie do domu, gdzie to wyjeżdżał z księdzem dobrodziejem w soboty. A jeśli nie będzie chciał powiedzieć, to może kasety wideo, które znajdują się na plebanii, w skrzyni z drzewem obok kominka, tej dębowej, zamkniętej na kłódkę, wyjaśnią sprawę...

-Zamilcz... proszę zamilcz... - Zdawało się, że ksiądz zupełnie bezgłośnie porusza ustami, a mimo to wszyscy słyszeli, co mówi. Cud, a może tylko efekt kunsztu pozbawionego gustu architekta?

Siwy zamilkł, odwrócił się ku ambonie i wzniosł ramię w oskarżającym geście, lecz zanim się odezwał, inny głos przerwał ciszę. O wiele wyższy w tonacji i znacznie bardziej stanowczy. Dobiegał od wejścia.

- Przedstawienie skończone, panie Lis!

Obejrzeni się prawie wszyscy, prócz mężczyzny w bieli i księdza, który patrzył w tamtą stronę cały czas. Siwy opuścił powoli wyciągniętą rękę i zmełł w ustach ciche przekleństwo, tak ciche, że tym razem nikomu nie udało się go usłyszeć.

Przy wejściu stało trzech mężczyzn w czarnych garniturach. Dwaj potężnie zbudowani o byczych karkach i niemal identycznych twarzach trzymali się za plecami trzeciego, znacznie szczuplejszego i niższego od nich. Niski był, już na pierwszy rzut oka, o wiele starszy od swoich towarzyszy. Miał wysokie, blade czoło, przyprószone siwizną włosy,

wodniste oczy, wąską szczelinę ust niemal całkowicie pozbawioną warg i orli nos, na którym opierały się grube okulary o lekko przyciemnionych szklach. Ci, którzy siedzieli najbliżej, gdyby mieli dobry zmysł obserwacji, mogliby zobaczyć jeszcze jeden szczegół: cieniutką kolistą bliznę na skroni.

- Urząd Ochrony Państwa - oznajmił nadchodzący, pokazując niewielką odznakę, której kształtu z tej odległości nie dałoby się rozpoznać, nie mówiąc już o odszyfrowaniu zdobiących ją napisów. - Proszę wszystkich o zachowanie spokoju i pozostanie na miejscach - dodał, widząc poruszenie, jakie wywołały jego słowa wśród zaskoczonych ludzi.

Rośli blondyni, chyba bliźniacy, stanęli tymczasem za plecami mężczyzny w bieli. Ich przełożony podszedł z przeciwnej strony, przyklęknął przed ołtarzem i się przeżegnał. Potem spojrział prosto w oczy człowieka o nazwisku Lis.

- Edmundzie Lis, synu Stanisławy i Ambrożego - powiedział beznamiętnie, jakby cytował dane z rocznika statystycznego - w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej aresztuję pana za uczestnictwo w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem była próba wymuszania okupów przez zastraszenie i szantaż osób duchownych.

Mężczyzna milczał. Jedno skinienie okularnika wystarczyło, by fachowo założono mu kajdanki i pociągnięto między ławki. Nie bronił się, gdy bliźniacy go wyprowadzali, nie szarpał nawet. Szedł potulnie, niemal bezwolnie, między funkcjonariuszami służb specjalnych, wpatrując się w podłogę. Milczał, ale z jego twarzy nie zniknął ironiczny uśmieszek.

- Proszę o wybaczenie. - Oficer UOP-u omiótł wzrokiem siedzących w ławkach. - Przede wszystkim za to, że tak długo nie reagowaliśmy. Jak państwo rozumieją, musieliśmy poczekać, aż podejrzany zabrnął tak daleko w swoim przedstawieniu, by podczas procesu nie mógł się wyłgać byle wymówką. Zaręczam jednocześnie, że Edmund Lis już nigdy nie będzie się wam narzucał. Dziękuję za zachowanie spokoju i współpracę... Szczęść Boże!

Zdezorientowany nagłym zwrotem wydarzeń proboszcz, nadal tkwiący na ambonie, przeżegnał się nerwowo i patrząc za odchodzącymi, wyjąkał trzęsącym się głosem:

- Bracia moi... i siostry! Oto byliście świadkami... okropnych pomówień... jakie ten oszczerca wypowiedział... nie tylko przeciw wam... ale i... mnie, waszemu pasterzowi... Ale... sprawiedliwość boska, jak widzicie... istnieje!

Zmierzający do wyjścia oficer UOP-u, słysząc te słowa, zatrzymał się w połowie nawy i powoli odwrócił.

- Pan Lis wprowadzie żyje z szantażowania innych ludzi - powiedział beznamiętnym tonem - ale nigdy nie nazwałbym go kłamcą albo oszczercą. Podstawą działalności kierowanej przez niego grupy przestępczej jest doskonały wywiad środowiskowy. Obawiam się, że żaden z postawionych tutaj przez niego zarzutów nie był kłamliwy. Ale tym zajmą się w swoim czasie właściwe organa ścigania.

Wyprowadzany więzień musiał dosłyszeć te słowa, bowiem do uszu zebranych w kościele ludzie doszedł jego głośny śmiech. Na tyle głośny, że zagłuszył nawet kroki mężczyzny w czerni.

Polaryzowane szyby mercedesa przepuszczały niewiele światła. Lis, rozparty wygodnie na tylnej kanapie, spoglądał to na pozbawioną wyrazu twarz szpakowatego mężczyzny, to na skute kajdankami ręce.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - zapytał mężczyzna w czarnym garniturze.

- Jako oficerowi UOP-u czy doktorowi Lewińskiemu, któremu poniekąd podlegam? - odpowiedział pytaniem Edmund i uśmiechnął się rozbrajająco.

- Jako przełożonemu. - Zapytany nie przejawiał ochoty do żartów.

- Jako przełożonemu mogę ci powiedzieć jedno, Adamie, byłeś znakomity w roli jeopka-roztropka. A teraz zdejmij mi ten złom. - Pochylił się do przodu i podniósł skute ręce.

- Przykro mi, Mundek, ale kluczyki ma któryś z braci Golców. -

Lewiński skinął głową w stronę tylnej szyby, przez którą było widać niewyraźny kształt maski jadącego za nimi dżipa z ochroną. - Będziesz musiał znieść ten dyskomfort jeszcze przez jakiś czas.

- Dlaczego mi to robisz?! - zachnął się Lis, opadając teatralnie na siedzenie.

- A dlaczego ty nam to zrobiłeś? - Tym razem Lewiński odpowiedział mu pytaniem na pytanie. - Nie po to cię szkoliliśmy, żebyś epatował ludzi takimi przedstawieniami...

- A po co? - Lis spojrzął z rozbawieniem na szarą w tym oświetleniu twarz przełożonego. - Powiedz mi, po co tak naprawdę mnie szkoliliście?

- Twoje zdolności są niezbędne dla obronności kraju.

- Gówno prawda! - krzyknął siwy, wciskając się w kąt. - Bóg, Honor, Ojczyzna -akurat na te przykazania zabrakło miejsca w waszym katechizmie moralnym! Już bardziej pasują: Szmał, Koryto, Władza. Używacie mnie do eliminowania konkurencji do żłobu i tyle.

Lewiński spojrzął na niego z wyrzutem.

- Ujawnienie księdza pedofila uważasz za słuszne posunięcie, ale urzędnika, który bierze łapówki już nie?

- Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt - Lis uśmiechnął się złośliwie - że dotyczy to tylko urzędników powiązanych z opozycją, to masz rację, nie uważam. Nie powiesz mi chyba, że kiedykolwiek ktoś z naszego zespołu otrzymał zadanie rozpracowania człowieka z kręgu premiera?

Lewiński nie odpowiedział. Mógł wprawdzie skłamać, że i takie zadania zlecano zespołowi, ale Lis nie dałby się nabrać. Był prawdziwym asem w tej grupie specjalnej.

Znany niegdyś wizjoner. Na tyle znany, że telewizja zorganizowała z nim pokazowy program. Starał się wtedy na oczach widzów rozwikłać trzy zagadkowe - choć rozwiązane wcześniej przez policję - zniknięcia, mając do dyspozycji tylko rzeczy należące do ofiar. Dwie z trzech diagnoz okazały się trafne. Ostatnia była tylko lekko chybiona. Dawne

dzieje.

Lewiński trafił na niego przypadkowo, przerzucając od niechcienia kanały. Dzień wcześniej zlecono mu potajemne znalezienie haka na jednego z kontrkandydatów do fotela prezydenta. Facet z „niewłaściwej” opcji politycznej miał za dobre wyniki w sondażach. Adam, mimo stosunkowo zaawansowanego wieku, należał do ludzi myślących perspektywicznie, nie miał ograniczników typowych dla urzędasów. Jak to mawiał jego osiemnastoletni syn: kumał. Patrząc na wyczyny Lisa, uznał, że jasnowidz to idealne narzędzie do wykonania nietypowego zadania. Jeden mail wystarczył, by nazajutrz spotkali się w kawiarni.

Zanim zdążył zadać pytanie, jasnowidz powiedział krótko: „Pięć tysięcy to trochę mało, panie Lewiński”. To było więcej niż rekomendacja. Dokładnie tyle Adam miał mu zaproponować za informacje kompromitujące kontrkandydata. I nie przedstawił się własnym nazwiskiem.

Dał dziesięć tysięcy, chociaż jasnowidz zastrzegł, że nie ma gwarancji na zdobycie haków. Człowiek przecież mógł być czysty jak łąza. To było ryzyko, ale z drugiej strony... Który polityk nie ma czegoś za paznokciami? Był jeden warunek: Lis musiał znaleźć się w tym samym pomieszczeniu, co cel. To akurat nie stanowiło problemu. Kampania wyborcza rozkręcała się na dobre. Wszyscy kandydaci dwoili się i troili, by przekonać wyborców do swoich osób i programów. Najbliższe spotkanie wypadło na drugi dzień w Poznaniu. Pojechali tam we dwóch, Adam został w samochodzie, Lis poszedł na wiec i mając podrobioną przepustkę, bez kłopotu dotarł do otoczenia kandydata. Wrócił po kwadransie i wręczył Lewińskiemu kartkę papieru z długim ciągiem cyfr, datą i jakimś niezrozumiałym słowem. Numer i hasło do konta. Tajnego konta w szwajcarskim banku. Sporo tego było, w sam raz tyle, ile kosztowało przepchnięcie pewnej ważnej ustawy. Telefon „życzliwego” wystarczył, by lider rankingów wycofał się z wyścigu.

Przełożeni Adama nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, jak ich podwładny zdobył te informacje, ale nagroda go nie ominęła. Otrzymał przepustkę do większych pieniędzy i Naprawdę Wielkiej Polityki.

Wtedy też postanowił zagrać *va banque*. Przez kilka miesięcy w sekrecie studiował pilnie wszelkie materiały dotyczące paranauki. Telepatia, telekineza, prekognicja, byty astralne. Zdolności nadprzyrodzone, o których napisano nie mniej, niż o mitycznej Atlantydzie. I dla wielu równie fantastyczne, jak zaginiony kontynent. A przecież Edmund Lis istniał naprawdę i choć Lewiński spijał śmietankę, faktycznie to właśnie nadprzyrodzone zdolności jasnowidza pozwoliły na usunięcie najgroźniejszej przeszkody dla prezydentury, a potem kilku pomniejszych przeciwników. O ile Lis był jasnowidzem czy raczej, bardziej naukowo to ujmując - prekognitą. Kilka prostych eksperymentów dało Adamowi do myślenia. Jeśli rzeczywiście miał dar jasnowidzenia, jak mówił, dlaczego zawsze żądał kontaktu fizycznego z celem?

I dlaczego nigdy nie ostrzegął przed trudnościami? A parę się pojawiło, zanim kampania szczęśliwie dobiegła końca. Chyba że jego wizjonerstwo było jedynie przykrywką, maską... Maską, pod którą krył się telepata. Genialny, ale tylko telepata. A to znacznie ograniczało pole manewru. Czym innym jest przewidywanie przyszłości, a czym innym możliwość monitorowania myśli innych ludzi. Władza nad przeszłością jest niczym wobec władzy nad tym, co jeszcze się nie wydarzyło. Ale, pomyślał Lewiński, skoro telepatia okazała się faktem, także pozostałe zdolności nadprzyrodzone mogą istnieć. A jeśli istnieją, muszą także być prekognici, musi być chociaż jeden. Gdyby zyskał potrzebne fundusze, mógłby stworzyć tajne centrum operacyjno-werbunkowe dla kolejnych paraagentów. Ale to oznaczało zdradę sekretu. I prawdopodobnie ośmieszenie się w oczach pragmatycznych przełożonych.

Zaryzykował jednak. Postawił sprawę jasno. Zaczął od sprawdzenia Lisa. Ten, choć z niechęcią, przyznał mu rację, nie miewał żadnych wizji, potrafił wszakże odbierać cudze myśli. Poddał się serii testów potrzebnych do dokładnego określenia jego zdolności.

Wreszcie nadszedł dzień próby. Adam w nagrodę za zasługi stanął przed Komitetem - najbardziej wpływową grupą ludzi w partii. Pamiętał ten dzień, jakby to było zaledwie wczoraj, choć minęło już tyle miesięcy.

Komitet zbierał się regularnie w willi jednego z prominentnych działaczy, członka elitarnego klubu władców. Gdy zakończono omawianie ważniejszych spraw, Adam został poproszony do saloniku. Członkowie Komitetu siedzieli za suto zastawionym stołem. Pięć twarzy znanych z telewizji i on stojący przed nimi, z tomami akt pod pachą i naprawdę szalonym pomysłem.

- Panie Lewiński - zagał przewodniczący klubu parlamentarnego, pobieżnie przerzucając dostarczoną przez Adama dokumentację - powiem wprost. Propozycja, jaką pan przedstawił Komitetowi, jest idiotyczna, ale zgodnie z obietnicą i mając w pamięci, co pan dla nas zrobił, nie wywalę pana za drzwi od razu i wysłucham pańskiej obrony. Niemniej, zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to - wskazał papiery - okaże się jakimś humbugiem, pożegnamy się na stałe. Żąda pan pięciu milionów złotych na zorganizowanie komórki kontrwywiadu werbującej agentów...

- ...mających zdolności paranormalne - podpowiedział Adam.

- Dokładnie, agentów paranormalnych, cokolwiek to znaczy. Proszę mi powiedzieć, jak pan to sobie wyobraża? Wie pan przecież, jak wygląda budżet resortu. Nie możemy wpisać kilku milionów do rubryki „wydatki własne”. Ma pan też świadomość, że za te pieniądze możemy mieć kilkudziesięciu najlepiej wyszkolonych normalnych specjalistów.

- Nie licząc sporej ilości najnowocześniejszego sprzętu szpiegowskiego - dodał wicemarszałek Sejmu.

- Dokładnie. Pan natomiast, z tego co widzę, nie oferuje niczego konkretnego. Równie dobrze może się okazać, że nie znajdziemy nikogo o takich zdolnościach, prawda?

- Teoretycznie... - Adam zaczynał podejrzewać, że przesadził w swoich kalkulacjach - jest to możliwe.

Prominenci patrzyli na niego z wyraźnym rozbawieniem. Dla nich jasnowidz był rodzajem kuglarza. Co najwyżej prestidigitatorem. Widowskim oszustem zmysłów. Jak David Copperfield.

- Rozumiem panów opory. Sam do niedawna byłem sceptycznie nastawiony do paranauki, niemniej mamy tutaj do czynienia z

prawdziwym fenomenem. W dostarczonym dossier na stronach od siódmej do dwudziestej drugiej znajdują panowie szczegóły testów, jakie przeprowadziłem...

- Wróżki, krasnoludki, w co jeszcze każe nam pan uwierzyć? - przerwał mu znany senator, odpychając z niechęcią przeglądane papiery. - My się zajmujemy realną polityką. Rządzimy państwem, analizujemy wszystko naukowo i nigdy nie wróżymy z fusów. Przecież to jest śmieszne...

- Daleki jestem od opowiadania bajek, panie senatorze - powiedział Adam. - Przypadki, o których mówię, to nie oszustwa. To działania sił, których na razie nowoczesna nauka nie potrafi wyjaśnić, ale też ich nie neguje.

- Chce pan powiedzieć - wtrącił milcząco dotychczas wicepremier - że taki agent, mógłby, dajmy na to, podać skład grupy trzymającej władzę?

- W sprzyjających okolicznościach byłoby to nawet dość proste - przyznał Adam.

- Co to znaczy: w sprzyjających okolicznościach? - zapytał wicemarszałek.

- Nie jestem w stanie wyjaśnić tego dokładniej, ale z dotychczasowych badań nad obiektem wiemy, że telepata może biernie odczytywać myśli celu, ale nie może nakłonić go do myślenia o konkretnych rzeczach. Obrazowo to przedstawiając, telepatia to coś w rodzaju telewizji. Pan Lis jest odbiornikiem myśli i obrazów z umysłu skanowanej osoby. Moja pierwsza operacja powiodła się, ponieważ umieściłem telepatę w pobliżu celu podczas konferencji prasowej, na której był on odpytywany w interesujących nas sprawach. Choć mówił co innego, jego myśli przedstawiały prawdziwy obraz sytuacji. Zatem gdybyśmy doprowadzili do konfrontacji, przykładowo, z takim Rywinem, to zapewne otrzymalibyśmy odpowiedzi na wszystkie dręczące podówczas komisję pytania...

- To i tak nie ma już dzisiaj znaczenia - wicemarszałek, który wiele skorzystał na obecności w komisji podczas tamtej afery, pokręcił głową - ale szkoda, że nie mieliśmy pańskiego pupilka pod ręką trzy lata temu.

- A jak pan zamierza rekrutować te swoje paranaturalne wybryki? -

zapytał całkiem rzeczowo wicepremier. - Przecież nie da pan ogłoszenia do „Wyborczej”!

- Akurat to nie będzie trudne - odparł Adam. - Proszę spojrzeć na stronę osiemną w tomie drugim. Mamy dobre układy w mediach. Zlecimy opłacanym przez nas redaktorom stworzenie i reaktywowanie programów o zjawiskach paranormalnych. Umieszczenie ich w pasmach największej oglądalności nie powinno być problemem. Na początek pójdą materiały spreparowane i apele do widzów, żeby zgłaszali znane im przypadki podobnych zdarzeń. Rozpoznaniem zajmę się sam pod przykrywką pracy reporterskiej. Sądzę, że w ciągu pół roku od pierwszej emisji powinniśmy mieć wymierne efekty.

- Brzmi dość rozsądnie - zgodził się wicemarszałek, nalewając sobie kieliszek Smirnoffa. - Zastanawiam się jednak, czy to ma sens. Jeśli ludzie z takimi parazdolnościami nie są totalną rzadkością i jeśli są tak przydatni, dlaczego żaden z wywiadów wielkich mocarstw nie opiera się na nich?

- Tego, czy Mossad albo CIA korzystają z usług takich właśnie agentów, po prostu nie wiemy. Zapewne jest to objęte klauzulą najwyższej tajności. Z wiadomych powodów. Istnieją jednak przesłanki, że wielokrotnie wykorzystywano siły nadprzyrodzone do działań operacyjnych...

Adam był przygotowany na takie pytanie. Zebrał szczegółowe, choć w całości nieoficjalne materiały na temat eksperymentów paranaukowych przeprowadzanych w przeszłości przez rządy w Stanach Zjednoczonych, Japonii i Rosji. Wyłuszczał sprawę powoli, krok po kroku, począwszy od lat pięćdziesiątych, uwypuklał najgłośniejsze przypadki. Referował dokładnie każdy rodzaj fenomenu, jaki odnotowała nauka i paranauka. Wskazywał na płynące z nich korzyści i zagrożenia. Dowodził, iż jeden przeszkolony telepata jest w stanie wykonać więcej roboty niż stu klasycznych szpiegów. Zwłaszcza gdy chodziło o wykradanie tajemnic. Wiedząc, do czego Lis jest zdolny, wierzył, iż przecieki mówią prawdę. Ci, których ta wiedza ominęła, traktowali wszystko jak zwykłe sensacyjne publikacje z prasy bulwarowej.

- Fakty, panie Lewiński, fakty - przerwał wykład senator. - Ja też czasem oglądam Discovery i widziałem tam znacznie lepsze numery niż to, co pan opowiada. Ale to są fakty medialne. Pic na wodę. Może i ten pana człowiek ma jakieś tam zdolności, ale jak pan sam mówi, to tylko siedemdziesiąt procent pewności. Albo inaczej: co najmniej trzydzieści szans na sto, że zawiedzie.

- To nie tak! - zaoponował Adam. - Te trzydzieści procent to testy niedotyczące bezpośrednio telepatii, ale...

- W tym fachu każda pomyłka może wiele kosztować - znowu przerwał mu senator.

- Ryzyko rzeczywiście jest zbyt duże - ocenił szanse powodzenia wicemarszałek - a weryfikacja zdobytych danych będzie praktycznie niemożliwa. To, że udało nam się kilka razy, nie oznacza, że udawać się będzie zawsze. A co, jeśli pański agent odczyta fantazje celu, urojenia? Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli otwarcie postawimy komuś zarzut, myślny zarzut, to popełnimy publiczne i polityczne samobójstwo.

Taka pomyłka była możliwa. Już się zdarzyła, prawdę mówiąc, ale o tym wiedział tylko Adam i sam telepata. Bujna wyobraźnia jednego z liderów opozycyjnej partii o mało nie doprowadziła do blamażu. Na szczęście Lewiński sprawdzał wszystko trzy razy i w ostatniej chwili zrezygnował z kontrolowanego przecieku do prasy o romansie radykalnego posła ze znaną piosenkarką. Coś go tknęło, by sprawdzić także jej wspomnienia.

Podczas sfingowanego wywiadu dziennikarz zapytał wprost o plotki dotyczące tej sprawy. Obecny przy tym Lis nie znalazł niczego, co potwierdzałoby erotyczne fantazje parlamentarzysty. Wtedy jednak Adam zrozumiał, jak wiele ryzykował. Telepata mógł przekazać treść przechwyconych myśli, ale nie potrafił ocenić ich prawdziwości.

Nadszedł moment na użycie ostatecznego argumentu.

- Jeśli panowie pozwolą - Adam oblizał spierzchnięte wargi - chciałbym przedstawić zdolności mojego medium tu i teraz.

Politycy za stołem prezydialnym naradzali się między sobą. Przewodniczący sądu partyjnego wprawdzie zdecydowanie sprzeciwiał

się zaproszeniu Edmunda Lisa na posiedzenie, ale pozostali szybko go przegłosowali. Chyba nie wierzyli w jego legendarną moc. Adam sądził nawet, że liczyli na możliwość zdemaskowania sprytnego oszusta i pozbycia się w ten sposób uciążliwego podwładnego lansującego pomysły ośmieszające powagę ich urzędów.

Telepatę sprowadzono w niespełna pół godziny. Pojawił się w asyście dwóch mocno poirytowanych ochroniarzy, gdy Adam kończył czwartą kawę. Lis wszedł na salę, przywitał się grzecznie z obecnymi i zajął wskazane mu przez agentów ochrony miejsce. Nie wydawał się zaskoczony obecnością znanych postaci sceny politycznej.

- Oto pan Edmund Lis, człowiek, o którym wcześniej mówiłem... - Lewiński przedstawił go zebranim. - Jeśli ja nie mogę panów przekonać do projektu, on to zrobi za mnie.

- Niby jak? - zapytał z rozbawieniem wicepremier, spoglądając na telepatę. - Dowiemy się, jakie numery padną w jutrzejszym losowaniu totolotka?

- To raczej nie jest możliwe - odparł spokojnie Lis. - Nie jestem członkiem Rady Polityki Pieniężnej, nie potrafię przewidywać przyszłości. Widzę jedynie fakty z przeszłości badanego obiektu.

- W przeszłości to każdy potrafi czytać - skontrował żart senator.

- A zwłaszcza historycy i politycy - poparł go wicepremier.

Lis uśmiechnął się niewinnie, a następnie przez kwadrans opowiadał o sprawach, które każdy z nich pragnąłby zachować tylko dla siebie. Adam miał nadzieję, że nie przesadzi w odkrywaniu prawdy, bo to mogłoby skończyć się tragicznie dla nich obu. Ale telepata starannie dobierał ujawniane fakty. Lewiński obserwował z satysfakcją purpurowiejące twarze kolejnych polityków i błogosławił w duchu swoją zapobiegliwość. Lis bowiem kilkakrotnie uczestniczył w ostrych konferencjach prasowych z ich udziałem. Oczywiście incognito, raz jako pracownik firmy cateringowej, innym razem zadawał pytania jak rasowy dziennikarz. Adam dobrze go przygotował, żeby dzisiaj nie popełnił błędu. Ostrzeżeni politycy z pewnością nie myśleli o sprawach, jakie mogłyby im zaszkodzić. Ale wtedy, pewni, że nikt nie jest w stanie

sięgnąć do ich głów, rozkoszowali się własną bezkarnością.

- Ma pan ten kontrakt! - ryknął nagle przewodniczący klubu parlamentarnego, przerywając ciekawy wywód na temat pewnej niepełnoletniej wyborczy z jego okręgu. - Ma pan te pieprzone pięć milionów! Adam zbaraniał.

- Chwileczkę... - szepnął blady jak ściana wicepremier, który zaledwie przed trzema minutami usłyszał daty i nazwiska, o których wolałby zapomnieć. - Dostanie pan dziesięć milionów... nawet dwanaście, bo tyle mamy jeszcze w rezerwie resortowej... - Mówił przez zaciśnięte zęby. - Ale pod jednym warunkiem! Opracuje pan w pierwszej kolejności skuteczne metody zabezpieczenia przed takimi typami, jak... pańskie medium. - Wskazał rozpromienionego Lisa.

Adam zgodził się na ten warunek. Dlaczego nie miałby wziąć siedmiu dodatkowych milionów? Prawdę mówiąc, miał w planach zabezpieczenie się przed zdolnościami swojego pierwszego podopiecznego, choć celowo nie umieścił takiego podpunktu w preliminarzu wydatków.

Potraktował to polecenie jako priorytet i już po ośmiu miesiącach doprowadził do opracowania skutecznej metody zabezpieczania ludzi przed możliwością czytania w ich myślach. Komitet zweryfikował te wyniki po swoim. Do resortowego ośrodka wypoczynkowego na Mazurach, który przerobiono na bazę zespołu, wysłano „zabezpieczonego” taką metodą agenta z zewnątrz, który nie miał pojęcia o zdolnościach Lisa. Człowiek ów otrzymał zadanie zlikwidowania telepaty. Nie fikcyjne, ale jak najbardziej prawdziwe. Przykrywka była prosta. Funkcjonariusz miał zabrać Lisa na kolejne zadanie w terenie. Gdyby ten potrafił pokonać barierę, powinien odczytać prawdziwe intencje oprawcy. Nie odczytał jednak i ufnie wszedł do samochodu wiozącego go na pewną śmierć. Zdziwił się bardzo, kiedy za bramą ośrodka oficer prowadzący odwołał akcję. Nie był „zabezpieczony”, zatem wszystko się wydało w jednej chwili. Wtedy też Lis po raz pierwszy się zbuntował. Mocodawcy wiedzieli jednak, jak go szybko ułagodzić. Ich metody, choć przyziemne, były skuteczne.

O ile część zabezpieczeniowa programu zakończyła się pełnym sukcesem, o tyle szukanie nowych agentów spaliło na panewce. Adamowi marzyło się znalezienie naprawdę niezwykłych ludzi. Wierzył głęboko, iż na świecie jest wielu odmieńców, których zdolności przewyższają to, czego mógł dokonać Lis. Na razie udało mu się zwerbować tylko dwóch obiecujących bioenergoterapeutów. Nawet rozszerzenie programu werbunkowego na kolejne kanały prywatnych telewizji nie przynosiło pożądanых efektów. Zdecydowana większość anomalii okazywała się zwykłymi oszustwami albo wykraczała poza sferę zainteresowań Adama. Przełożeni jednak opłacali sownie jego badania i nie zgłaszali obiekcji. Wydawać się nawet mogło, że cieszy ich brak nowych adeptów na superagentów. Ale to już niedługo miało się zmienić. Już niedługo...

- ...bo ja, Adamie, wierzący jestem! - Lewiński wyrwał się z zamyślenia, kiedy monologujący Lis podniósł niespodziewanie głos. - Bo wkurwia mnie, że człowiek, który powinien od lat siedzieć w więzieniu, niemal w majestacie prawa molestuje kolejne dzieci! I to jako strażnik moralności innych ludzi! No sam powiedz, jak ja, człowiek, który wierzy w Boga, mam traktować kapłana, teoretycznie wprowadzającego w tajemnice wiary, a w praktyce gwałcącego moje dziecko?

- Za krótcy jesteście, żeby to zmienić.

- Ja nie jestem za krótki! - zaprotestował telepata. - Ja...

- Jeśli mówię, że jesteś, to jesteś. I masz teraz inne zadania. - Adam zgasił jego moralizatorski zapal i zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie marynarki. Wreszcie znalazł Niewielki kluczyczek na łańcuszku poleciał w kierunku zaskoczonych telepaty. - Sam świata nie zmienisz, przynajmniej jeszcze nie dzisiaj.

Lis złapał kluczyczek w locie i spojrzał z urazą na przełożonego.

- Jakie inne zadania? - Otwierał nieporadnie zamek. - Lepper znowu rośnie w sondażach?

- Nie, tym razem nie chodzi o polityka.

- Nie o polityka? To o kogo?

Adam odebrał kluczyk i rozpięte kajdanki. Wążył je chwilę w ręce, jakby zastanawiając się, czy dobrze zrobił, uwalniając telepatę, wreszcie zdecydowanym ruchem schował do kieszeni marynarki.

- Po latach poszukiwań uśmiechnęło się do mnie szczęście - powiedział.

- Zerwałeś sobie nową kobitkę? - ożywił się Lis. - I chcesz wiedzieć, czy naprawdę cię kocha? - Uśmiechnął się domyślnie. - W tych sprawach to i ja nie pomogę. Kobieta zmienną jest i basta...

- Nie chodzi o kobietę... To znaczy, nie w tym znaczeniu, o którym myślisz.

- A w jakim?

- Myślę, że trafiłem na ślad jednorożca.

- Pieprzenie... - Telepata roześmiał się na głos.

- Nie doceniasz mnie, Mundek.

- Przy całym szacunku, jaki żywię do pieniędzy, które reprezentujesz, nie uwierzę w to, póki nie dotknę albo nie zobaczę.

- Niedługo, naprawdę niedługo przekonasz się, że nawet telepaci się mylą.

- Jasne, jasne. Diabła tam... - Lis ułożył się wygodniej, jakby zamierzał zasnąć, ale tylko zmrużył na chwilę oczy. - Szlag by to! - jęknął i znowu się wyprostował.

- Co się stało? - Lewiński popatrzył na niego szczerze zdziwiony.

- Dokąd jedziemy?

- Do Wrocławia. Reszta ekipy już jest w drodze.

Telepata spojrzął na zegarek.

- Późno już, cholera... Poproś Norberta - wskazał głową radiotelefon - żeby podjechał w Warszawie pod Dworzec Centralny. Obiecałem Młodemu, że kupię mu nowego „Hellboya” i kompletnie mi to z głowy wyleciało.

- Hellboya? - zdziwił się jeszcze bardziej Lewiński.

- To taki komiks... - wyjaśnił z niewinnym uśmiechem Lis. - O potworach, które są wykorzystywane przez pewną agencję rządową do

walki ze złem.

- Że też chce się wam czytać takie fantastyczne bzdury... - Adam pokręcił głową.

- Dla kogo bzdury, dla tego bzdury. I nie żadna fantastyka. Jak dla mnie, to niezły obyczaj...

Ściemniło się. Do zmierzchu było jeszcze daleko, ale ołowiane chmury szczelnie zakryły niebo widoczne jedynie nad wąskim kanionem ulicy między szpalerami przedwojennych kamienic. Pierwsze ciężkie krople deszczu zaczęły bębnić rytmicznie o dach dżipa.

- Długo jeszcze? - Młody odłożył komiks na siedzenie i z sapnięciem otworzył kolejną puszkę coli Zero. Mimo włączonej klimatyzacji pocił się jak mysz. Sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi zamknięte w niezbyt przestronnej budzie pojazdu zaczynało wydzielać intensywny i niezbyt przyjemny zapach piżma.

- Nie pij tyle, bo przerwy na odcędzanie ziemniaków nie będzie - zganił go Lis.

Na podłodze między siedzeniami leżało już sześć opróżnionych do ostatniej kropli pogniecionych puszek.

- Dupa tam... - zachnął się grubas i dokończył picie. - Ty, Mulder, lepiej odpowiedz mi na pytanie.

Lis nie lubił, kiedy go tak nazywał, ale przywykł. Młody miał zwyczaj nadawania wszystkim przezwisk. Trzeba przyznać, że robił to z pewnym talentem. Zresztą jak się chwilę zastanowić, to skojarzenie było proste. Lis to Fox, zdrobnienie od Edmunda zamienić na Mulder żaden problem. Do tego robota, jaką wykonywał, nadawała się do „Archiwum X”.

Młody na siebie samego mówił pan Hyde, a na drugiego uzdrowiciela - doktor Jekyll. Posiadali te same zdolności bioenergoterapeutyczne, a zabierano ich na akcje zazwyczaj wymiennie. Stanowili też absolutne przeciwieństwa, zarówno charakterologiczne, jak i fizyczne. Piotr Konieczny, przez resztę zespołu nazywany Młodym (tak go z kolei

ochrzcił Lis) miał zaledwie dwadzieścia pięć lat i ukończony ogólniak, bez matury. Był złośliwy, leniwy, ale sprawdzał się jako dobry kumpel w odosobnieniu ośrodka. Sypał kawałami jak z rękawa i potrafił wypić morze gorzały. Natomiast doktor Walerian Okrasa, czyli doktor Jekyll, był statecznym starszym panem około siedemdziesiątki. Nie ważył więcej niż pięćdziesiąt kilogramów i zachowywał się z rezerwą godną arystokraty, który przypadkiem wstąpił do karczmy pełnej plebsu. Trudno było go polubić, zwłaszcza że wołał własne towarzystwo, książki i radio. Do telewizji jakoś nie mógł się przyzwyczaić.

- A niby skąd mam wiedzieć? - Lis wreszcie zareagował na pytanie kolegi. - Jeśli o mnie chodzi, w życiu nie uwierzę, że trafimy kiedykolwiek na jednorożca. To niemożliwe.

Mianem „jednorożców” określali w zespole ludzi ze zdolnościami widzenia przyszłości. Ktoś kiedyś powiedział, może nawet Młody, że jeśli w ogóle istnieją na świecie prekognici, to są rzadsi od jednorożców. I bardziej legendarni. Ajednak Lewiński nie ustawał w poszukiwaniach. Dla niego prekognita stanowił klucz do wrót oddzielających nasz świat od tego, w którym wszystko jest możliwe. Był ostatnim ogniwem potrzebnym do zrealizowania misternego planu, który dojrzewał mu w głowie od wielu miesięcy. Od czasu, gdy implant skutecznie zabezpieczył go przed odczytaniem myśli.

Kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt razy namierzał ludzi, którzy mieli wyjątkowe szczęście. Badał wszystkie przypadki. Obserwacją objęto najlepszych graczy na giełdzie. Tych, którzy wygrywali w totka i w kasynach.

Adam przypuszczał, że ktoś potrafiący dojrzeć przyszłość, skusi się na łatwe pieniądze. Na razie jednak ten trop prowadził donikąd.

Pierwszym sukcesem okazał się za to program telewizyjny o „aniołach stróżach”. Sreparowano w nim serię opowiadań o tajemniczych opiekunach, którzy ostrzegali ludzi przed groźącymi im wypadkami. Po emisji odezwało się kilkanaście osób z Dolnego Śląska i okolic Wrocławia, które przeżyły podobne zdarzenia.

Do kobiety stojącej późnym wieczorem z trójką dzieci na

opustoszałym przystanku tramwajowym przed Dworcem Głównym podeszła dziewczyna i poprosiła o pomoc w znalezieniu właściwej linii. Gdy kobieta chciała zostawić dzieci razem z bagażami, dziewczyna zaoponowała. Pomogła przenieść walizki pod rozkład jazdy. Dziesięć sekund później prowadzony przez pijanego kierowcę TIR przetoczył się przez miejsce, w którym stała rodzina. W powstałym zamieszaniu dziewczyna zniknęła, zanim ktokolwiek zdążył jej podziękować. Przypadek, cud czy efekt prekognicji? Ocalona nie miała wątpliwości co do mistycznego pochodzenia „anioła”.

Podobny schemat dotyczył jeszcze sześciu potwierdzonych przypadków, choć nie we wszystkich osobą ostrzegającą była młoda dziewczyna. W dwóch przypadkach był to kilkuletni chłopczyk. Raz dziecko zaczęło płakać w zatłoczonym sklepie, mówiąc, że czuje ulatniający się gaz. Wybuchła panika, nawet ekspedientki uciekły na ulicę. Chwilę później eksplozja doszczętnie zniszczyła pomieszczenia sklepowe, raniąc szesnaście osób, przeważnie gapiów, ale przynajmniej nikt nie zginął. Dochodzenie wykazało, że rozszczelnieniu uległ niedawno remontowany zawór w piwnicy pod sklepem. Tyle że ulatniający się gaz był absolutnie bezwonnym. Dzieciak oczywiście zniknął w zamieszaniu spowodowanym wybuchem.

Poszlak było wiele, śledztwo Lewińskiego utykało jednak za każdym razem w martwym punkcie. Naoczni świadkowie pomogli w sporządzeniu dokładnych portretów pamięciowych dziewczyny i chłopczyka. To pozwoliło na rozpoczęcie konkretnych poszukiwań. Zaangażowano w nie naprawdę wielkie środki. Stworzono odpowiednią legendę: oto niepoczytalna kobieta porwała dziecko córki lokalnego polityka rządzącej partii, zalecana jest daleko idąca dyskrecja i poszukiwania na pełną skalę z udziałem policji i części służb specjalnych. Nawet zespół nie wiedział, że Adam wpadł na tak wyraźny trop. Nie czuł bowiem potrzeby dzielenia się tą informacją ze swoimi ludźmi - na wypadek, gdyby okazało się, że znów brnie w ślepy zaułek. Lis i pozostali zajmowali się w tym czasie bezowocną obserwacją bywalców kasyn i lotto-milionerami.



Mijały miesiące, Lewiński z wolna sam zaczął wątpić w powodzenie operacji. Sprawa dziewczyny wydawała się nie ruszać z miejsca. Poszukiwani jakby zapadli się pod ziemię, skończyły się doniesienia o cudownych ocaleniach. I tak było aż do dzisiaj...

Dlatego siedzieli od kilku godzin w wozie zaparkowanym na jednej z bocznych uliczek Ołbina. Mercedes z resztą zespołu czekał za najbliższym rogim.

- Szlag... - mruknął Lis, sadowiąc się wygodniej. Ziewnął. Gdyby nie ulewa i wyraźny zakaz Lewińskiego, wyszedłby na papierosa. Ani Młody, ani Robert, jeden z braci Golców przydzielony im na kierowcę, nie palili i zabronili mu nawet myślenia o jednym szybkim sztachnięciu przy otwartym oknie. - Na twoim miejscu przygotowałbym się na mało wygodny nocleg w wozie - rzucił do Młodego.

- Też się tego obawiam. - Grubas pokiwał smętnie głową, obrócił w rękach zaczytany komiks i nagle się rozpromienił. - Opowiem wam kawał...

- Tego faktycznie nie znałem. - Lis zachichotał, przecierając oczy.

- Wypieprzaj mi ze zwojów - obruszył się Młody. - Powiedziałem, że opowiem kawał...

- A ten to znam - skwitował tę wypowiedź Lis, który miał szczerą ochotę zapaść w drzemkę. - ...I Bóg odszedł od Adama zadowolony, patrzy na Ewę i mówi: cudo z tyłu, cudo z boku... a z przodu będzie się malować.

- Świnia! Mulder, pieprzony telepie, czy ty zawsze musisz mi palić dowcipy, zanim je opowiem? Może Golec nie znał...

- Nie zawsze. Tylko wtedy, jak mnie wkurwiasz.

- Cicho... - Golec odwrócił się do nich, sięgnął do ucha i przycisnął mocniej słuchawkę. - Nie słyszę, co do mnie mówią z jedyńki.

Lis chciał coś dodać, ale w tym momencie obok wozu ktoś przeszedł. Skurczona, drobna sylwetka w jaskrawo-żółtej pelerynie przeciwdeszczowej. Znudzony telepata sięgnął do umysłu przechodnia niemal bezwiednie i nagle zesztyniał. Poczul zawrót głowy, chłód, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Zakrztusił się własną śliną.

- Co jest?! - zapytał zaniepokojony jego wyglądem Golec.

- Jednorożec... - wycharczał blady jak kreda Lis, patrząc na wolno oddalającą się postać. - Jebany jednorożec!

Szarpnął za klamkę i wyskoczył z wozu. Był tylko odrobinę wolniejszy od ochroniarza, który już pędził w kierunku oddalającej się postaci. Zza rogu wybiegł drugi z braci Golców, Norbert, za nim pojawiły się dwie o wiele szczuplejsze sylwetki, ukryte pod parasolami.

Prekognita się zatrzymał. Spoglądał przez chwilę na nadbiegającego ochroniarza, potem odwrócił się, uczynił to jednak spokojnie, bez oznak przerażenia czy dezorientacji. Robert już prawie przy nim był. A właściwie przy niej. Spod mocno naciągniętego na czoło kaptura wymykały się długie kosmyki kasztanowych włosów.

Lis miał pewność, że cel nie ucieknie. Wszystkie bramy były solidne, ponemieckie. Zamknięte, zabezpieczone domofonami. Sprawdzili to, zanim jeszcze się rozpadało. Jedyne drogi wyjścia blokowały obie części zespołu. Dziewczyna chyba to zrozumiała, powoli podniosła ręce do góry. Spróbował wejść w jej umysł. Ostrożnie, teraz już wiedział, co na niego tam czeka. Wszakże tym razem było inaczej. Wciąż widział setki przemykających obrazów, zbyt ulotnych, by je rozpoznać albo zapamiętać, zbyt szybko ginących w wirze tysięcy im podobnych, ale teraz były jakby... wyblakłe.

I wtedy odczytał tę myśl, która zdominowała pozostałe.

- Nie podchodzić! - ryknął, ale Lewiński albo go nie dosłyszał, albo zlekceważył ostrzeżenie. - Cofnijcie się, ona ma...

Ogłuszający huk pioruna, który uderzył w odgromnik budynku administracji, zagłuszył jego słowa. Ale Golcowie w snopach iskier, które się posypały, dostrzegli zagrożenie. Błyskawicznie wyciągnęli broń i wymierzili w głowę dziewczyny.

Do Lisa dołączył zasapany Młody.

- Cofnij się! - warknął telepata i popchnął grubasa.

Przeliczył się jednak z siłami. Bioenergoterapeuta stał jak wmurowany.

- Co jest? - zdziwił się, ale zanim Lis mu odpowiedział, dostrzegł jajowaty przedmiot w dłoni dziewczyny. - Szlag! Jak pierdolnie, to

nawet ja was z tego gówna nie wyciągnę -sapnął i rozejrzał się, jakby szukał schronienia.

- Młoda damo! - Lewiński zatrzymał się o dwa kroki od desperatki. - Proszę to odłożyć, naprawdę nie chcemy zrobić pani krzywdy.

Dziewczyna pokręciła głową i potrząsnęła groźnie ręką, w której trzymała granat. W palcach drugiej uniesionej wysoko dłoni Lis zauważył zawleczkę.

-Nie wierzysz mi, Sabino? - Adam uśmiechnął się krzywo. - To nie zmienia sytuacji... Możesz się tutaj zabić, ale tak nie uratujesz życia braciszкови, prawda?

Dziewczyna spojrzała na niego z nienawiścią, ale nie opuściła ręki. Za to zawleczka poleciała na płyty chodnika.

- Odłóż ten granat - ciągnął niezrażony Lewiński - i chodź z nami, a obiecuję, że zrobimy wszystko, by Piotruś z tego wyszedł. Jeśli masz dar, o który cię podejrzewamy, to wiesz, że nie kłamię.

Lis nie miał pojęcia, o czym mówi Adam, a sytuacja była zbyt poważna, żeby ponownie wejść w jej umysł. Jeśli szef źle ocenił sytuację, być może sekundy zadecydują, kto przeżyje tę jatkę. Musiał zachować koncentrację. Spojrzał przez ramię na Młodego, ale w miejscu, w którym powinien się znajdować, nie było już nikogo.

- Odłóżcie broń. - Lewiński skinął na Golców, ale ci go nie posłuchali. - Do jasnej cholery, to rozkaz! - ryknął zirytowany niesubordynacją.

To poskutkowało. Lufy wprawdzie były skierowane teraz w stronę chodnika, ale Lis wiedział, że dla tak wyszkolonych strzelców złożenie się do strzału nie trwałoby dłużej niż mgnienie oka. Dziewczyna, jeżeli miała trochę rozumu w głowie, też powinna zdawać sobie z tego sprawę.

-Proszę... - Lewiński stanął między nią a jednym z bliźniaków, wyraźnie dając do zrozumienia, że rozwiązanie siłowe nie wchodzi w grę. - Naprawdę nie chcemy cię skrzywdzić. Wiesz, że jesteśmy jedyną szansą dla Piotrusia. Dla ciebie w pewnym sensie też...

- Przysięgnij na życie swoich dzieci! - przerwała mu niespodziewanie dziewczyna.

- Spójrz w przyszłość, to będzie większa gwarancja od mojej przysięgi.

- Przysięgnij na życie swoich dzieci, że zrobisz wszystko, by nie umarł!
- powtórzyła.

Adam spozjrzał na Lisa, na Golców... chyba dopiero teraz zauważył brak Młodego. Złożył parasol, podniósł twarz i pozwolił, by przez moment wielkie krople rozbijały się o jego okulary. Położył rękę na sercu i powiedział:

- Mam tylko jedno dziecko, syna. I przysięgam na jego życie, a także na życie pozostałych członków mojej najbliższej rodziny, że zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, żeby twój brat został wyleczony. - Potem podniósł zawleczkę z chodnika. - Skończmy to przedstawienie, zanim ktoś nas zauważy. - Podał kawałek metalu Norbertowi.

Lis dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest przemoknięty. Patrzył na bliźniaków, którzy ujęli pod łokcie dziewczynę w żółtej pelerynie, na Lewińskiego, na nagle wyrosłego obok Młodego.

- Mundek, jedziesz ze mną, będziesz mi potrzebny, doktor Okrasa zamieni się z tobą miejscem. - Adam nie czekając na potwierdzenie ruszył w kierunku narożnika, za którym zniknęli ochroniarze.

- Ten deszcz, mrok, faceci w gamiturkach... - sapnął Młody. - Scena jak z finału pieprzonego „Matriksa”, nie?

- O co chodzi z tym bratem? - zapytał Lis, ledwie ruszyli. - O co w ogóle w tym chodzi?

- Nie mówiłem ci, wiem, przepraszam - odparł Lewiński, wycierając ręcznikiem głowę. - Nie byłem pewien, czy jestem na właściwym tropie. Po programie o „aniołach stróżach” dostałem sporo ciekawych informacji, które świadczyły albo o boskiej interwencji, albo o istnieniu jednorozca.

Sabina spojrzała na niego z wyraźnym zdziwieniem.

- Tak, moja droga - Adam uśmiechnął się do niej - jeśli się nie mylę, jesteś tak samo rzadkim i cudownym zjawiskiem, jak rzeczony jednorozec. W każdym razie - odwrócił się do Lisa - sprawdzając doniesienia z terenu zyskałem pewność, że to nie dzieło przypadku.

Poszukiwania trwały długo, ale świadom zdolności Sabiny zdawałem sobie sprawę, że mogą trwać latami. Mieliśmy jednak trochę fartu. Oficer UOP-u nadzorujący jeden ze szpitali zameldował, że na oddział onkologiczny trafił chłopczyk odpowiadający rozesłanemu przez nas rysopisowi. Przyprowadziła go wprawdzie dziewczyna, która z kolei nie bardzo pasowała do opisu, nie zgadzał się na przykład kolor włosów, ale to akurat dość łatwo mogła zmienić. Po bliższym przyjrzeniu się zapisom z kamer przemysłowych, zyskałem pewność, że to jednak jednorożec. Zajęliśmy się chłopcem. Zabraliśmy go ze szpitala, a Sabinie zostawiłem informację, gdzie mnie znajdzie.

- A dlaczego nie zdjęliście jej w szpitalu?

- Przy tylu świadkach? - Lewiński naprawdę był rozbawiony. - Może jeszcze telewizję powinniśmy zaprosić.

- Zaraz, to się kupy nie trzyma. Jeśli naprawdę jesteś prekognitką, powinnaś wiedzieć, czym się skończy oddanie brata do szpitala.

- Pozwoliłbyś umrzeć jedynej osobie, którą kochasz? - odezwała się ponuro Sabina.

Lis spojrzał jej prosto w oczy. Cały czas próbował przebić się przez chaos panujący w jej głowie. Wyseparował z wiru wizji wiele osobistych myśli. Mimo to nadal nie wiedział prawie nic o jej przeszłości.

Jednego był w tej chwili pewien, kochała brata naprawdę mocno.

- Prawdę mówiąc, Mundek, nasz jednorożec znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony mógł zachować wolność, ale musiałby poświęcić życie jedynej istoty, którą kochał, z drugiej ocalenie Piotrusia oznaczało... - Adam zawahał się, chciał powiedzieć: pracę dla nas, ale wybrał bardziej dyplomatyczne określenie - ...poświęcenie wolności.

- Proszę mnie tak nie nazywać, nie jestem przedmiotem ani zwierzęciem. Mam imię i nazwisko - obruszyła się dziewczyna, słysząc po raz kolejny kryptonim, jaki jej nadano.

- Oczywiście, przepraszam, Sabinko. Nie chciałem cię urazić. To taki nasz żargon. A powiedz mi, dar, który posiadasz, pozwala ci widzieć przyszłość, prawda?

-Tak.

- Zadam ci kilka pytań. Postaraj się odpowiadać możliwie jak najprościej i najdokładniej. To bardzo ważne.

- Dobrze. - Dziewczyna spojrzała na Lisa, jakby wiedziała, że telepata skupia się teraz na odbiorze jej myśli.

- Czy te wizje mają jakąś regularność?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, jak widzisz przyszłość. Czy są to wyrwane z kontekstu obrazy, czy raczej... szerszy ogląd sytuacji? Czy możesz je wywołać, czy same przychodzą?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu, ale Lis, mimo chaosu nadal panującego w jej głowie, poznał odpowiedź, zanim została zwerbalizowana.

- Nie mam nad tym kontroli. Czasem coś widzę, czasem nie. To przychodzi nagle, bez ostrzeżenia. Raz jest to pojedynczy obraz, kiedy indziej dłuższa scena. I zawsze dotyczy miejsca, w którym akurat jestem.

To nie było dokładnie to samo, co odebrał chwilę wcześniej Lis. Najwyraźniej nie chciała wyjawić całej prawdy. Nie dziwił się. Sam ukrywał swój dar jak mógł najdłużej.

- Prosiłem, Sabinko - powiedział Lewiński - żebyś postarała się odpowiadać naprawdę szczegółowo, od tego zależy... - Przerwał, gdy zobaczył, jak twarz jej szarzeje.

Lis nie mógł tego widzieć, ale wizja, jaką odebrał w tej samej chwili, zmusiła go do odwrotu. Umysł prekognitki zamienił się w tygiel milionów obrazów zmieniających się tak szybko, że powodowały niemal fizyczny ból.

- Zaufałam ci! - W nieco podniesionym głosie dziewczyny dało się wyczuć zdenerwowanie. - Teraz ty mi zaufaj. Każ mu zwolnić. - Wskazała kierującego samochodem Norberta.

- Słucham? - Lewiński wydawał się wyraźnie zaskoczony.

- Każ mu zwolnić! - krzyknęła Sabina.

- Dlaczego? - Adam nadal nie rozumiał, do czego prekognitka zmierza. A może wyczuwał jakiś podstęp. -Norbi, zwolnij trochę...

Golec lekko przyhamował.

- Jeszcze! - zawołała dziewczyna.

- Dlaczego...

- Zwolnij! - ryknęła Sabina tak przeraźliwie, że Golec natychmiast zareagował, mimo iż Adam nie wydał mu polecenia.

Ruch na dwupasmówce nie był wielki. W polu widzenia mieli zaledwie dwa wozy osobowe i zdezelowanego jelicza z przyczepą wyładowaną po brzegi ziemniakami. Gwałtownie hamującym na śliskiej jezdni mercedesem zarzuciło w koleinie. Jadący za nim drugi wóz zespołu z trudem uniknął zderzenia, zjeżdżając na pas zieleni.

- Co jest, do kur... - Lewińskim, mimo zapiętych pasów, rzuciło jak kukłą.

Lis nie był zapięty, poleciał na przednie siedzenie uderzając się boleśnie obojczykiem o zagłówek.

Nie widzieli tego dokładnie, ale przyczepa jelicza zatańczyła po jezdni, pociągając cały zestaw najpierw na poboczne, potem w drugą stronę. Kierowca stracił panowanie nad wozem i dwudziestotonowa ciężarówka sunęła przez sekundę bokiem do kierunku jazdy, a potem przewróciła się jak na zwolnionym filmie. Przyczepa wypięła się i wjechała do rowu.

- Jeżu malusieńki... - wymamrotał Golec, zatrzymując samochód kilka metrów od chmury pyłu, w której zniknął dachujący jelicz.

Sabina pochyliła się do wciąż oszołomionego Lewińskiego.

- Nie zapomnij, że jesteś mi winny także swoje życie... - szepnęła na tyle głośno, że musiał usłyszeć.

Słońce, leżaczek na plaży, zimne piwo w dłoni. Od kilku tygodni Lis rozkoszował się urokami mazurskiego ustronia. Lewiński skupił się na pracy z Sabina do tego stopnia, że odwołał wszystkie akcje. Czekali tylko na zlecenia ze strony Komitetu. A tych jak na złość - a może na szczęście - nie było. Choć trudno w to uwierzyć, politycy, zupełnie jak ludzie, też mieli wakacje. - Nie przeszkadzam?

Lis aż podskoczył na dźwięk głosu, omal nie rozlewając przy tym piwa.

- Sabina? - zdziwił się, podnosząc rondo słomkowego kapelusza. - Co

ty tu robisz? Myślałem, że...

Dziewczyna zdjęła chodaki, położyła ręcznik na deskach obok i przysiadła na skraju mola.

- Doktorek pojechał do Warszawy. Wróci dopiero wieczorem.

- Temu to dobrze. Ajak tam Piotruś?

- Wczoraj odleciał do prywatnej kliniki w Szwajcarii. Wszystko zostało opłacone z góry. Za tydzień przejdzie operację przeszczepienia szpiku. Teraz wszystko w rękach Boga.

- Zobaczysz, będzie dobrze.

- Widziałeś „Lśnienie”? - zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki Sabina.

- Nie widziałem - odparł zdziwiony zmianą tematu Lis.

- Ale książkę czytałeś chyba?

Telepata ułożył się wygodnie na leżaku i opuścił kapelusz, kryjąc oczy w cieniu. Oczekiwał ciągu dalszego, ale dziewczyna milczała. Zdziwiło go to, tak jak pytanie o jego, było nie było, ulubioną książkę. Dlatego ostrożnie zapuścił się w jej umysł, choć Adam wyraźnie zabronił mu tego poza sesjami. Tam czekało na niego kolejne zdziwienie. Ogromny wir wizji, jakie zapamiętał z poprzednich wizyt, był ledwie wyczuwalny. W mglistej białej pustce widział za to dwa wyraźne słowa.

Jakby napisane na tablicy.

- *Odbierasz mnie?*

Były skierowane do niego. Z pewnością.

- Tak - powiedział na głos.

- *Nie mów, lśnij* - napis płynnie zmienił się w następny.

- Powoli...

- *W czym problem?*

- Jeszcze nigdy w taki sposób nie rozmawiałem.

- *Przecież jesteś telepata.*

- Jedynym w tym gronie.

- *Nie rozumiem.*

- Nikt nie widział moich myśli... - z trudem formował odpowiedzi. - Odbierałem obrazy, wizje... Nikt nie odbierał mnie.

- *OK. To będę się streszczać.*

- *Dlaczego... łsnimy?* - uległ jej w końcu.
- *Prawdopodobnie jesteśmy podsłuchiwani.*
- *O czym ty mówisz?*

Zamiast pisemnej odpowiedzi zobaczył obraz. Niewielkie pomieszczenie pełne monitorów, jakiejś aparatury. Dwóch żołnierzy obsługujących terminale. Skupił się na obrazie przekazywanym przez kamery. Zobaczył znajome wnętrza, twarze. Młodego, który obżerał się chipsami i czytał komiksy. Siedzącego na sedesie w rodinowskiej pozie doktora Jekylla. Grających w karty z wartownikami Golców. Na największym monitorze Lewiński i lekarze stali skupieni wokół stołu, na którym spoczywało nagie ciało dziewczyny. Sabiny, rzecz jasna.

- *Co to jest?*
- *Wizja.*
- *Przyszłość?*
- *Teraz już nie.*
- *Kurwa mać...*
- *Też kobieta.*
- *Przepraszam - zmitygował się telepata. - To nie może być prawda.*
- *Jest.*
- *Sprawdzałem umysły strażników.*
- *Oni o niczym nie wiedzą.*
- *To jakaś paranoja... jak nie oni, to kto?*
- *Kto będzie pilnował strażników...*
- *A, chyba że tak...*

Lis się wycofał. Pociągnął spory łyk piwa. Komitet płacił, ale i wymagał. I zabezpieczał się na wszystkie strony. Ciekawe, czy Lewiński o tym wiedział... Wszedł w Sabinę raz jeszcze.

- *Doktor o tym wie?*
- *Nie mam pojęcia* - odparła natychmiast.
- *Szlag...* - Wizja Okrasy rozmyślającego na kibelku może i była zabawna, ale oznaczała, że są totalnie inwigilowani.
- *Inwigilacja to mniej istotna sprawa.*
- *A co jest istotne?*

- *Plany Lewińskiego.*

- *Jakie plany?*

Znowu wizja. Dom, przeciętny sześcian, jakich tysiące powstawało przed laty na przedmieściach i wsiach. Za domem niewielki zaniedbany ogród, w nim altana. Dym. Jakby się coś paliło. Jacyś ludzie wbiegają do środka. Krzyki. Kobieta obok mdleje. Lis zagląda do wnętrza altany. Na podłodze leży martwy mężczyzna. Twarz wykrzywiona w grymasie przerażenia albo bólu. Flanelowa koszula, spodnie robocze. Dość czyste. Tylko jedno psuje ten obraz. Noga od połowy łydki niemal do pachwiny spalona na węgiel. Ale kilka centymetrów dalej materiał spodni jest czysty, nawet nie osmalony. Podobnie drewniana podłoga wokół ciała. Deski pod nogą wyglądają jak resztki z polan ogniska, sąsiednich ogień nie tknął w ogóle.

- Spontaniczne samozapalenie - mruknął Lis.

- *On chce ten proces kontrolować.*

- *Jak?*

- *Tego nie wiem.*

- *Nikt tego nie wie... Nawet ci, którzy mają taką moc.*

- *Dokładnie.* - Lis mimowolnie się uśmiechnął. - *Zwłaszcza oni...*

- *Odkrywając swój dar, umierają.*

- *Dlatego Adam chce użyć prekognicji.*

- *Tak, mam zlokalizować to wydarzenie.*

- *A my go przeżyjemy, zanim to się stanie.* - *I poznamy naturę zjawiska.*

- *Zupełnie jak w „Podpalaczce”.*

- *W czym?* - *zdziwiła się Sabina.*

- *Stephen King. Powieść, film.*

- *„Firestarter”?*

- *Chyba tak.*

- *Ta wizja, którą widziałeś...*

- *Tak?*

- *To stanie się jutro.*

- *Kaszka z mlekiem.*

- *Nie rozumiesz.*

- *A czego tu można nie zrozumieć?*
- *Zastanów się, po co Adamowi firestarter?*
- *A po co jednoróżec? Telepata?*
- *To co innego.*
- *Niby dlaczego?*
- *Nasze dary nie służą do nisczenia...* - Dziewczyna chyba się zdenerwowała. Zauważył, że w napisie zabrakło jednej litery. - *Przynajmniej bezpośrednio.*
- *No, fakt... Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.*
- *Obyś się nie mylił.*
- *Co masz na myśli? Nie odpowiedziała.*
- *Jeśli masz jakieś podejrzenia...*
- *Wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam?*
- *Nie.*
- *Bo... jesteś inny.*
- *Co znaczy: inny?*
- *Inny niż Lewiński.*
- *Dlaczego tak uważasz?*
- *W samochodzie... Wiedziałeś, że skłamałam.*
- *Kiedy?*
- *Tuż przed wypadkiem.*
- *Noo...*
- *Ale mnie nie wydałeś.*
- *Tego nie wiesz...*
- *Wiem.*
- *Skąd? Nie jesteś telepataką.*
- *Widziałam przyszłość.*
- *No tak...*
- *I to też dobrze świadczy o tobie.*
- *Skoro tak mówisz :-)* - Dodał do swojego napisu smileya. Jak na czacie.
- *Potrafę widzieć to, co chcę.*
- *Wiem.*

- *Potrafię widzieć wtedy, kiedy chcę.*

- *Mów dalej.*

- *Nie.*

- *Dlaczego?*

- *Sam zobacz...*

Biel zniknęła w ułamku sekundy, jak zdmuchnięta. Stał w mrocznym, wąskim korytarzu za plecami trzech mężczyzn. Musiał przywyknąć do braku światła, zupełnie jak w realu. Trwało to chwilę. Sylwetki dwóch wyższych wydały mu się znajome, mimo ciemności. Tak, to bliźniacy, ale kim był ten trzeci? Nie kojarzył faceta, chociaż... dałby sobie rękę uciąć, że kiedyś już go widział. Szedł za całą trójką do załomu, potem po schodach na półpiętro. Tutaj Golcowie zostali z tyłu, a nieznajomy podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Usiadł na parapecie i założył okulary przeciwsłoneczne. Ułożył plakietkę identyfikacyjną oficera UOP-u zawieszoną na pomarańczowej smyczy, by była jak najlepiej widoczna na tle czarnego półgolfu. Z pewnością w tej chwili sprawdzał go jakiś agent z lornetką albo nawet snajper.

Lis wyrzął na zatłoczoną ulicę. Nie wiedział, jakie to miasto, nie widział żadnego charakterystycznego budynku, pomnika. Ale jedno było pewne, to Polska. Musiało być jakieś święto. Wzdłuż jezdni ustawiły się szpalery ludzi, co kilka metrów stali policjanci. W tłumie i na ścianach roilo się od flag. Usłyszał dźwięk policyjnego koguta. Pod oknem, środkiem ulicy przemknął radiowóz. W oddali zobaczył kawalkadę limuzyn. Zbliżały się powoli, otoczone kordonem motocyklistów. Spojrzał na faceta w oknie. Siedział z założonymi rękami, jak setki widzów wokoło, w oknach, na balkonach. Tylko że oni nie mieli zacisniętych kurczowo szczęk, nabiegłych krwią oczu i pulsujących żył na skroniach. Znow popatrzył na ulicę. Jadące na czele kolumny czarne opancerzone bmw zbliżyło się na kilkanaście metrów do bramy, w której niedawno stali. Nagle wóz eksplodował. Nie było strzału, rzuconego granatu. Obraz zwolnił w tym momencie, jak gdyby zadziałała adrenalina, jakby to on sam brał udział w wypadku; widział wszystko wyraźnie. Samochód przysiadł, pancerne szyby i dach zdawały

się opierać fali uderzeniowej wybuchu przez ułamki sekund, wyginając się i pęczniąc. A potem miejsce po miejscu z wnętrza zaczęły wydobywać się płomienie. Z okien, spod maski. Korek wlewu paliwa wystrzelił jak pocisk prosto w oniemiały tłum. Za nim trysnął strumień płonącej benzyny. W tym czasie cały samochód zamienił się w kulę ognia. Facet z okna uśmiechnął się i wtedy Lis przypomniał sobie, gdzie go wcześniej widział...

- *I jak?* - zapytała napisem Sabina, gdy obraz zniknął

- *Kto to był?* - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- *Firestarter Adama. Niejaki Kowalczyk.*

- *Pytałem o Cel.*

- *Nowo wybrany prezydent.*

- *Kurwa mać...* - zaklął, ale dziewczyna tym razem nie zareagowała.

- *Musimy go powstrzymać* - powiedziała po chwili.

- *Jak?*

- *Nie wiem... ale musimy coś zrobić.* Lis rozważał kolejne pomysły. W końcu wydało mu się, że ma odpowiednie rozwiązanie.

- *Me możesz mu powiedzieć o tym firestarterze.*

- *Za późno.*

- *Co znaczy: za późno?!*

- *Wizja przyszła po tym, jak mu powiedziałam... Tak to działa, przecież wiesz.* Nie odpowiedział. Wyszedł z Sabiny i sięgnął po piwo. Wlał w gardło potężny łyk i natychmiast wszystko wypłuł. Nektar bogów za długo stał na słońcu. Był ciepły jak mocz niemowlaka. I tak też smakował.

Fasada domu wyglądała dokładnie jak w wizji Sabiny. Tyle że teraz było jeszcze ciemno. Słońce dopiero wstawało, gdy Norbert zatrzymał dżipa na skraju zagajnika, kilkadziesiąt metrów od posesji Kowalczyków.

Lewiński był bardzo pobudzony, mimo tak wczesnej pory. Przygryzał nerwowo górną wargę i pocierał kciukami o palce wskazujące. Lis nie dziwił się zachowaniu szefa. Po latach niepowodzeń wreszcie zaczynał odnosić sukcesy. Jednorozec przyniósł mu szczęście -przynajmniej tak

mógł teraz myśleć.

- Chłopaki z Komitetu muszą być wniebowzięci - powiedział telepata. On też trzymał się swojego planu. Sprawdzał.

- Chłopaki z Komitetu jeszcze nic nie wiedzą. - Adam nie patrzył w jego stronę. Przyglądał się zabudowaniom.

- Nie pochwaliłeś się takim sukcesem?

- Na wszystko przyjdzie pora. - Lewiński nie przerywał obserwacji. - Która godzina?

- Za kwadrans piąta - zameldował Golec.

- Czwarta czterdzieści pięć... - Lis uśmiechnął się do swoich myśli. - O tej godzinie Niemcy zaatakowali Polskę rozpoczynając drugą wojnę światową.

- Mylisz się, Mulder. - Młody poprawił go, zanim przełknął ostatni kęs kanapki. - Kwadrans wcześniej zaczęli bombardować Wieluń, a może Wałcz. Podręczniki kłamią, a szkoła zasysa.

- Tak, wiem. A Westerplatte trzymało się, bo Dąbrowski zamknął Sucharskiego w bunkrze. W kółko to powtarzasz.

- Bo to prawda. - Młody oblizał się i sięgnął po kolejną kanapkę. - Historia jest, panie roztelepany, wciąż zakłamywana.

- Zamknijcie się wreszcie! - Adam oderwał wzrok od okna i spojrzał na zegarek. - Za sześć minut wchodzimy. Wszyscy wiedzą, co do nich należy?

Potwierdzili skinieniami głowy. Lis wyjął z torby spore nożyce do metalu.

- Zostaw te kalorie. - Rzucił narzędzie na kolana Młodego. - Jest robota do zrobienia.

- Ty miałeś ciąć siatkę... - zdziwił się bioenergoterapeuta.

- Właśnie - dołączył się Lewiński. - O co ci chodzi, Mundek?

- Zwichniąłem wczoraj nadgarstek. - Lis pokazał obwiązaną bandażem elastycznym rękę. - A parówkarzowi przyda się trochę ruchu.

- Wal się... - Młody wyraźnie nie miał ochoty na wysiłek.

- Żadne wal się. Biegiem! - uciął dyskusję Lewiński.

Konieczny spojrzał bykiem na telepatę, schował do kieszeni kanapkę i

wziął z kolan nożyce. Z trudem wygramolił się z samochodu. Pochylny ruszył truchtem w kierunku porośniętego winoroślą ogrodzenia. Wyglądało to komicznie. Jakby wieloryb po wyrzuceniu na brzeg usiłował ukryć się w trawie. Na dodatek w połowie drogi zaczął gubić kanapki poupychane w zbyt płytkich kieszeniach kurtki.

- Mundek, pomóż temu pajacowi... - Lewiński wyprzedził o sekundę propozycję Lisa.

- Jasne! - Telepata szybko wyskoczył z wozu, zatrzasnął za sobą drzwiczki i, nie oglądając się, pobiegł za Młodym.

Gdyby nawet Lewiński miał sokoli wzrok albo lornetkę, nie mógłby zauważyć niewielkiego przedmiotu, który Lis ściska w dłoni. Nie mógł też widzieć, jak bezgłośnie odlicza sekundy. Gdy doszedł do dziewięciu, skoczył. Nie zdążył upaść. Fala uderzeniowa wybuchu cisnęła nim o płot. Zawleczka wyleciała mu z dłoni. Bolało jak szlag, ale na szczęście nie dostał żadnym z odłamków. Sekundę później drugi wybuch podrzucił płonący wrak samochodu w górę. To eksplodował bak.

Konieczny leżał dwa kroki dalej, dostał odłamkiem metalu w głowę. Jeszcze oddychał, ale kałuża krwi, w której leżał, była już całkiem spora. Świadomość bioenergoterapeuty powoli gasła. To było dziwne, wręcz przerażające uczucie, jakby umysł Młodego zapadał się sam w siebie. Lis poczuł zimny dreszcz na plecach. Po raz pierwszy odczytywał ostatnie myśli konającego człowieka.

- Szlag by to... - Nie mógł mu pomóc. A gdyby nawet mógł, miał teraz na głowie większy problem.

Drzwi drugiego dżipa otworzyły się i wypadł z nich Robert. Z pistoletem w ręku pędził w kierunku wraku, rozglądając się na wszystkie strony. Lisowi zależało na tym, by nie skojarzył wybuchu z jego osobą. Nie miał broni, a nawet gdyby ją miał, na otwartym terenie nie uciekłyby przed doskonale wyszkoloną maszyną do zabijania. Biegł więc z powrotem do wraku, jakby nie miał z tą eksplozją nic wspólnego.

Golec już był przy płonącej stercie złomu. Zniknął za strzelającymi w niebo płomieniami, chyba zupełnie irracjonalnie próbował jeszcze ratować brata. Lis zatrzymał się. Nawet tutaj, kilka metrów od ognia żar

był trudny do wytrzymania. Spojrzał w stronę Młodego, ale ten się nie ruszał. Stracił już przytomność, nie zostało mu wiele czasu. W każdym razie nie komplikował rozgrywki. Lis rzucił okiem na dom, ale w żadnym oknie nie zapaliło się jeszcze światło. Sprawdził, co robi reszta załogi drugiego wozu. Sabina stała wciąż przy otwartych drzwiach samochodu. Doktor Okrasa biegł, o ile można to było nazwać biegiem, w kierunku wraku.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Tylko ten ból, który przeszył nagle ramię, a chwilę później brzuch. Lis odwrócił się do wraku i zobaczył barczystą sylwetkę w pozycji strzeleckiej. Golec się zorientował?! - przemknęło mu przez głowę, gdy osuwał się na ziemię. Ale jak?

Upadł na plecy. Choć z przerażeniem odkrył, że nie może się poruszyć, zachował pełną świadomość. Widział, jak podbiega do niego Okrasa, jak pochyla się, jak kładzie obok torbę. Ciepła krew, która chlapanęła na twarz, z pewnością należała do kogoś innego. A jedyną osobą w pobliżu był stary doktor Jekyll, toaletowy rodinowski myśliciel.

- Ty skurwielu! - Lis usłyszał te słowa, jakby dobiegały z wielkiej odległości. Nie poczuł kopnięcia, które przesunęło jego bezwładne dąło. Nie widział twarzy Roberta.

Widział tylko jego rozmazaną sylwetkę. Oprawca kopnął go raz jeszcze, po tym chyba przyklęknął.

- Niece... rozuu...miesz - wyszeptał Mundek, wkładając w te dwa słowa wszystkie siły, gdy zobaczył nad sobą dziwnie zniekształconą, ale wciąż znaj orną twarz.

- Mylisz się, śmieciu, doskonale rozumiem - wychrypiął ochroniarz. - Ona mi wszystko wytłumaczyła. - Przyłożył chłodną lufę wypieszczoną HK do czoła Lisa.

- Do zobaczenia w pie... - tyle zdążył powiedzieć, zanim nagle zniknął z pola widzenia.

Kolejna struga ciepłej krwi załała twarz i oczy telepaty. Wszystko zrobiło się czerwone. Ale nadal widział chmury, drzewa... Umarłem... - pomyślał. Ale dlaczego wszystko ma kolor krwi, dlaczego nie widzę

jasności? Z coraz większym trudem kojarzył, dlatego dopiero teraz dotarł do niego sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Ona wszystko wytłumaczyła? Kto? Sabina?

Znów ktoś nad nim stanął. Nie widział już jednak kto, to był tylko niewyraźny cień. Chciał coś powiedzieć, ale z zalewanych krwią ust wydobyło się jedynie chrypienie. I bąbelki krwawej piany.

- *Sabina?* - spróbował odszukać jej jaźń. - *Sabina!*

- *Jestem tutaj* - odpowiedź przyszła szybko.

- *Co... poszło... nie tak?*

- *Nic. Wszystko poszło zgodnie z planem.*

- *Przecież... ja umieram...*

- *Bo tak miało być.*

- *Ale... dlaczego?*

Wir obrazów tak charakterystyczny dla umysłu prekognitki wdarł się do jego świadomości. Tym razem porozumiewała się z nim zupełnie inaczej. Nadawała. Nie jakieś tam napisy, ale normalnie w pełnym paśmie.

Była telepatką.

Naprawdę dobrą telepatką.

- Nie jestem tym, za kogo mnie masz. Twój szef zaczął tworzyć zespół esperów - tak u nas, w FSB, nazywamy ludzi posiadających zdolności ponadnaturalne. Zorientowaliśmy się, że nad tym pracujecie, gdy zostałeś wprowadzony przez jednego z członków Komitetu na obrady komisji międzyrządowej w marcu. Pamiętasz?

Nie pamiętał, więc mu to przypomniła. Rosyjsko-polskie obrady na temat współpracy gospodarczej. Nic nieznaczący epizod. Miał sprawdzić intencję negocjatorów, co też uczynił. I kontrakty na kilkaset milionów dolarów szlag trafił...

- Z naszej strony rozmowy nadzorował mój ojciec. Wspaniały człowiek i wielki telepata. Nie byłeś w stanie wykryć jego obecności w swoim umyśle. A on czytał w tobie, jak w otwartej księdze. Dowiedział się, że zaczynacie korzystać z esperów, jak my. To było zbyt wielkie zagrożenie. Nie mogliśmy pozwolić na utratę strategicznej przewagi. Przywracanie

kontroli nad dawnymi strefami naszych wpływów potrwa jeszcze parę ładnych lat. Dlatego podjęliśmy odpowiednie kroki.

- O czym... ty mówisz...?

- Najpierw chcieliśmy załatwić sprawę przez waszych mocodawców, ale okazali się już uodpornieni na telepatię. Ten wasz Lewiński był niezły. Metoda zabezpieczania przed odczytem myśli jest naprawdę nowatorska i bardzo skuteczna. Zyskalibyście ogromną przewagę, gdyby udało mu się zrealizować plany zabezpieczenia całego rządu. Na szczęście ludzie z Komitetu za bardzo się bali ujawnienia sekretu i utraty strefy wpływów. I dlatego szlag ją trafił za parę godzin razem z ośrodkiem.

- Nie., rozumiem... jesteś przecież preko...

- Nie ma prekognitów, głupcze. To wszystko była podpucha. Od początku do końca. Cuda, wizje, ten pusty dom na odludziu. Nawet granat, jak widzisz, nieprzypadkowo znalazł się wtedy w mojej ręce.

- Przecież...

- Co: przecież? Nadal nie rozumiesz? Wszystkie te cudowne ocalenia były ukartowane. Wiedzieliśmy, że Lewiński szuka, jak to poetycko ujęliście, jednorozca. Jego wielkim błędem było pozostawienie części ludzi z zespołu bez blokady. Kiedy biegałeś z grubasem po kasynach, skanowaliśmy wasze myśli wiele razy. Centrala uznała, że skoro tak wam zależy na prekognicie, to go dostaniecie. Nie wiesz nawet, jak łatwo można upozorować cudowne ocalenia. Zwłaszcza gdy pracują nad tym prawdziwi zawodowcy.

- Ale... wypadek...

- Kierowca ciężarówki miał proste zadanie: wykonać manewr skrętu w chwili, gdy wasz wóz zacznie hamować. Nie wcześniej. Do tego nie trzeba być nawet esperem. Gdybym nie zdążyła przekonać Lewińskiego, po prostu przejechałbyś obok niego.

-A... Pio...?

- Biedny dzieciak. Skanowałeś go wiele razy, ale nie zauważyłeś jak go przerobiono. Jesteśmy w tym naprawdę dobrzy. Wyszukałam go na Śląsku. Matka alkoholiczka, ojciec w kiciu, jeden z trzynaściorga

rodzeństwa. Dobry wujek ze stolicy zaopiekował się chorym Piotrusiem. A potem poczekaliśmy aż choroba rozwinie się do tego stopnia, żeby legenda jednoroźca wyglądała naprawdę dobrze. I wystawiłam się na strzał we Wrocławiu. Bingo.

- Aleja... widziałem... w twoich...

- Widziałeś to, co chciałam, żebyś widział. Wiesz doskonale, jak trudno oddzielić prawdziwe myśli od fikcji, zwłaszcza gdy cel sam nie wie, co jest prawdą, a co urojeniem. Gdyby nie to, Komitet dysponowałby już władzą absolutną. Jesteś zdolnym telepatą, Edmundzie, ale surowym jak diament, natomiast ja jestem brylantem najczystszej wody. Jeśli byś miał szansę na otrzymanie takiego szlif, być może przerósłbyś mnie o głowę. Ale tak się nie stanie, twój los dopełni się dzisiaj, tutaj, na tej wsi. Przykro mi, że tak się to kończy, ale to nic osobistego... Tak musiało być. - Przerwała na chwilę, wir jej myśli zniknął, ale zanim Mundek zdołał to zarejestrować ponownie załśniła. - Ty zlikwidowałeś zespół numer jeden. Robert był na tyle miły, że zatroszczył się, by nie było świadków tej awantury. A ja zatroszczyłam się w rewanżu o niego. W zasadzie powinnam mu pozwolić na dobiecie ciebie, ale... nie pozwoliłam. To i tak niczego już nie zmieni... Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, religijnym. Tak, jak ja. Dlatego dam ci tych kilka dodatkowych minut. To kompletne odludzie. Nikt nie będzie ci przeszkadzał, jeśli zechcesz pojednać się ze swoim Bogiem. Żegnaj, kotku, muszę już lecieć.

Mglista biel zniknęła, niebo znów stało się czerwone od krwi zalewającej oczy Lisa. A potem czerwień powoli ciemniała, aż stała się absolutną czernią.

